

# Trzeci czwarteK listopada

Konrad  
Laguna

ROSNER & WSPÓLNICY



Klasa  
Klasa 2

PRZEJAZD TAM  
POC P  
Na przejazd

Wyjazd w dniu  
08





Nowa książka **Konrada Leguny** – intrygująca kryminalna fabuła, której głównymi bohaterami są trzej przyjaciele – dziennikarze, prowadzący zawile, wielowatkowe śledztwo. Poza tym: piękna kobieta, mafijne porachunki, czeczeńscy uchodźcy i ludzie z pierwszych stron gazet. A wszystko dzieje się w scenerii dwóch wspaniałych miast: Pragi, z pojawiającym się legendarnym Golemem, i tajemniczego, najeżonego groźnymi pułapkami Krakowa. Tytułowy „trzeci czwartek listopada” oznacza oczywiście dzień, w którym w sklepach i winiarniach całego świata pojawia się nowe beaujolais. To ważny moment w świetnie prowadzonej kryminalnej intrydze. Ostatnie zdanie powieści daje realną nadzieję na dalszy ciąg przygód Konrada „dziennikarza bez etatu”. Od lektury tej książki trudno się oderwać!

Cena 23 zł



Konrad  
Laguna

# Trzeci czwartek listopada



*ROSNER & WSPÓLNICY*

Projekt okładki  
Marek Stańczyk  
Edytor  
Grażyna Szadkowska  
Opracowanie redakcyjne  
Małgorzata Wojciechowska  
Korekta Magdalena  
Czaplicka

© Copyright by ROSNER I WSPÓLNICY, Warszawa 2003 ©  
Copyright for the text by Konrad Laguna

ROSNER I WSPÓLNICY, sp. z o.o.

Wydanie pierwsze, Warszawa 2003

ISBN 83-89217-35-X

**Cena 23 zł**

Opracowanie typograficzne, łamanie: IND Druk,  
oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca, Kraków

# 1

Z polskich pór roku toleruję lato, pod warunkiem, że jest dostatecznie ciepłe. Nie lubię mokrej wiosny ani beśśnieżnej zazwyczaj zimy. Ale najgorszy okres to późna jesień. Listopada wprost nie cierpię. To najsmutniejszy miesiąc w roku i dla mnie naprawdę niebezpieczna pora. Na listopad nie pomaga mi nawet czarny Johny Walker, najlepsza (moim skromnym zdaniem) whisky.

Słonecznym latem trunek ów potrafi wzbudzić we mnie taki entuzjazm, że mógłbym góry przenosić. Na przykład Giewont nad Morze Bałtyckie. Najlepiej gdzieś w okolicy sopockiego Grand Hotelu. A w listopadzie nic. Piję i piję, i nic. W butelce widać dno, a we mnie nie pojawia się żadna ochota do działania. Giewont niech sobie zostanie, gdzie jest, moło sopockie również. Nie chce mi się nic zmieniać. Właściwie zmarnowany alkohol.

W tegorocznym listopadzie było tak samo. Na dobrą whisky nie było mnie stać, więc co wieczór siedziałem w domu i ze smętną miną popijałem nalewkę wykonaną wcale nieźle przez moją sąsiadkę Jadzię. Nie poprawiła mi nastroju nawet anegdota o niedoszłym samobójcy, jakimś Amerykaninie (a może to był Bułgar albo Rumun), który zażądał wielomilionowego odszkodowania

od producenta sznurka. Dlaczego? Bo sznurek urwał się pod ciężarem desperata.

- Zrobiłbym to samo - oświadczyłem grobowym głosem Jadzi, która opowiedziała mi tę historijkę.

- Co byś zrobił? - zapytała z przerażeniem moja sympatyczna sąsiadka, zapewne wyobrażając sobie mnie, wiszącego na gałęzi. Taki huśtający się wisielec, który pokazuje bliźnim pozostałym przy życiu czerwony jęzor, naprawdę może przerazić.

- Też bym zażądał odszkodowania. No bo człowiek się wykosztował, zakupił sznurek, potem musiał gdzieś go przymocować, podstawić jakieś krzesło albo taboret, może jeszcze napisać list z wyjaśnieniem powodów... Pomyśl, ile zachodu z takim samobójstwem. I to wszystko na próżno! Więc co, może biedak ma zaczynać całą robotę od początku?

Jadzia wyraźnie się zasluchała, więc jeszcze dodałem:

- Zorganizować dobrze samobójstwo to zadanie trudne dla człowieka pełnego życiowej energii, a cóż dopiero dla takiego, który ma już wszystkiego dość.

Posmutniała. Czy nasunęła się jej analogia do własnej sytuacji? Bo jej starania, żeby wyprowadzić mnie z jesiennego splinu, także okazywały się mało skuteczne. A przecież poła mnie dereniówką własnej roboty, stroiła miny, nawet opowiadała dowcipy, choć przychodziło jej to z dużym trudem. I cały wysiłek na nic.

- Widzę, że jesteś nieuleczalny - stwierdziła wreszcie.

- Wiesz przecież, że moja choroba jest sezonowa. Muszę tylko przetrwać do lata.

- Dopiero zaczął się listopad.

- Tylko mi nie przypominaj, że przed nami jeszcze grudzień i styczeń, i luty, i marzec, i kwiecień... Może w maju będzie trochę lepiej.

- Ty powinieneś zimę przesypiać jak niedźwiedź.

Zamruczałem sennie w odpowiedzi. Pomysł wydał mi się niezły. A ile bym zaoszczędził na niejedzeniu i niepicciu przez te kilka miesięcy!

- A gdybyś tak pojechał w jakieś ciepłe i słoneczne miejsce?

Zaśmiałem się ponuro.

- Mógłbym, tyle że na to trzeba sporej kasy. Ja zaś, jeśli chodzi o pieniądze, to duże mam tylko długi.

Jadzia milczała smutno. W mojej niedużej i niespecjalnie ładnej sąsiadce mieściło się wielkie i piękne serce, które przepelniała nieodwzajemniona miłość do rodzaju ludzkiego. Nie wiem, czy do całego, ale do mnie - zdaje się - tak. Staralem się nie drażnić tego tematu. Bo gdybym dotarł do istoty rzeczy, musiałbym jakoś odpowiedzieć. A ja raczej odczuwałem niechęć do ludzi. Jesienią czy zimą szczególnie. I nie miałem ochoty na żadne sentymentalne czy romansowe historie.

„Jakaś ładna i miła panienka wyrwałaby cię z tego stanu” - stwierdził mój głos wewnętrzny.

„Proszę, proszę, któż to się odezwał? A myślałem, że chociaż ty spokojnie prześpisz te ciemne, jesienne dni”.

„Nie mogę spokojnie spać, bo mi nie dajesz. Przeszkadza mi twój ponury, listopadowy nastrój”.

„A idźże ty w diabły! Ja potrzebuję pociechy, a nie wymówek”.

„Więc powiadam ci, że coś musi się wreszcie wydarzyć. Coś, co przerwie ten przygnębiający smutek jesiennych dni”.

„Może i musi, ale co?”.

Gdy tak siedzieliśmy sobie u Jadzi i nakręcaliśmy spirale listopadowej nostalgii, obok, w moim mieszkaniu, rozdzwonił się telefon. Było go dobrze słyhać, jak niemal każdy głośniejszy hałas w tej mojej życiowej norze. Takie są powaby akustyki naszej kamienicy.

Dzwoniący telefon ma coś zmienić, coś rozpocząć? To zapewne banalny pomysł na początek czegokolwiek, ale lepszy taki niż żaden.

- Nie pójdziesz odebrać? - spytała Jadzia.
- Niech dzwoni.
- Ale to może coś ważnego?!
- To zadzwoni drugi raz.

Nie zadzwonił. Ale gdy wreszcie wróciłem do moich pieleszy, znalazłem na sekretarce nagrany wiadomość. „Nazywam się Agnieszka Trochełko - stwierdził sympatyczny, lekko grasejący głos kobiety. - Otrzymałam pański telefon od naszej wspólnej znajomej, redaktor Dorhoty Szopy. Planuję urhuchomić nowy cykliczny prhogram telewizyjny, w którym ...”.

Nie słucałem dalej. „Jeżeli za tym stoi Dorota czyli Kasia”, pomyślałem sobie, „to ja się w to nie bawię. I na dodatek telewizja. Przecież Kasia wie, że nie lubię, ba - nie znoszę telewizji, zwłaszcza gdy mam się w niej pokazywać”.

Czytelnik zapewne się zdziwi. Bo przecież w dzisiejszej epoce największym pragnieniem każdego chyba osobnika należącego do tak zwanej ludzkości jest pokazać się w telewizji. Mieć swoje telewizyjne pięć minut. Siwemu panu zamordowano żonę, kilkoro nieletnich dzieci i jeszcze kucharkę na dodatek (specjalność: kuchnia francuska, a zwłaszcza sosy). Teraz on opowiada o tym wszystkim ze swadą w talk-show, martwiąc się głównie tym, czy reflektory dobrze oświetlają jego elegancki, czarny krawat. Znakomicie wypada moment, w którym zaczyna płakać. Prawdziwie telegeniczna osobowość. Zaś w następnym wydaniu tego samego programu wystąpi morderca, który ze szczegółami opowie, jak wysyłał do raju rodzinę dżentelmena w czarnym krawacie, a także kucharkę specjalizującą się w kuchni francuskiej. Największą oglądalność będzie miał kolejny odcinek, zapowiadany wielokrotnie przez kilka dni jako



telewizyjne wydarzenie. Dwaj bohaterowie poprzednich programów usiądą naprzeciw siebie i odpowiedzą grzecznie na pytania. Na końcu - wezwani do tego przez prowadzącą - padną sobie w ramiona, a wzruszeni widzowie będą głosować w audiotele, który z nich był bardziej sympatyczny. Lekka przewaga mordercy nie powinna nikogo zaskoczyć, zważywszy na jego młodzieńczy wygląd i prawdziwy seksapil.

Tak sobie oto myślałem o telewizji, ale... Ale głos w telefonie był interesujący, wyobraziłem sobie, że powinna być do niego przypisana ładna buzia. I nazwisko, które usłyszałem, wydało mi się znane. Z tego, co prawda, nic nie wynika, jednak łatwiej nawiązać nitkę porozumienia z kimś, czyj głos brzmi sympatycznie, a jego nazwisko jakoś się kojarzy.

„Przecież możesz się z nią spotkać. To niewiele kosztuje” - powiedział cicho mój głos wewnętrzny.

„Wiesz dobrze, że jesienią nie robię takich rzeczy. A jeśli nie skończy się na jednym spotkaniu? A jeśli, nie daj Boże, panienka okaże się tak doręczna (czyli do rzeczy), że to ja będę miał ochotę na dalsze spotkania? Albo nawet pod jej wpływem zgodzę się na udział w tym programie? Wiesz, jak łatwo ulegam kobietom”.

„To i świetnie. Będziesz miał wreszcie robotę, może nawet pieniądze... Zaczniemy wychodzić z długów. No i stać cię znów będzie na porządny alkohol, na przykład czarnego Johny Walkera”.

Ten mój głos wewnętrzny, co już dawno ustaliłem, chodzi na alkoholu. Wystarcza mu dereniówka, ale po dobrym koniaku potrafi wzbić się na wyżyny natchnienia. Zresztą tak jak i ja.

„No a jak dziewczyna będzie tak atrakcyjna, że się zakocham?”.

„Przecież chciałbyś wreszcie znaleźć...”.

„Ale nie późną jesienią, palancie” - przerwałem mu niemal w pół słowa. - „Przecież zaraz będzie zima, za-

pewne szara i błotnista, a następnie niemrawa wiosna. To nie jest sceneria dla miłości”.

„Nie musisz zakochiwać się od pierwszego wejrzenia. Możesz trochę z nią popracować, zarobić przy okazji parę groszy, a potem, gdy wiosna zacznie się zamieniać w lato, czyli przyjdzie twoja pora, przyjdzie też pora na miłość”.

„To już lepiej. Teraz wreszcie mówisz jak głos wewnętrzny człowieka, którego czasem jest czas letni”.

Poszedłem do kuchni napić się wody i usłyszałem przez ścianę, że Jadzia, mimo późnej pory, stuka w klawiaturę komputera. Zapukałem więc raz jeszcze do miłej sąsiadki.

- Czy mówi ci coś nazwisko Trochełko? Agnieszka Trochełko? Coś mi chodzi po głowie, ale nie umiem tego skonkretyzować.

Jadzia, oderwana od komputera, popatrzyła na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

- Trochełko, powiadasz? Agnieszka Trochełko? Oczywiście, znam. To Miss Polski sprzed czterech, a może pięciu lat.

- Miss Polski?! Taka najładniejsza dziewczyna w kraju? Długie nogi, sto w biuście i w biodrach, a kibić (wiecie jeszcze moi mili, co to znaczy?) szczuplutka, jakieś trzydzieści pięć? Czy tak?

- Mniej więcej... Chociaż ostatnio przepisywałam książkę o konkursach na te misski, w której autor twierdził, że teraz od wymiarów ważniejsza jest całość.

- Powiedz w zrozumiały sposób.

- No wiesz, czy dziewczyna robi dobre wrażenie... Te wymiary mogą jej się trochę nie zgadzać. Na przykład ma odrobinę więcej w biuście niż w biodrach albo na odwrót, ale za to ma w sobie coś... Coś, czego nie da się wymierzyć w centymetrach.

- Muszą być jakieś obiektywne kryteria. To przecież konkurs.

- No właśnie, autor tej książki twierdził, że nie ma. Ty, gdy spotykasz jakąś dziewczynę, nie zaczynasz chyba od wymierzania jej linijką czy krawieckim centymetrem...

- Ja rzadko spotykam misski. Jestem dla nich za stary albo one są dla mnie za młode. Żyjemy w różnych epokach.

- Nie mówią o misskach. Po prostu widzisz dziewczynę i ona robi na tobie wrażenie albo nie robi. Ma w sobie owo coś albo nie ma. Działa na ciebie albo nie działa.

- To są sprawy subiektywne. Mój prywatny wybór i moja prywatna dziewczyna. A konkurs na Miss Polski to sprawa poważna. Sprawa narodowa. Nie może chyba decydować to, czy panienka działa na jurorów?

- Ale to właśnie decyduje. Czy dziewczyna działa na jurorów, czy działa na publiczność, która też wybiera swoją Miss...

- To wiem - przerwałem.

- Jeżeli bardzo cię interesuje ta Trochełko, to poszukajmy jej w Internecie. I tak już oderwałeś mnie od roboty.

Poszukaliśmy. Internetowa przeglądarka, zapytana o Agnieszkę Trochełko, wypisała nam nie tylko witryny przedstawiające informacje o Miss, najczęściej bogato ilustrowane jej zdjęciami. Na liście pojawiło się również kilka adresów stron firm o anglojęzycznych nazwach. Na dwóch zdjęciach Miss była w kostiumie kąpielowym. Wyglądało na to, że wymiary ma w porządku.

- To są zdjęcia sprzed kilku lat - stwierdziła Jadzia.

- Chyba bardzo się nie zmieniła? Sądziś, że od tego czasu urosły jej jeszcze piersi albo bardzo schudła tam niżej?

Jadzia, lekko zarumieniona, zacisnęła usta i milczała. Nie lubiła takich rozmów, wiedziałem to dobrze. Nie lubiła też moich panienek ani nawet nie tolerowała zainteresowania płcią przeciwną. Były oczywiście wyjątki od tej reguły. Mogłem do woli zachwycać się modelką o światowej sławie lub znaną aktorką. Na przykład Sharon Stone albo Renatą Dancewicz. Bo gwiazda, najlepiej

zamorska, była osiągalna dla mnie w takim samym stopniu co gwiazda na niebie. Wydawać się mogło, że do wyjątków będzie należeć również Agnieszka Trochełko. Przecież od Miss Polski też dzielił mnie kosmos. Jadzia chętnie pomogła mi obejrzeć ją w Internecie i to nawet w skąnym bikini. Sama otwierała kolejne strony z informacjami na temat narodowej piękności. Ale tak było tylko do momentu, kiedy dowiedziała się, skąd wzięło się moje zainteresowanie.

- To ona do ciebie telefonowała? - zdziwiła się. - Osobiście?

- Też mogę do niej zadzwonić, zostawiła mi numer telefonu.

- No to idź dzwonić - powiedziała nadąsana. - Bo ja mam pracę.

- Może jeszcze tylko zobaczymy coś o tych firmach?

Na firmy Jadzia zgodziła się bez oporu. Niestety, nie

można było do nich dotrzeć. „Strona w likwidacji”, „strona w przebudowie”, „nie odnaleziona” - takie informacje podawał program. Wreszcie udało się. Otworzyła się strona firmy „Trochełko Production Ltd”. Produkcja filmów i programów telewizyjnych. To musiało być właśnie to. Zresztą i tu było dużo zdjęć naszej Miss oraz sporo informacji o jej sukcesach jako modelki i aktorki. Natomiast nic o sukcesach firmy.

„Chyba rzeczywiście masz rację, kręcąc nosem na tę propozycję” - odezwał się mój sceptyczny głos wewnętrzny. - „To mi wygląda na jakąś amatorszczyznę”.

„A może dziewczyna jest po prostu skromna i nie lubi chwalić się sukcesami?”.

„Miss Polski? Przecież udział w takim konkursie polega na ciągłym chwaleniu się: ja mam najpiękniejszy biust, najdłuższe nogi, najbardziej zgrabną sylwetkę, moja pupa jest najcudowniejsza w Polsce, nie mówiąc o innych dodatkach, jak włosy, oczy, rzęsy i co tam jeszcze te

misski oferują na pokaz. Misska musi to mieć we krwi”.

„Tak było kiedyś. Dzisiaj, przecież słyszałeś, liczy się całość”.

„Więc jej całość musi pracować na sukces. Jej całość musi w całości pragnąć sukcesu. Każdy kawałek tej całości z osobna i wspólnie ze wszystkimi innymi kawałkami”.

„No dobrze” - nie chciało mi się rozmawiać w takim stylu. - „Po prostu dziewczyna dopiero zaczyna działalność na polu produkcji telewizyjnej i nie ma jeszcze sukcesów. Zresztą, kiedy zobaczę się z nią, to dowiem się wszystkiego. Muszę tylko zatelefonować i umówić się na spotkanie”.

Nie zadzwoniłem jednak tego wieczoru na podany numer. Posiedziałem jeszcze trochę u Jadzi, przeskadzając jej w pracy. A kiedy wróciłem do siebie, pomyślałem sobie: „Już chyba za późno na telefon. Zadzwonię z rana”.

Zaś rankiem, a raczej już blisko południa, gdy wreszcie, po drugiej mocnej kawie, zaczął budzić się mój umysł i powróciła pamięć, zająłem się różnymi rzeczami, które odciągały mnie od telefonu. Jakoś wciąż, krążąc po moich niewielkich pokojach, omijałem stolik, na którym stało to diabelskie urządzenie. Kiedy wreszcie zadzwoniłem pod wieczór (ach, te krótkie jesienne dni, dopiero było rano i już jest wieczór), dowiedziałem się, że pani Miss za godzinę z kwadransem ma pociąg i wraca do Krakowa. Tam mieszka. Szkoda, że tak późno się odezwałem. Bo miała wielką ochotę spotkać się ze mną, mówiła, ślicznie grasejując. Zwłaszcza po tym wszystkim, co usłyszała o mnie od Doroty. Ale zaraz. A może ja jestem gdzieś w pobliżu? Może spotkalibyśmy się chociaż na pół godziny? Bo ona oczywiście zaprasza mnie na koszt firmy do Krakowa. Jednak bardzo ważny jest pośpiech.

W rezultacie umówiliśmy się pod najbardziej znanym w Warszawie Empikiem. W miejscu z widokiem na palmę.

Tak, tak. Niedawno młoda artystka urodziła pomysł, żeby na rondzie de Gaulle'a, gdzie krzyżuje się Trakt Królewski z Alejami Jerozolimskimi, ustawić sztuczną palmę. Mnie nawet drzewko się podoba. Choć oczywiście wolę palmy prawdziwe i w bardziej naturalnym otoczeniu, w dowolnym ciepłym kraju śródziemnomorskim.

Pani Miss martwiła się, jak się rozpoznamy, ale stwierdziłem, że na pewno ją odnajdę, nawet w warszawskim tłumie. „Przecież”, myślałem sobie, „naoglądałem się jej podobizn w Internecie”.

Niecałe pół godziny później stałem więc pod empikiem i czekałem. Ja czekałem, zaś palma rosła sobie spokojnie na rondzie. A może to palma stała, a ja roستم? Czy było tak, czy siak, musiała pojawić się myśl, że chyba palma mi odbiła. „Co ja tu robię? W co znów się pcham? Program telewizyjny produkowany przez Miss i ja w tym programie. To przecież niemal tak samo surrealistyczny pomysł co palma w szarym jesiennym warszawskim krajobrazie”. Targały mną coraz większe wątpliwości. Stałem jednak nadal i nasiąkałem wilgocią z mżawki unoszącej się w powietrzu.

Aż nagle... Aż nagle mrok ponurego listopadowego wieczoru rozświetlił blask. Tuż koło mnie zrobiło się jaśniej, jakby ktoś zapalił lampę. To była właśnie ona. Wiedziałem od razu. Ale to ona mnie rozpoznała (jakim cudem?). Podeszła pewnym krokiem. Mówiła do mnie i ja chyba odpowiadałem. Ale nie wiem dobrze, co. Widziałem tylko wielkie oczy, świecące w mroku niby oczy kota lub pantery. Resztę twarzy zasłaniała szalem, a włosy ukryła pod jakąś przedziwną czapeczką. Moja znajomość jej sylwetki (nawet prawie bez ubrania), jej twarzy, sfotografowanej przez najlepszych artystów w kraju, na nic się tu nie mogła przydać.

Wyglądała jakby wybierała się na spacer nadmorską promenadą w jakimś kraju, w którym normalnością są właśnie palmy. W którym stale świeci słońce. I jest ciepło.

Ubrana w długi jasny płaszcz, w jasne spodnie, owinięta jasnym szalem, w czapeczce usianej błyskotkami, cekinami czy czymś podobnym, pasowała do ponurej, mokrej warszawskiej ulicy jak, nie przymierzając, owa palma stojąca na rondzie. Wokół przemykali ludzie skuleni, okutani w ciemne kurty i płaszcze. Wszyscy wyraźnie uciekali przed mrokiem i jesienną szarugą do swych domów, a ona, wyprostowana, rozświetlona blaskiem, nigdzie się nie śpieszyła, chociaż za pół godziny miała pociąg do Krakowa.

W tej chwili zrozumiałem, co znaczy owo coś, które powoduje, że jurorzy wybierają tę a nie inną dziewczynę na Miss Polski. Nawet jeśli troszkę nie zgadzają się jej wymiary. Ona na pewno miała w sobie to coś. To było jak świecąca w niej lampa. To był blask, który od niej bił.

Szliśmy powoli w kierunku Centralnego („na pewno zdążymy, ja zawsze wszędzie zdążam, a jeżeli nie zdążę, to jak raz pociąg z nieznanых przyczyn opóźni odjazd”), rozmawialiśmy o programie, w którym wystąpię („od razu, gdy tylko usłyszałam pana głos, wiedziałam, że pan jest najlepszy”) i umawialiśmy się na mój przyjazd do Krakowa. Bo jednak przed nagraniem muszę przyjechać, jest tak wiele spraw do ustalenia („bo to pan nada temu programowi niepowtarzalny styl”), powinniśmy się też dobrze wzajemnie poznać i zrozumieć.

Nie miałem już żadnych wątpliwości. Chciałem wystąpić w telewizyjnym programie o alkoholach świata i chciałem pracować nad nim wspólnie z Agnieszką. Więc jutro przyjadę do Krakowa („terminy gonia”) i wymyślimy dwa pierwsze odcinki, które muszą być gotowe („nagrane, zmontowane, z podłożoną ścieżką dźwiękową - sam pan wie, ile to roboty”) za dziesięć dni. Bo wtedy będzie kolaudacja i rozstrzygnie się, czy telewizja kupi program. Na pewno nam się uda („bo pan nada programowi osobowość”).

Szliśmy mokrą warszawską ulicą, skupieni na rozmowie, jakby poza nami nie istniał świat. A ja zrozumiałem jeszcze jedno: że pory roku wcale nie są ustalone ostatecznie, bo nawet w listopadzie może być przyjemnie, jak w słonecznym i ciepłym lipcu.

Agnieszka zatrzymała się przed podziemnym przejściem i powiedziała:

- Dalej już proszę mnie nie odprowadzać. Do jutra w Krakowie, panie Konradzie.

I znikła w podziemnych czeluściach. A ja zostałem samotny w ciemności. Lampa zgasła. Musiałem teraz mokrymi, ponurymi ulicami pójść do domu. Ale wiedziałem, że jutro znów ją zobaczę.



## 2

Siedzieliśmy od dwóch godzin w Jamie Michalikowej i popijaliśmy kawę. Powoli przyzwyczajałem się do blasku urody Agnieszki. Udawało mi się od czasu do czasu spojrzeć na nią bez mrużenia oczu. I zacząłem z nią dyskutować, a nawet żartować. Bardzo szybko - bez żadnych formalności - jakby mimochodem przeszliśmy na „ty”.

Dowiedziałem się już, że program miał początkowo prowadzić ktoś z Krakowa. Padło jego nazwisko. Bardzo barwna postać, dziennikarz, niestroniący od kabaretu, pisze skecze i teksty piosenek. Nagle pojawił się w podobnym, i też niestety seryjnym, programie. Chociaż to jej obiecał udział. Ale to taki człowiek, któremu wszyscy wybaczą, więc i ona musiała... Jednak na gwałt był potrzebny ktoś inny.

- Teraz cieszę się, że tak się ułożyło. Bo ty jesteś znakomity. Będziesz moim odkryciem.

Zamilkłem z wrażenia.

Program miał być o alkoholach świata. Miałem o nich opowiadać, pokazywać jak sieje pije, do czego i tak dalej. Ale jeżeli alkohole świata, to w tle powinien być ów świat. W przyszłości, gdy będziemy kręcić odcinek o chianti, to oczywiście pojedziemy do Toskanii,

a o tequila będę opowiadać na tle meksykańskich kaktusów - tak sobie marzyła Agnieszka. Na razie musi być skromniej.

Gdy dowiedziałem się, że emisja pierwszego odcinka przewidziana jest jeszcze w listopadzie, zaproponowałem na początek beaujolais. Właśnie w trzeci czwartek listopada Francja, jak długa i szeroka, próbuje nowego wina. Panuje atmosfera radosnego święta, a Francuzi, zwłaszcza paryżanie, wędrują przez całą niemal noc od knajpki do knajpki i smakują wino. A że jest to wino bardzo młode, to łatwo sieje pije, ale też szybko idzie do głowy.

„Le Beaujolais Nouveau est arrive! Już jest nowy rocznik beaujolais. Próbujcie, cieszcie się życiem”. Bo w winie jest życie. Jest w nim zaklęta energia słońca, które w listopadzie prawie już nie świeci. Pijmy więc, żeby odnaleźć jak najwięcej tej życiodajnej energii. I żeby dzięki niej przetrwać mroczny czas zimy.

Tak mniej więcej opowiadałem, budząc zachwyt Agnieszki.

- Słuchaj Konrad! - zawołała nagle. Widać wpadła na jakiś pomysł. Zrobiła się nagle bardzo poważna, lekko się wyprostowała w kawiarnianym krześle i zaczęła poruszać śmiesznie głową.

Ja też odrobinę się wyprostowałem i nadstawiłem ucha. Cóż, to ona jest szefową.

- Beaujolais jest na „b”.

- Masz stuprocentową rację - powiedziałem.

- Nie traktujesz mnie poważnie!

- Wprost przeciwnie. Jak najbardziej poważnie.

Więc co chciałaś powiedzieć?

- Że może zaczęlibyśmy od jakiegoś alkoholu na „a”. Potem byłoby beaujolais, a następnie alkohol na „c”. Nazwiemy program Alfabet Bachusa. Co ty na to?

- Wiesz, na „a” jest adwokat i mój ulubiony armagnac, i absynt... W tej chwili więcej grzechów nie pamiętam, ale gdybym pomyślał, to na pewno coś jeszcze bym znalazł.

- Wybierzemy tylko jeden na „a”...

- Mam. Absolut, też na „a” - przerwałem.

- Posłuchaj mnie... Najpierw jeden alkohol na „a”, potem zrobimy beaujolais, potem znajdziesz coś na „c”.

- Na „b” też jest dużo. Bo jest Ballantine's, bardzo dobra whisky, rum baccardi, chyba najlepszy na świecie, a na pewno najbardziej popularny, jest łódka, to znaczy wódka bols, i są oczywiście słynne wina z rejonu Bordeaux.

- No i bułgarskie wina.

Nie mogłem poznać, czy była to ironia, czy też zniecierpliwienie. Jeszcze dobrze jej nie znałem.

- Agnieszko, już przerywam wyliczanki. Chciałem ci tylko pokazać, że znam się na rzeczy. A co do win bułgarskich, właściwie masz rację. To przecież od nich Polacy zaczynają najczęściej winną edukację. I poważnie na nich kończą.

- Nadmierny optymizm. Sophia to szczyty. W powszechnym użyciu jest raczej krajowe wino marki Wino - powiedziała dziewczyna.

- Naprawdę znasz nasz piękny kraj i naszych wspaniałych rodaków - rzekłem z podziwem.

- Konrad, skupmy się jeszcze przez chwilę na programie. Musisz za dwa dni dać mi scenariusz pierwszego odcinka.

- Jeżeli na „a”, to proponuję absynt. To alkohol poetów i malarzy. Także bardzo paryski.

- Paryż jest za drogi - stwierdziła Agnieszka.

No cóż, ona wyklada pieniądze, więc decyduje.

- To może Praga - zaproponowałem. - Piłem tam dobry absynt w zeszłym roku.

- Praga kojarzy się raczej z piwem.

- Masz rację. Ale Praga to też miasto artystów, jak Paryż, w czasach kiedy popijano tam absynt. A ile w Pradze wspaniałej secesji, która cudownie zrobi nam

klimat. Tak, czeska stolica to najlepsze miejsce - zapaliłem się do pomysłu. - Czy byłeś kiedykolwiek w Pradze?

- Nie...

- Dziewczyno, mieszkasz w Krakowie i nie byłeś w Pradze? Masz przecież tak blisko. Objechałeś pół świata, a nie byłeś w najpiękniejszej europejskiej stolicy?

Agnieszka milczała, więc powiedziałem:

- Najtrudniej dojechać tam, gdzie najbliżej.

I dodałem:

- Stara Praga to miasto nierzeczywiste. Właściwie trudno uwierzyć, że ono istnieje naprawdę. Znam jeszcze tylko jedno takie miasto...

Spojrzała na mnie pytająco.

- To Wenecja. Często sobie wyobrażam, że w Wenecji albo Pradze mogłyby zdarzyć się rzeczy niezwykle. Na przykład zupełnie nieprawdopodobny kryminal. A jeśli w Polsce, to oczywiście tutaj, w Krakowie...

- Porozmawiajmy o programie - Agnieszka próbowała ściągnąć mnie na ziemię.

- Ależ o nim właśnie rozmawiamy.

Postanowiliśmy, że spróbujemy w czeskiej stolicy nakręcić od razu dwa odcinki. Absynt i beaujolais. Jeżeli chodzi o beaujolais, w Pradze nakręcimy moje komentarze, a potem dodamy przebitki ze scenami z Paryża z ubiegłego roku. I tak przecież musimy przygotować program wcześniej, przed tegorocznym świętem beaujolais.

Pomysł wydawał się rozsądny. Więc wszystko zostało ustalone. Teraz trzeba będzie uśiąść i coś naskrobać na papierze. A potem opowiedzieć to do kamery. Tylko pokazywać alkohol i mówić o alkoholu, to nie są zajęcia specjalnie przyjemne. To tak jak opowiadać o miłości, zamiast uprawiać miłość. Ale czego to się nie robi dla pieniędzy. I dla pięknej kobiety. Może po nagraniu będę mógł jednak wypić bohatera programu? Tego na „a”, potem na „b”, na „c” i na kolejne litery alfabetu. Choćby

po to, żeby zweryfikować to, co mówiłem. I może w owej degustacji będzie mi towarzyszyć Agnieszka? Ona także powinna, jako producentka programu, poznać bliżej jego bohaterów.

Gdy zacząłem oddalać się w rejony marzeń, zadzwonił telefon komórkowy Agnieszki. Niestety, nie pierwszy raz podczas naszego spotkania. O poprzednich nie wspominałem, bowiem nie dotyczyły mnie w najmniejszym stopniu. Natomiast tym razem dzwoniła nasza wspólna znajoma. Agnieszka pogadała sobie chwilę na stronie, a potem rzekła:

- Dzwoniła Dorota, pozdrawia cię.

- Ach, moja ulubiona dziennikarka. Dorota czyli Kasia. Serdeczne dzięki.

- Dlaczego nazywasz ją Kasią?

- Sam nie wiem. Od zawsze nazywam ją Kasią. Jak resztą większość dawnych znajomych. Bo my się znamy jeszcze ze szkoły.

Byłem gotów na wspomnienia, ale telefon Agnieszki znów zadzwonił. Odebrała i powiedziała:

- To jeszcze raz Dorota... czyli Kasia. Teraz chciałyby porozmawiać z tobą.

Trochę się wystraszyłem. Kontakty z Dorotą czyli Kasią zazwyczaj prowadziły mnie do najgorszych sytuacji w życiu. Takich, które grożą śmiercią lub kalectwem. Na przykład ktoś próbował mnie utopić, innym razem dostałem po głowie.

- Cześć - powiedziałem mimo wszystko odważnie.

- Słyszę, że podobno jedziecie do Pragi nagrywać pierwsze odcinki. Czyli program ci się podoba?

- Bardzo mi się podoba - odrzekłem, patrząc na Agnieszkę. - Dziękuję, że o mnie pomyślałaś... Robota w sam raz dla mnie.

- Nie ma za co - powiedziała łaskawie. - Zawsze pamiętam o tobie. W przeciwieństwie do ciebie. Ty mnie chyba nie lubisz?

Milczałem, bo cóż tu można powiedzieć. Miała słuszność, ja starałem się po naszych wspólnych przygodach raczej zapomnieć o niej jak najszybciej. Choć przecież ją lubiłem. Więc już chciałem zaprzeczyć, jednak ona, nie czekając na moje słowa, mówiła dalej:

- Konrad, ale coś za coś. Mam do ciebie prośbę.

Od razu wyczułem niebezpieczeństwo. Ta ruda wredna dziennikarka znów chce mnie w coś wrobić. Musiałem jednak przynajmniej jej wysłuchać. Więc rzekłem uprzejmie:

- Zamieniam się w słuch.

I tu nastąpiła opowieść o przyjaciółce czy znajomej Kasi (a i Agnieszki również - czy wszystkie te kobiety się znają?). Zniknął jej facet. Przyjaciółka mieszka w Krakowie. A Kasia nie może teraz przyjechać, bo w rodzinnym mieście trzymają ją jakieś niezwykle ważne sprawy. Może więc ja przeszedłbym się do tej przyjaciółki, jak już jestem w Krakowie? I dowiedział się, co się wydarzyło i ewentualnie, w miarę moich możliwości, pomógł?

- Jako znakomity dziennikarz śledczy... - przekonywała Kasia.

- Były dziennikarz, to już zamierzchna przeszłość - poprawiłem ją od razu i dodałem w sposób, który wydał mi się bardzo stanowczy: - Nie mogę!

- Konrad, bez twojej pomocy ta dziewczyna zginie.

- Z tego, co mówiłaś, to zginął jej facet, a ona żyje i ma się dobrze...

- Wcale nie ma się dobrze... Jak ty byś się czuł, gdyby zginęła ci dziewczyna?

- Dziewczyny ginęły mi wielokrotnie i czułem się z tym różnie. Nieraz nawet lepiej po niż przed...

- Mów wyraźniej, bo nic nie rozumiem.

- Nie rozumiesz tego, że lepiej się czułem, gdy mi już zginęła dziewczyna? Oczywiście nie każda...

- Ale nigdy nie zginął ci facet, na którym opiera się...

- Masz rzeczywiście racją, nigdy jeszcze nie zginął mi facet...

- I to taki, na którym opiera się cała twoja egzystencja.

- Ile lat ma twoja panienka?

- Wcale nie moja. To po prostu bardzo dobra dziewczyna, która przebija się przez życie jak umie... I której chcę pomóc...

- Twoja czy nie twoja, ale musi mieć ileś lat.

- Co to ma za znaczenie?

- Nie wiesz, ile ma lat?

- Pewnie ze dwadzieścia dwa albo trzy.

- Czyli jest dorosła.

- Widzę, że nie chcesz nam pomóc.

- Kasiu, naprawdę nie umiem odszukiwać zaginionych ludzi, zwłaszcza facetów. Nie jestem prywatnym ani państwowym detektywem.

- Ale przecież odnalazłeś blondynkę... To już w naszym mieście głośna historia.

- To znowu pewnie twoja robota. Kreujesz mnie na bohatera...

- Bo byłeś prawdziwym bohaterem!

Takiego oświadczenia po Kasi nie spodziewałem się. Chyba bardzo zależy jej na mojej pomocy.

- Więcej miałem szczęścia niż rozumu. Odnalazłem ją tylko dzięki wielu szczęśliwym przypadkom i pomocy kilku osób. Przede wszystkim twojej. Właściwie można powiedzieć, że to nie ja ją odnalazłem. Ona sama się odnalazła. A potem się okazało, że to jest inna blondynka niż ta, której szukałem. Zresztą sama wiesz... Więc jeżeli chcesz, mogę twojej panience znaleźć jakiegoś faceta...

- Ona chce tylko tego, który zaginął.

- To ja odpadam. Nie potrafię, nie mam czasu, nie czuję, że coś z tego będzie. A jak wiesz, najważniejsze jest przekonanie o sukcesie. Jeżeli nie wierzysz w powodzenie misji, to już na starcie jest przegrana.

- To daj jeszcze telefon Agnieszce.

W jednej chwili zrozumiałem, że nie wygram tej batalii. Ja przecież Agnieszce nie odmówię. Spojrzy na mnie, zaświecą się w kawiarnianym mroku jej wielkie oczy i koniec. Na każdą prośbę powiem „tak”. Więc żeby nie komplikować sytuacji, zamiast przekazywać telefon i sprawę w ręce pani Miss, rzekłem zrezygnowany:

- No dobrze, pójde do twojej przyjaciółki. Podaj mi jej namiary. I może zadzwoń do niej i uprzedź o mojej wizycie.

Po Krakowie prawie zawsze poruszam się pieszo. Po prostu lubię sobie iść i oglądać stare budowle. Oczywiście najprzyjemniej się tak chodzi (zwłaszcza bez konkretnego celu) w obrębie Plant. Tym razem musiałem pójść trochę dalej. Łatwo znalazłem kamienicę, w której mieszkała „panienka tymczasowo bez faceta”, jak na własny użytek ją nazwałem.

Zrobiła się już godzina mocno popołudniowa, zaczęło się ściemniać, a ja sobie uświadomiłem, że przez cały dzień nic nie jadłem, no i nie miałem w ustach ani kropli alkoholu. Cały czas kawa i tylko kawa. Czyżby taki miał być teraz mój los? Będę na temat alkoholu tylko mówić? Stanę się popularnym (dzięki telewizji) prezydentem alkoholi z całego świata, który zna ich smak jedynie z teorii? No może również z odległych wspomnień,

„Masz taką słabą pamięć...” - odezwał się chyba pierwszy raz tego dnia mój głos wewnętrzny.

„Czyżby przeraziła cię bezalkoholowa perspektywa?” - zaśmiałem się, choć nie był to śmiech radosny. I dodałem:

- „Ty przecież bez codziennego zastrzyku tak zwanych procentów zamilkiesz na dobre”.

„Myślę wyłącznie o tobie. Przy twojej marnej pamięci musisz często powtarzać materiał teoretyczny”.



„To racja. Repetitio est mater studiorum. Chociaż, jak słyszysz, pamiętam jeszcze stosowną łacińską sentencję. Może więc z moją pamięcią nie jest tak źle?”.

„Ale wiedza nie poparta doświadczeniem jest niewiele warta” - uzupełnił mój głos wewnętrzny.

„Znów racja. Mówisz dziś wyjątkowo słuszne rzeczy. Tak, najważniejsza jest praktyka. I to codzienna”.

Głos wydawał mi się słabszy niż zazwyczaj i brzmiał cichutko. Jak nie głos, ale głosik wewnętrzny. Czy dlatego, że od rana nic nie piłem?

Naprzeciw kamienicy, w której mieszkała „panienka tymczasowo bez faceta”, zauważyłem małą grecką knajpkę. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i natychmiast skusił mnie anons w witrynie. Danie dnia plus karafka 0,5 litra czerwonego lub białego wina za niezwykle przystępną cenę (zwłaszcza w porównaniu z cenami stołecznymi, z którymi - niestety - zazwyczaj musiałem obcować).

„Trzeba coś zjeść”, pomyślałem. „Przecież na głodniaka nie poradzę nic mądrego tej biednej dziewczynie tymczasowo bez faceta”.

„I musisz koniecznie spróbować wina” - dodał mój głosik wewnętrzny.

Weszliśmy więc, zjedliśmy niezły kebab z dużą ilością dodatków, no i wypiliśmy karafkę czerwonego wina. Zupełnie przyzwoite winko.

„A nie sprawdzisz białego?” - próbował mnie kusić głos.

„No nie! Takich rzeczy już teraz robić nie mogę. Ja, krajowy ekspert telewizyjny od alkoholu! Po czerwonym winie nie wolno pić białego. To jedna z elementarnych zasad”.

Zapłaciłem i ruszyłem pomagać „panience tymczasowo bez faceta”. Przy wejściu na stojaku ułożono kilkanaście butelek wina. Greckie, mołdawskie, włoskie. Na sprzedaż. Ceny umożliwiające zakup nawet człowiekowi, przed którym sukces finansowy dopiero się

rysuje. Nie wypadalo nie skorzystać z okazji. Z butelką w rękę wyszedłem z sympatycznej knajpki i wtedy zadzwoniła moja komórka.

„Któż to znowu? Czy ja nigdy nie dotrę do panienki, która potrzebuje mej pomocy?”, pomyślałem sobie.

- Czy już jesteś u Marianny? - usłyszałem pytanie Kasi.

- Jestem przed kamienicą, w której mieszka.

- To świetnie, że zdążyłam... Bo nie powiedziałam ci... to taka niezręczna sprawa, że ten facet był... wiesz, jak to się dziś mówi, sponsorem Marianny.

- Sponsorem?

- No tak. I przestraszyłam się, że jak nie będziesz wprowadzony, to chlapiiesz w rozmowie coś, co ją obrazi...

- Kasiu, ale przecież to zupełnie zmienia istotę sprawy. Facetowi po prostu znudziła się dziewczyna i sobie poszedł. Nic nie można tu poradzić. Jak ty sobie to wyobrażasz? Że jeżeli nawet go odnajdę, to pójdę do niego i powiem, że Marianna nadal chce być przez niego sponsorowana? A on mi na to powie: sponsoruj ją sobie pan sam.

- Słuchaj, ja wiem, że to wszystko jest dziwne...

- Dziwne? Nie ma w tym nic dziwnego. W dzisiejszych czasach to normalna sytuacja. Najnormalniejsza. Tylko po prostu tu nic nie mogę zdziałać. Kim ja mam być według ciebie? Stręczycielem? Mam szukać dziewczynie sponsora?

- To nie tak. Posłuchaj. Gorąco cię proszę. I tak już stoisz pod jej kamienicą. Pójdź tylko do niej i jej wysłuchaj. I to wszystko.

- Wszystko? - upewniłem się.

Kasia potwierdziła, a ja, choć znałem dobrze rudą dziennikarkę, mimo wszystko jej uwierzyłem. Może dlatego, że byłem po przyzwoitym obiedzie i karafce czerwonego greckiego wina? I że w ogóle od wczoraj czułem się tak, jak czuję się tylko w słoneczne letnie dni?

„Chyba wraca twoja wrodzona radość życia” - stwierdził mój głos wewnętrzny. - „To się nie zdarzyło, odkąd cię znam, a znam cię, odkąd nauczyłeś się mówić, żeby twoja radość życia działała w listopadzie. To niepojęte”.

„Nie gadaj tyle. Chodźmy wreszcie do tej »panienki tymczasowo bez faceta« i załatwmy sprawę”.

### 3

Nie zdążyłem jeszcze nacisnąć przycisku dzwonka, gdy za drzwiami rozległ się psi jazgot.

„Oho, Marianna ma psa”, pomyślałem.

Drzwi się otworzyły.

- Proszę, niech pan wejdzie.

Nie mogłem przyjrzeć się dziewczynie, bo mały kundlaty kundelek robił wszystko, aby skupić całą moją uwagę. Najpierw szczeakał, obiegając mnie wkoło. Potem zaczął skakać, łapać mnie za spodnie i płaszcz. Nagle umilkł. Położył się przede mną, prawie rozplaszczony na podłodze, z wysuniętymi łapkami i cicho piszczał.

- Od razu pana polubił i teraz zaprasza do zabawy - powiedziała „panienka tymczasowo bez faceta”. Ale za to, jak widać, posiadaczka psa.

- Bardzo mi przyjemnie - rzekłem. - Jak się wabi?

- Ostatnio nazywam go Wacław.

- Jak to ostatnio?

- Próbuję różnych imion, bo on na żadne nie reaguje. Spotkałam go na ulicy i przyszedł tu za mną. Wywiesiłam kilka ogłoszeń w okolicy, że znalazłam psa, ale nikt się nie zgłosił.

Piesek piszczał tak rozpaczliwie, że schyliłem się, żeby podrapać go za uszami. Ale on błyskawicznie przewrócił się na grzbiet, wystawiając brzuszek do głaskania.

- Waćlawie, jesteś prawdziwym pieszczochem - stwierdziłem.

Dopiero po dłuższej chwili mogłem zająć się panienką. Ona też wyglądała tak, jakby chciała, żeby ktoś podrapał ją za uszami. A może nawet pogłodził po brzuszku.

Trudno było dać jej dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata. Robiła wrażenie dużego, może zbyt wyrosniętego dziecka. Wszystko miała ładne i świeże, ale troszkę za duże: za duże usta, za duży nos, a i cała była odrobinę za gruba. Może najlepiej powiedzieć, że była pulchna. Włożyła gruby i długi sweter, jakby ze starszego brata. Sweter tuszował kobiece krągłości i powodował, że wyglądała niezdecydowanie: nie wiadomo było, czy chce być dziewczyną czy chłopakiem.

Zdjąłem płaszcz i powiesiłem na wieszaku w przedpokoju, a ona oznajmiła:

- Jest chłodno.

- Coś na rozgrzewkę. Demestica, greckie wino - wyciągnąłem z torby butelkę. - Czy ma pani korkociąg?

- Chyba gdzieś tu jest... Ale ja nie piję alkoholu.

Weszliśmy do dużego pokoju. Był bardzo wysoki, cóż, to stare budownictwo, sprzed stu a może więcej lat. Od razu przyciągnął moją uwagę bardzo piękny kaflowy piec. To była jedyna rzecz z charakterem w tym wnętrzu. Inne, to znaczy meble i obrazki na ścianach, wyglądały na nowe i tworzyły przypadkową zbieraninę. A w kącie ustawiono na szafce nawet maszynkę elektryczną i stworzono w ten sposób kąt kuchenny.

- Tak, ten pokój to całe moje królestwo - „panienka tymczasowo bez faceta” natychmiast zrozumiała moje spojrzenie. A więc była bystra i pewnie inteligentna.

Usiedliśmy, Marianna przyniosła dla mnie duży kielich, zaś dla siebie szklankę herbaty z cytryną. A potem zapaliła papierosa.

- Też rozgrzewa - wyjaśniła. I dodała: - Tu jest ogrzewanie elektryczne... Ukryte w tym starym piecu, który tak się panu podoba.

Wypiłem łyk wina.

- Niezłe - oceniłem. - Może wypije pani kieliszek?

- Nie, nie, dziękuję. I proszę mi mówić po imieniu. Marianna.

- Dobrze, a ja jestem Konrad. Więc proszę opowiadać.

Opowieść była krótka. Marianna jest (a właściwie była) od kilkunastu miesięcy z facetem, o którym prawie nic nie wie. Facet wynajął dla niej ten pokój, płacił czynsz i wszystkie rachunki oraz dbał o to, jak sama określiła, żeby miała co jeść. Przychodził do niej dwa albo trzy razy w tygodniu i zostawał przeważnie na noc. Przychodził prawie zawsze z czymś - przynosił kwiaty, dobre jedzenie, często tort i butelkę szampana (choć ona nie pije), jakiś ciuszek... Był dla niej dobry. Marianna opowiadała to wszystko w naturalny sposób, jakby w jej świecie taki układ był czymś oczywistym. Przed dwoma tygodniami facet znikł. To znaczy przestał się pojawiać...

- Nie znasz numeru jego telefonu, komórki? Przecież dziś już chyba prawie wszyscy mają komórki.

- Na początku naszej znajomości dał mi numer telefonu komórkowego. Ale gdy w kilka miesięcy później zadzwoniłam, okazało się, że numer jest już nieaktualny.

- I nie zapytałaś go o to?

- Zapytałam... Był bardzo zły, że w ogóle dzwoniłam i powiedział, że zmienił numer. Ale nie dał mi nowego...

- A gdyby coś się stało i chciałaś się z nim natychmiast skontaktować?

- Prawie tak samo go zapytałam. Ale stwierdził, że on zawsze będzie wiedział, jeśli będzie potrzebna jego pomoc.

Próbowałem wyobrazić sobie sytuację faceta, który gdzieś na boku utrzymuje dziewczynę. Załóżmy, że prócz tego ma dom, a w nim żonę i dzieci. To może rzeczywiście zależy mu na tym, aby dziewczyna pozostawała cały czas na boku i nie miała okazji popsuć mu rodzinnej sielanki. Z drugiej jednak strony, jeżeli facet może spędzić dwie albo trzy noce w tygodniu poza domem, to chyba nawet najgłupsza żona musi się czegoś domyślać.

- Czy on mieszka w Krakowie? - zapytałem.

- Nie wiem.

- Przyjeżdżał samochodem? Zauważyłaś może kluczyki?

- Chyba samochodem, chociaż nie wiem, czy zawsze.

- A ciebie nie zabierał gdzieś, do jakiejś knajpki albo na zakupy?

- Nie, nigdy. On na początku powiedział, że będziemy się spotykać zawsze tu, w mieszkaniu... I że ja mam być jego tajemnicą.

„Może facet jest handlowcem”, zastanawiałem się, „który spędza dużo czasu w podróżach. Często przyjeżdża do Krakowa. I wymyślił sobie, że zamiast hotelu wynajmie na stałe pokój w starym budownictwie z ciepłym dużym dzieckiem w łóżku. Przytulny pokój z przytulnym czyli przeznaczonym do przytulania dzieckiem płci żeńskiej. Przesypiał tu osiem czy dziesięć nocy w miesiącu, więc to wszystko razem - nawet z prezentami dla Marianny - kosztowało go niewiele więcej niż skromny hotel. Jeśli jest rzeczywiście handlowcem, to niezłym. Umie liczyć i robić korzystne interesy”.

- To co ty o nim wiesz? Wiesz, jak się nazywa?

- Mikołaj... Lubił, gdy nazywałam go Kołą.

- To rosyjskie zdrobnienie. Czy jest Rosjaninem?

- Możliwe... Chociaż mówi po polsku bez żadnych błędów.

- A ma jakieś nazwisko?

- Chyba Adalewicz...

- Chyba?

- Tak mi powiedział kiedyś, na początku naszej znajomości... Ale nie jestem pewna, czy dobrze zapamiętałam. Jego nazwisko nigdy mi nie było do niczego potrzebne. Przecież gdy tu przychodził, nie pytałam go o nazwisko. Nigdzie razem nie chodziliśmy, nikogo nie spotykaliśmy, tu nikt do niego nie dzwonił.

- Przechowywał w tym mieszkaniu swoje rzeczy?

- Dwie koszule, piżamę, trochę bielizny, zestaw do golenia. Nieraz zostawała jakaś gazeta albo książka.

- I to wszystko?

- Jest jeszcze zamknięta na klucz jego szuflada w komodzie. Coś tam wkładał. Ale nie mam klucza.

- To potem spróbujemy ją otworzyć. Czy masz jego zdjęcie?

- Właściwie nie...

- Właściwie?

- No tak. Bo kiedyś zobaczyłam go na fotografii w gazecie. Wycięłam sobie...

- I masz tę fotografię?

Marianna podeszła do regału, na którym leżało w nieładzie trochę książek i papierów. Wzięła gruby tom do ręki i wyjęła z książki gazetowy wycinek.

- Który to Kola?

Zdjęcie zostało wykonane podczas wesołego bankietu. Wokół wysokiego mężczyzny w smokingu skupiło się kilku rozbawionych dżentelmenów. Może właśnie któryś opowiedział dowcip o blondynce albo policjantach? W rękach trzymali talerzyki z jedzeniem i szklanki z napojami. Wśród nich był też facet panienki. On jeden był poważny i z pustymi rękami. Nie jadł, nie pił i nie uśmiechał się. Fotograf uchwycił jego lewy profil.

- To na pewno on? To nie jest zbyt wyraźna podobizna.

- On albo ktoś bardzo podobny.



- Powiedz Marianno, jak ja mam go szukać? Nie wiem, jak się nazywa, gdzie pracuje ani czym się zajmuje. Mam niewyraźne zdjęcie jego profilu - i to wszystko. Nie wiem, czy mieszka w Krakowie.

Dziewczyna milczała. A potem powiedziała bez związku z moimi pytaniami:

- Trzy dni temu dzwoniła właścicielka mieszkania, że nie dostała czynszu. Zgodziła się jeszcze poczekać, bo Kola zawsze płacił w terminie. Do dziesiątego trzeba zapłacić elektryczność. Potem rachunek telefoniczny. A ja mam bardzo mało pieniędzy. Dlatego nie włączam ogrzewania.

- Czym ty się zajmujesz? Uczysz się?

- Zdawałam na grafikę, ale się nie dostałam. Chodzę na lekcje rysunku. Ale za nie też płacił Mikołaj.

- Musisz poszukać pracy...

- On mi nie pozwalał. Mówił, że nie muszę zarabiać. I że mam czekać na niego, a nie siedzieć gdzieś w pracy.

- Teraz już go nie ma. Więc czas na samodzielność. „Łatwo wygłaszać głodne moralne kawałki”, samokrytycznie oceniłem siebie w głębi ducha. „Gdzie ta dziewczyna znajdzie dziś pracę?”. Zaś głośno powiedziałem:

- No, wino się skończyło, a my nadal nic nie wiemy.

- Wino? - dziewczyna zamyśliła się na chwilę. - Coś mi się przypomniało.

- Tak?

- Kiedyś kupiłam wino. Dla Koli, bo ja nie piję alkoholu. I on, gdy zobaczył butelkę, roześmiał się. „Niepotrzebnie kupowałaś - powiedział. - Ja te wina sprowadzam do Polski”.

- Pamiętasz, jakie to było wino? - spytałem zaciękwiony.

- Mołdawskie. Kupiłam je w knajpce naprzeciwko.

- Wiesz co, pójde tam i spróbuję się czegoś dowiedzieć. Niedługo wrócę.

„A przy okazji może kupisz jeszcze butelkę?” - zasugerował mój głos wewnętrzny.

„Pomyślałem o tym bez ciebie. Kupno wina mołdawskiego będzie najlepszym pretekstem do wyciągnięcia informacji”.

Mój plan powiódł się tylko częściowo, to znaczy bez żadnych problemów nabyłem butelkę mołdawskiego wina. Kupiłem też na wynos dwa kebaby, dodatkowo kilka ciepłych chlebków pita i duży pojemnik greckiej sałatki. Nie przeszkadzało mi, że jadłem to samo trzy godziny wcześniej. To są rzeczy, które mogą jeść na okrągło. Podobnie jak pić czerwone wino. Nawet mołdawskie. Natomiast niczego nie dowiedziałem się na temat źródła, z którego te miłe memu sercu („czerwone wino znakomite na serce!” - oczywiście wiecie) napitki trafiają do knajpki.

- Tym zajmuje się właściciel - powiedziała dziewczyna, która sprzedała mi wszystkie przysmaki. A on będzie dopiero jutro. Teraz nie ma ruchu, więc do obsługi całego interesu wystarcza jedna osoba.

Wróciłem zatem do Marianny i przede wszystkim kazałem jej coś zjeść. Z przyjemnością obserwowałem, jak rzuciła się na greckie jedzenie. Nie chciałem się dopytywać, kiedy ostatnio zrobiła sobie porządny ciepły posiłek. A takie duże dzieci chyba powinny jadać regularnie. Dzielnie towarzyszył jej w dziele wchłaniania pokarmów pies o tymczasowym imieniu Waclaw, dla którego dostałem gratisowo kostkę i dużo miękkich chrząstek. Ja zaś otworzyłem sobie butelkę. I przy okazji zobaczyłem na niej małą nalepkę z polskim opisem wina, a także nazwą i nawet adresem importera. A więc mamy ślad.

Kola nigdy nie powiedział Mariannie, czym się zajmuje, przypadkiem jednak wygadał się w sprawie win mołdawskich. Nie lubił się fotografować, ale uwiecznił go fotograf z gazety. Można spróbować pójść też tropem nieaktualnego już telefonu, pod warunkiem, że był kupyony na konkretną osobę. Marianna zachowała jego

numer. Nie jest to dużo, lecz jak na człowieka, który próbował ukryć przed dziewczyną swoją tożsamość, coś niecoś jest.

„Wina mołdawskie zostawmy na jutro”, pomyślałem sobie, „Dziś już hurtownia zapewne zamknie. Natomiast może udałoby się dowiedzieć, kim jest człowiek przedstawiony w większym gronie na niewyraźnej gazetowej fotografii”.

To oczywiście było trudne zadanie. Wiedziałem doskonale, jak takie zdjęcia powstają. Fotograf idzie na imprezę, o której gazeta chce napisać. Rozpoznaje kilka, kilkanaście osób spośród obecnych. I na tych znanych sobie twarzach koncentruje się.

Na zdjęciu wyciętym przez Mariannę znaną postacią był zapewne człowiek w centrum. Zaś Kola, o ile oczywiście był to Kola, a nie ktoś podobny, znalazł się na fotografii przypadkowo. Marianna zanotowała na dole wycinka, z jakiej gazety wycięła fotografię. To był miejscowy dziennik, z którym niegdyś współpracowałem. Wyciągnąłem mój elektroniczny notes i odnalazłem telefon do redakcji.

„To dobra pora, teraz robią jutrzejsze wydanie”, pomyślałem. Zadzwoiłem do działu miejskiego.

- Czy jest Fredek? - zapytałem po prostu.

To z Fredkiem, czyli Alfredem Kłonicą, napisałem niegdyś cykl reportaży śledczych o dziwnych przypadkach krakowskich kamienic. Przejmowali je spadkobiercy, którzy nagle odnajdywali się gdzieś w cudzoziemskich krajach. W imieniu tych cudownie odnalezionych osób występowała pewna warszawska kancelaria prawna. Powszechnie narzeka się na opieszale sądy. Ale nasza kancelaria umiała sobie poradzić z największą nawet przeszkodą. Błyskawicznie załatwiała każdą sprawę. A potem, występując nadal w imieniu swych klientów, którzy stali się już prawowitymi właścicielami cennych kamienic, szybko znajdowała nabywców.

Sprzedawała stare kamienice, niekiedy bardzo piękne i ze świetną lokalizacją, po przystępnych cenach. Tak się składało, że nabywcy byli stale ci sami. Najczęściej spółka z siedzibą w Monaco. Pewnie założona przez miłośników podwawelskiego grodu.

Fredek badał różne powiązania krakowskie, a mnie przypadło zapoznać się szczegółowo z pracą warszawskiej kancelarii. Jak się okazało, miała naprawdę niezwykłe możliwości. Udało się jej nie tylko dotrzeć do osób mieszkających na kilku kontynentach i uzyskać od nich pełnomocnictwa, ale nawet nawiązać kontakty z duchami. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć pełnomocnictwo podpisane przez pewną szacowną niewiastę, która zesłała z tego świata w latach sześćdziesiątych? Zresztą w pięknym wieku dziewięćdziesięciu lat. Gdyby żyła w momencie podpisywania papierów, byłaby zapewne najstarszą mieszkanką globu.

Odezwał się Fredek. Po odpowiedniej porcji męskich czułości, które wymieniliśmy (bo naprawdę polubiliśmy się przy wspólnej robocie), przeszedłem do sprawy.

Oczywiście, znając datę wydania, Fredek zaraz ustalił, gdzie i przy jakiej okazji zrobiono zdjęcie. I postara się zebrać jak najwięcej informacji na temat pana, którego lewy profil udostępniono do oglądania, choć w dość niewyraźnej postaci, czytelnikom gazety. Oddzwonił po kwadransie.

- Konrad, znalazłem w archiwum jeszcze kilka zdjęć z tej samej imprezy. Nawiasem mówiąc, dość szmernej.

- To znaczy?

- A może być, szanowny, wpadł do nas na chwilę? Za pół godziny będzie autor artykułu, który ilustrowało to zdjęcie. On wie znacznie więcej niż ja.

Propozycja została przyjęta z zadwoleнием. Z Fredkiem łączyła mnie bowiem nie tylko umiejętność dobrego współdziałania w dwuosobowym warszawsko-krakowskim zespole dziennikarskim. Także doskonałe porozumienie na temat przyjemności, jaką daje wypicie

szklaneczki w miłym towarzystwie. Fredek co prawda faworyzuje nasze narodowe przezroczyste trunki, ja zaś lubię paletę kolorów: od jasnej słomki do nasyconej ciemnej purpury, czyli, mówiąc po ludzku, wolę każde wino od wódki. Spotkanie zapowiadało się zatem pożytecznie i - być może - nader sympatycznie. Miałem także nadzieję, że Fredek zaproponuje mi nocleg w swoim kawalerskim mieszkanku, zwanym pieśzczotliwie garsonierą. Chciałem bowiem doprowadzić poszukiwania faceta o imieniu Kola i tymczasowym nazwisku Adalewicz jak najdalej się da, zanim oddam się pracy nad scenariuszem praskich odcinków Alfabetu Bachusa. Może jutro po południu znajdę w redakcji Fredka wolny komputer i napiszę na miejscu te kilka niezbędnych stron dla Agnieszki?

Zanim wyruszyłem do redakcji, postanowiłem przyrządzić się skarbowi faceta, schowanym w zamkniętej na klucz szufladzie komody. Nie chciałem się włamywać. Bo choć zameczek wyglądał na słabiutki, pozostawiłbym ślady. Odwróciłem więc komódkę i zwykłym nożem kuchennym, który otrzymałem od Marianny, podważyłem, a następnie zdjąłem tylną ścianę mebla.

Znam te mebelki do samodzielnego montażu, kupowane w paczkach w sklepach sieci Ikea. Sam nieraz składałem podobne różnym aktualnym narzeczonym. Są tak wymyślane, żeby mógł je złożyć amator bez doktoratu ze stolarstwa. Łatwo je więc zmontować. Równie łatwo rozmontować. Marianna wraz z Wacławem przypatrywali się z podziwem moim działaniom. Obydwojgu humory wyraźnie się poprawiły po kolacji.

Zdjąłem bez trudu tylną ściankę właściwej szuflady. Jeżeli nawet odłupały się tu jakieś drzazgi, to raczej niewidoczne z przodu. Po ponownym przybiciu dykty, która osłania komódkę od tyłu, ślady zbrodni zostaną

dobrze ukryte. A więc Kola nawet się nie domyśli, że ktoś grzebał w jego skarbach.

- Sezam otwarty, mademoiselle - powiedziałem uroczyście.

Szuflada była niemal pusta. Znajdowała się w niej jedynie żelazna kasetka. Niestety, zamknięta na solidnie wyglądający zameczek. Dodatkowo została oplatana w przemyślny sposób mocnym łańcuchem spiętym kłódką.

- Jakież skarby trzyma tu twój Kola?

Marianna paliła papierosa i milczała.

- Tego to ja już nie otworzę. A gdyby nawet, to zostaną ślady włamania.

- Więc co zrobisz?

W tym pytaniu wyczułem leciutki ślad czegoś, co dobrze znałem z moich stosunków męsko-damskich. Marianna to typ powoju, który musi się na kimś oplatać. Zabrakło dotychczasowego faceta, więc już szuka kolejnej mocnej podpórki. Nawet nie zauważę, kiedy obsadzi mnie w roli pomocnika, opiekuna czy nawet sponsora. Zrobi to tak skutecznie, że się nie wywinę. I na nic nie zdadzą się tłumaczenia, że angażu do tej roli nie podpisywałem.

To bardzo dziwne, że przyciągam takie dziewczyny. Człowiek niepewny, niebogaty, nieustabilizowany, a one we mnie widzą podporę. Ja zaś, niestety, łatwo daję się wykorzystać, użyć do jakiegoś zadania. Jednak tym razem nie zamierzałem odgrywać roli tatusia dziewczynki. Więc odpowiedziałem:

- Raczej co zrobimy. Mogę zabrać kasetkę i poszukać fachowca od otwierania takich zameczków. Ale co będzie, gdy zjawi się w tym czasie Kola? Co mu powiesz? Mogę też schować z powrotem kasetkę do szuflady, pozbijać komódkę, czyli zostawić wszystko tak jak było. Decyzja należy do ciebie.

- Kola chyba nie przyjdzie. Więc zabierz kasetkę.

- A jeśli jednak się pojawi?
- Powiem mu prawdę. Bardzo się o niego martwiłam i szukałam sposobu, jak go odnaleźć. I pomyślałam sobie, że może w kasetce są jakieś jego dokumenty z adresem albo telefonem. Więc dałam ją komuś, kto spróbuje ją otworzyć.
- Dobrze. To twoja decyzja - podkreśliłem.

## 4

- Awansowałeś. Gratuluję i podziwiam - rzekłem na powitanie.

Swe pierwsze kroki skierowałem do działu miejskiego, odesłano mnie jednak do pokoju sekretarza redakcji. Tam teraz siedział redaktor Kłonica.

- Cóż było robić, kolego szanowny - powiedział Fredek. - Społeczność redakcyjna zażądała, nie można się było wykręcić.

- Społeczność czy zwierzchnictwo?

- Naprawdę społeczność. Bo my tu jesteśmy w siedemdziesięciu procentach właścicielami gazety. My, czyli czarna dziennikarska siła robocza.

- To wy bogacze jesteście, prawdziwe dzieci kapitalizmu.

- Jaki tam ze mnie bogacz? Najwyżej na papierze. Przecież ja nie sprzedam moich udziałów w wysokości jednego i ćwierć procenta całości, bo musiałbym wtedy poszukać sobie innej roboty. Dywidendy nie możemy się dopracować już trzeci rok z rzędu. A gdy jest jakieś zawirowanie finansowe, to właściciele szanowni, tacy jak ja, dostają pensję najpóźniej.



- Oj, narzekasz mi, szanowny - rzekłem w stylu Fredka.

A on, świecąc sympatyczną łysiną, która powiększała swoje hektary przy każdym naszym kolejnym spotkaniu, powiedział spokojnie:

- Skądże znowu, przedstawiam jedynie obiektywny obraz całości. Ale może kawkę, jak wy tam w aktualnej stolicy mawiacie?

- Dziękuję, wypilem dziś już dosyć. I to znakomitej czarnej.

- Winkiem służyć koledze szanownemu nie mogę, bo tu miejsce pracy. Może trochę później, o ile wytrzymasz do zamknięcia numeru.

W otwartych przez cały czas drzwiach do pokoju stanął wysoki młody człowiek. Rozwiczrzony długi włos i rzadka rudawa broda nadawały mu wygląd prawdziwie krakowski. Gdyby na ramiona narzucił pelerynę, mógłby zagrać w mym programie o absyncie malarza albo poety z przełomu wieków. Już poprzedniego przełomu. Jakże ten czas leci.

„Jakaś artystyczna dusza”, pomyślałem.

- Jest wreszcie nasz Antoś szanowny - stwierdził Fredek. - Godnie mnie zastępuje jako dziennikarz śledczy, gdy ja tu wysiaduję numer gazety za biurkiem.

Antoś był autorem artykułu o imprezie, na której sфотоgrafowano lewy profil sponsora Marianny. Impreza niby oficjalna, z okazji otwarcia nowego salonu samochodowego. Zawezwano prasę, rozdano materiały reklamowe i upominki. Była oczywiście lampka wina i kanapki z kawiozem. Potem część gości przeniosła się do pobliskiej restauracji. I tam przybyła grupka nowych. Prasy już nie proszono, ale Antoś się wkręcił. Na dodatek wykonał kilka zdjęć.

- Ukryta kamera? - zapytałem.

- Miałem mały, ale bardzo dobry aparat cyfrowy, więc nie używałem flesza. I jakoś mi się udało. Chociaż się, kurdelemele, bałem jak cholera. Mojemu koledze na podobnej imprezie i w tym samym prawie składzie

osobowym nie tylko potłukli aparat, ale złamali też dwa żebra. „Jak przyjdiesz jeszcze raz z kamerą - powie-dzieli mu - to ci jaja urwiemy! A potem do dołu z ce-mentem”.

- Co to było?! Spotkanie satanistów?

- Skądże. To bardzo szacowni nasi obywatele. Ten w smokingu - Antoś wskazał na znane mi zdjęcie - dwa lata temu był jeszcze wiceprezydentem miasta. Do dziś zdążył zaliczyć trzy miesiące aresztu, ma dwa procesy i sporo, kurdemele, kłopotów.

- A wszystko zaczęło się od artykułu Antosia sza-rownego i tego zdjęcia w naszej gazecie - pochwalił Fredek. - To Antoś jest największym kłopotem dla wielu bohaterów jego tekstów.

- Gratuluję - rzekłem - a czy zna pan wesołą gromad-kę, która otacza byłego wice?

- Prawie całą. To są równie szacowni przedstawicie-  
le tak zwanej elity. Politycy, biznesmeni, gangsterzy. Ten grubasek z kieliszkiem koniaku o niewinnym spoj-  
rzeniu dziewczycy to słynny Gangrena. Mafioso całą swą  
tłustą gębą. Na zdjęciu tego nie widać, ale nosi na gru-  
bym paluchu sygnet, który każe całować swym chłop-  
com. A jak chce kogoś zlikwidować, wymienia tylko  
nazwisko i przekręca pierścień. Wszyscy wiedzą, że to  
jest wyrok. Trochę siedział, ale ma podobno tak słabiu-  
tki organizm, że dalszy areszt, kurdemele, mógłby za-  
szkodzić jego delikatnemu zdrowiu. Więc teraz sobie  
bryka na wolności.

- A ten wąsaty chudzielec obok niego?

- Poseł, wielki wróg lewicy. Zawsze protestuje, gdy  
SLD próbuje się włączyć do obchodów narodowych  
świąt. „Wara wam, to nasze święto!” - woła w patrio-  
tycznym zapale. Na zdjęciu trzyma prawie pod rękę  
drugiego posła. Tego z buzią idioty i talerzem pełnym  
żarcia. To zdeklarowany socjalista, z bogatą przeszło-  
ścią. Był w PZPR-ze do końca. Znany typ: mierny, ale  
wierny. Wierny linii partii.

Jak partia włączyła się do budowy kapitalizmu, to kur-demele i on. Już sporo sobie pobudował kapitalistycznych przybytków.

- Wie pan dużo o tych dżentelmenach - powiedziałem z podziwem.

- Nie wiem prawie nic - Antoś posmutniał. - To, co panu opowiadam, wiedzą prawie wszyscy.

- Nadmierna skromność, Antoni szanowny - Fredek oderwał na chwilę wzrok od kolumn gazety, które mu przed chwilą przyniesiono.

Miał cechy doskonałego sekretarza redakcji: umiał się skoncentrować na swojej robocie, chociaż obok rozmawialiśmy w najlepsze, i zarazem śledził naszą pogawędkę. Zaiste napoleońska podzielność uwagi.

- Widzę, że Kraków dogania Warszawę w ilości brudów na metr kwadratowy - powiedziałem.

- Nasz przyjaciel szanowny - poinformował Fredek kolegę - jest wielkim miłośnikiem stołecznego królewskiego miasta Krakowa. Więc jego zmartwienie jest szczerze.

- W takim razie witam w klubie - rzekł Antoś.

Ja kocham Kraków bardziej niż aktualną stolicę naszego kraju i Alfred Kłonica, redaktor szanowny, wie to znakomicie. Kocham krakowskie Planty i Stary Teatr (przez pamięć dla dawniejszej świetności). Kocham Rynek, największy ponoć w Europie (a może drugi po placu Świętego Marka w Wenecji? Trzeba kiedyś wymierzyć krokami), i Piwnicę. Ale przede wszystkim kocham styl życia mieszkańców byłej stolicy. Moja wrodzona radość życia, która objawia się co prawda tylko sezonowo, porą letnią i słoneczną, jest z ducha swego krakowska, galicyjska. A nie mazowiecka, czyli nudna jak te piaszczyste równiny otaczające Warszawę.

- Szczególnie interesuje mnie ten oto - wskazałem palcem - pan.

- Tu mam, kurdemele, problem. Widziałem go raz czy dwa na podobnych konwentyklach, na których politycy bratali się z gangsterami i szemranym biznesem. Ale czy on z mafii, czy z biznesu, czy z demokratycznego wyboru - nie umiem powiedzieć. I zawsze bestia tak się ustawi, kurdemele, że na zdjęciu widać tylko profil albo fryzurkę od tyłu.

- Antoś, a może mógłbyś sprezentować naszemu gościowi odbitki z imprezy? Ty masz to wszystko w komputerze, więc w razie czego sobie wydrukujesz nowe.

- Oczywiście. I zrobię opis bohaterów tego cyrku, których potrafię rozpoznać z widzenia i z nazwiska.

- Wielkie dzięki - rzekłem ze szczerą wdzięcznością. Antoś ponumerował postacie na zdjęciach i na osobnej karcie sporządził krótkie i dosadne ich charakterystyki. A potem odmaszerował do innych zadań.

- Fredku, czy nie znasz przypadkiem jakiegoś zdolnego kasiarza? - zapytałem, gdy znaleźliśmy się sami.

Mój przyjaciel popatrzył na mnie badawczo.

- Czym ty się zabawiasz, szanowny? Czy aby granice śledztwa dziennikarskiego nie zostaną przekroczone?

- Wierz mi albo nie, ale ja prowadzę śledztwo prywatne. Mam przyjaciółkę z lat szkolnych, zresztą też dziennikarkę... Dorota Szopa...

- Kasia? Znam, a jakże. Bardzo ruda i bardzo piękna.

- No więc wszystko rozumiesz. Kasi nie sposób odmówić. Ona poprosiła mnie o odszukanie faceta jej krakowskiej znajomej, który zaginął. Jest to ten facet ze zdjęcia.

- A ta znajoma wie o twoich poszukiwaniach?

- Oczywiście.

- I nie dała ci lepszego zdjęcia?

- Nie dała, bo nie ma. Ona nawet nie zna nazwiska faceta.

- Jestem być może tępy krakus, ale naprawdę, szanowny, niczego nie pojmuję.

- No to ci powiem wszystko, ale proszę o dyskrecję. Dobrze?

Wyjaśniłem delikatne aspekty sprawy. A potem pokazałem spletaną łańcuchem kasetkę. Fredek wyciągnął z kieszeni szwajcarski scyzoryk. Piękna zabawka dla chłopców w każdym wieku. Ostrza, pilniki, śrubokręt, nawet korkociąg i jeszcze kilka bajerów o tajemniczym przeznaczeniu. Może wśród nich jest i wytrych?

- Czy mógłbyś podać mi z szafy za tobą dużą kartkę papieru formatu A3?

Odwrociłem się w kierunku szafy.

- Zamknięta - stwierdziłem.

- Na korytarzu jest kserokopiarka. Tam zawsze leży obok papier. Przynieś z łaski swojej. I czy mógłbyś zamknąć drzwi za sobą? - poprosił jeszcze mój sympatyczny kolega.

Trochę się zdziwiłem, bo cały czas pracował w swojej kanciapie przy odsłoniętej kurtynie. Ale może nie chciał, żeby ktoś z redakcji zobaczył kasetkę. W owijających ją łańcuchach wyglądała naprawdę podejrzanie.

Zamknąłem drzwi, poszedłem kawałek korytarzem, znalazłem kserokopiarkę, wziąłem dwie duże kartki papieru i wróciłem do pokoju.

„Po co mu ten papier?“, myślałem.

Na biurku stała otwarta kasetka, a obok leżał łańcuch z otwartą kłódką.

- Ach ty - powiedziałem, kiedy już mogłem mówić, to znaczy minęło mi tak zwane zamurowanie. - Wysłałeś mnie po papier, żebyśmy nie podpatrzył twoich sztuczek.

- Widzisz, szanowny, obiecałem coś pewnemu wielkiemu krakowskiemu kasiarzowi, który nauczył mnie tych sztuczek, jak powiadasz. Otóż przyrzekłem mu, że wraz ze mną odejdą one do historii.

- Ja i tak bym ich nie opanował. Mam dwie lewe ręce do takich rzeczy... Ale zrobiłeś to błyskawicznie.

- Bo to bardzo proste zamki. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie nacisnąć.

- Zobaczmy wreszcie te skarby sezamu.

W kasetce znajdowały się dwa pliki luźnych banknotów. Większe to euro, w nominałach po pięćset. A mniejsze - dolary, po sto. Tak na oko było z dziesięć tysięcy dolarów i euro. W przeliczeniu na polskie - osiemdziesiąt kilka tysięcy złotych. Jeżeli pieniądze Kola schował na czarną godzinę, to mógł za nie przeżyć tę godzinę bardzo przyjemnie.

Oprócz banknotów leżała w kasetce gruba otwarta koperta. Fredek wyjął z biurka pęsetkę i przy jej pomocy delikatnie wydobył to, co w niej było.

- Nigdy nic nie wiadomo - rzekł - może ktoś będzie chciał zdjąć odciski palców.

W kopercie były dwa paszporty. Fredek, nadal posługując się pęsetką, otworzył pierwszy z nich.

- Chyba nasz znajomy - pokazał na zdjęcie.

Na fotografii w paszporcie widać było lewe ucho właściciela, które znaleźliśmy już ze zdjęcia w gazecie. Uszy się zgadzały, a resztę trudno było porównać.

- Chyba tak.

- Proszę, to jest pan Vanvonmeerde. Obywatel holenderski. Urodził się w 1961 roku, a więc ma czterdzieści jeden lat. Jantje Vanvonmeerde. Miło, że przedstawił się pan.

- Zobaczmy drugi paszport. Ten jest rosyjski.

- Znów ten sam dżentelmen, tyle że zdjął krawat.

- Włożył za to ładny golf. Nazywa się... Nikołaj Wytiagajczenko. Niemnożko postarzał od holenderskich czasów, teraz jest z rocznika 1960. Ale wygląda tak samo zdrowo, jak na poprzednim zdjęciu.

- Coś mi tu źle pachnie, szanowny. Jakiś duży smrodzik, i to międzynarodowy.

- To co, umywamy ręce i przekazujemy sprawę dalej?

- Dalej?

- Nie brakuje tak zwanych organów... Centralne Biuro Śledcze, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Biuro Ochrony Rządu, są też komandosi z „Gromu”, jest poseł-detektyw Rutkowski...

- Poczekaj, kolego szanowny - zatrzymał mnie redaktor Kłonica - poczekaj. A może tu jest materiał na duży artykuł? U nas w gazecie przydałaby się jakaś sensacja. Może nakładzik byśmy podnieśli?

- I wreszcie zysk, a więc i dywidendę trafili. Czyż nie tak, mój przyjacielu kapitalisto?

- Nie odmówiłbym, gdyby coś kapnęło. Człowiek coraz starszy, a żyje z miesiąca na miesiąc, jak jakiś student albo artystyczny cygan. Zero oszczędności. Przydałoby się kapitalik zgromadzić na czarną godzinę.

- Towarzysz Wytiagajczenko, a może pan, czyli heer Vanvonmeerde, schował sobie parę groszy.

- Ale przecież tego nie ruszymy, kolego szanowny.

- Ano nie ruszymy. Taka uczciwość to anachronizm, ale cóż robić, gdy człowiek nie przystosowany do czasów nowoczesnych. Przeszarżała moralność i tyle.

Postanowiłem coś sprawdzić. Zatelefonowałem do Warszawy. Pora późna, ale mój przyjaciel często długo siedzi w pracy.

- Cześć Jacku - powiedziałem.

- O, dawno niesłyszany głos. Dzwonisz, boś się tęsknił za starym kolegą? Albo odnalazłeś w piwnicy wino znakomite i nie masz z kim opróżnić butelki?

- Jacku, jesienią ja nie tęsknię, w ogóle przestaję cokolwiek odczuwać. Zostaje tylko gnuśne ciało, dusza zasypia. Wina zaś pijam ostatnio zwyczajne. Ale wyjątkowo mam sprawę...

- Więc to z interesem pan redaktor!

- Niestety, z interesem. Zapytam po prostu: czy znasz nazwiska Vanvonmeerde, Wytiagajczenko, Adalawicz? To może być jedna i ta sama osoba.

- Ile mam czasu na odpowiedź? - zażartował Jacek. - I co mogą wygrać?

- Wydaje mi się, że gramy w tę samą grę. To podejrzana persona.

- Dobrze. Zadzwoń za godzinę.

- Będziesz jeszcze w pracy?

- Miałem już iść, ale okazało się przed chwilą, że mam jeszcze trochę roboty.

- Wybacz, ale to naprawdę wydaje mi się ważne.

- OK, nie ma sprawy, to znaczy jest sprawa. Do zbadania.

Fredek zerkał w ekran monitora i przeglądał kolumny jutrzejszego wydania. Ja zaś wziąłem jedną z przyniesionych kartek dużego formatu i próbowałem naskicować scenariusz programu o absynccie.

Na razie notowałem luźne skojarzenia. Słońce, sztuka, dekadencja, kawiarnia. Wyłącznie piękne rzeczy przychodziły mi na myśl. Przypominałem sobie, co pamiętam o tym ulubieńcu paryskich malarzy i poetów. Nazywali go zieloną muzą. Czy ten kolor dawał koper włoski, jeden ze składników nalewki? Gorzkawy smak brał się z anyżu. A piołun powodował nie zawsze miłe skutki. W małej ilości zawroty albo bóle głowy, w większych - halucynacje. Poetom halucynacje chyba służą, ale francuskie władze uważały inaczej i zakazały produkcji alkoholu.

Absynt często rozcieńczano. Nawet istniała specjalna technika przyrządzania napitku. Na kieliszku umieszczano dziurkowaną łyżeczkę z kostką cukru, którą polewano wodą. Czy dzięki takiej operacji piołun był mniej gorzki? Na pewno zawartość kieliszka mętniała i robiła się biaława. Absyntu w taki sposób nigdy nie piłem, ale widziałem podobne skutki dolewania wody do różnych greckich trunków również robionych na anyżku.

„Przydałby się wiersz z tamtej epoki”, pomyślałem. Zamiast wiersza przypominałem sobie, że w Ermitażu jest obraz Picassa zatytułowany *Absynt*. Gdzieś niedawno



o nim czytałem, jednak trzeba sprawdzić. Jeżeli dobrze pamiętam, kobieta, jeszcze prawie realistyczna, bez trzeciego ucha czy drugiego nosa, za to z czarnym ko-kiem na głowie, siedzi przy kawiarnianym stoliku i wpatruje się w kieliszek. A obok stoi syfon z wodą sodową.

Wytrzymałem z absyntem trzy kwadranse, a potem zadzwoniłem ponownie do Jacka.

- Oto co wolno ci wiedzieć - zaczął poważnie Jacek.

- Vanvonmeerde jest europejskim ekspertem zajmującym się praniem brudnych pieniędzy...

- To znaczy, że on sam pierze, czy raczej doradza, jak wyprać?

- Konrad, to jest człowiek pracujący dla wielkich banków. A oni prześwietlą takiego eksperta dokładniej niż policja, nim dopuszczą go do swoich tajemnic. Musi być poza jakimkolwiek podejrzeniem. Facet pomaga wykrywać przypadki prania... Często przyjeżdża do Polski. Ostatni raz był u nas przed kilkoma tygodniami.

- A gdzie jest teraz?

- Skąd mam wiedzieć? Ja mogę dostać tylko informacje o tym, kiedy on przekraczał granicę RP. W jedną lub w drugą stronę. A poza tym przecież go nie inwigilujemy. Żyjemy w wolnym kraju. Tym bardziej nie śledzimy jego poczynąń poza Polską.

- A ten drugi, Rosjanin?

- Raczej podejrzana postać. Moja rada - odpuść sobie.

- Ale to ktoś inny niż nasz Holender.

- Oczywiście. Holender wyjechał, a ten Wytiagajczenko jest aktualnie w Polsce. I już nie wyjedzie.

- Co to znaczy?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- To jeszcze pozostał Adalewicz...

- Nie powinienem też ci mówić, ale to, zdaje się, rzeczywiście jest drugie nazwisko Wytiagajczenki. Tyle że brzmi Adajewicz.

- Bardzo możliwe.

- To by było na tyle. Powiedziałem, co mogłem, i idę wreszcie do domu.

- Jacku, powiedz mi jeszcze jedno.

- Słucham - odezwał się zmęczonym głosem mój przyjaciel glina.

- Gdzie mogę znaleźć tego Adajewicza?

- Naprawdę musisz wiedzieć?

- Naprawdę.

- Na cmentarzu. Kilkanaście dni temu wpadł pod tramwaj w Krakowie. Był mocno pijany.

- Nikt mu nie pomógł?

- Kilka osób, jak podejrzewam, mogła ucieżyć jego śmierć. Ale to był naprawdę wypadek. A tobie co chodzi po głowie?

- Już nic. Ale chciałbym usiąść z tobą na stronie i chwilę pogadać. Miałbyś godzinkę pojutrze?

- Dobrze, zadzwoń z rana. A może jutro? Mam trochę luzu.

- Jutro jeszcze zostanę w Krakowie. Dobranoc, za dzwonię w piątek rano.

Wyobraziłem sobie zdziwienie Jacka, gdy na zakończenie rozmowy wspomniałem, że jestem w Krakowie. A więc w mieście, w którym zginął Adajewicz, prawdopodobnie vel Wytiagajczenko. Mała niespodzianka dla mojego przyjaciela. Niech chwilę pomyśli, dokąd ja doszedłem w moim śledztwie. Może dzięki temu coś mi jeszcze szepnie na ucho?

- Facet, którego szukam, podobno nie żyje - poinformowałem Fredka. - Miał wypadek, wpadł pod tramwaj.

- Tutaj, w Krakowie?

- Tak.

- Odnotowujemy na stronach miejskich każdy wypadek z tragicznym zakończeniem.

Przejrzeliśmy dwa razy zszywkę gazety z ostatniego miesiąca. Nikt nie wpadł ani pod tramwaj, ani pod autobus. Zdarzyło się oczywiście kilka wypadków drogowych, jeden nawet z ofiarami śmiertelnymi. Podano ich inicjały, wiek, płeć. Nic nie pasowało. Chyba, że facet zmieniał dowolnie nie tylko nazwisko i zginął jako pięćdziesięciopięcioletnia kobieta.

- Mówiłem, szanowny, że sprawa śmierdzi. A czy twój informator jest wiarygodny?

- To mój bardzo dobry kolega. Pracuje w Centralnym Biurze Śledczym. I nigdy nie kłamie. Po prostu mówi mi tyle, ile może.

- Zatem utajniono ten wypadek.

„Jeżeli facet nie żyje, nie muszą spieszyć się z oddaniem kasetki Mariannie”, pomyślałem. „Paszporty zabiorę do Warszawy i przekażę je Jackowi. Chyba powinno go zastanowić, że holenderski specjalista od prania brudnych pieniędzy wyjechał z Polski bez paszportu”.

Poprosiłem Fredka o przechowanie kasetki w redakcyjnym sejfie.

„Właściwie, jeżeli facet nie żyje, to zostawione przez niego waluty można potraktować jako spadek i przekazać Mariannie. To by ją jakoś ustawiło na pewien czas”, myślałem.

Nie miałem siły ani ochoty, żeby zadzwonić do dziewczyny i zawiadomić ją o odejściu sponsora. I to odejściu ostatecznym. Zasada jest prosta: dobre wiadomości natychmiast, złe - jak najpóźniej.

„Poproszę Kasię, żeby to ona była smutnym listonoszem”, pomyślałem. „W końcu to jej znajoma”.

Im dłużej się nad sprawą zastanawiałem, tym bardziej myślałem, że właściwie zakończenie jest pozytywne. Dla mnie, ale również dla Marianny. Ta duża dziewczyna o wyglądzie i z charakterem dziecka

oczywiście mocno przeżyje śmierć swego faceta, ale może wreszcie usamodzielnia się. Ja zaś zajmę się tym, czym powinienem w tej historii. Nie chcę bowiem już żadnych znikających dziewczyn ani facetów. Znikająca blondynka to zamknięta, poprzednia historia. Teraz chcę wraz z Agnieszką robić programy telewizyjne. Zamierzam zacząć od absyntu i, idąc alfabetyczną, wskazaną przez panią Miss, drogą, dojść na przykład do żubrówki. Czyli od podejrzanego narkotyku w płynie, pitego przez bohemę artystyczną, do przyzwoitego narodowego trunku. Dzięki mnie żubrówka może stać się polską chlubą. Poszukiwaną naszą marką, którą będzie znał cały świat. Jak fińską nokię, włoskiego fiata albo amerykańską coca-cole, czy także amerykańskiego hamburgera.

Wymyślono niedawno, że polskim symbolem ma być biało-czerwony latawiec. Czyż nie lepsza byłaby w tej roli żubrówka? Produkt ekologiczny (bo z trawką), a zarazem poprzez tytułowego żubra odsyłający do puszczańskich ostępów. Czyli naszych źródeł. Z puszczy (albo z lasu) wyszliśmy i do lasu wrócimy. Tam nasze miejsce.

## 5

W zeszły wtorek poznałem Agnieszkę, we środę byłem w Krakowie, we czwartek wieczorem wróciłem do Warszawy. Mijały kolejne dni. Codziennie rozmawiałem telefonicznie z panią Miss. W piątek i w sobotę nawet po dwa razy.

Agnieszka, jako producentka Alfabetu Bachusa, okazała się gejzerem albo wulkanem (co wolicie) energii. Jeszcze w Krakowie przyjęła scenariusz, który napisałem w parę godzin na prywatnym komputerze Fredka w jego garsonierze. I nawet wypłaciła tysiąc złotych polskich zaliczki. Bardzo mnie to ujęło. Bo, po pierwsze, z pieniędzmi było u mnie krucho, a po drugie, dziś coraz rzadziej zdarza się, żeby ktoś płacił z góry. Płacą raczej z dołu, i to dużego dołu. Nawet w niby poważnych gazetach potrafią zalegać z honorariami za teksty dawno opublikowane i skonsumowane przez P.T. Czytelników.

Ona zaś po prostu, gdy już wyszliśmy z kawiarni, gdzie dyskutowaliśmy o moim projekcie, podeszła do bankomatu, wypłaciła pieniądze i wręczyła mi dziesięć nowych stużłotowych banknotów. Na moje lekko zdziwione spojrzenie, rzekła, grasejując:

- Rhozliczymy się później. Terhaz nie mam czasu na forhmalności.

„Amatorhszczyzna, amatorhszczyzna” - skomentował, przedrzeźniając, mój wstrętny głos wewnętrzny.

„Bardzo sympatyczna amatorszczyzna” - odpowiedziałem.

Z kolejnych telefonów dowiadywałem się, że właścicielka „Trochełko Production Ltd.” jednak profesjonalnie zabrała się do rzeczy. Błyskawicznie znalazła w Pradze czeską firmę, która na miejscu załatwiała konieczne formalności. Także miała wyszukać odpowiednie lokale na nagrania i uzgodnić coś tam z ich właścicielami. Natomiast sama Agnieszka w Krakowie kompletowała ekipę i rozmawiała ze stacją telewizyjną, która chciała kupić program.

Wysłuchiwałem cierpliwie, a nawet z przyjemnością relacji pani Miss, bo po prostu polubiłem jej głos.

Myślicie, że się zakochałem? Jeżeli tak, to ukrywałem to nawet przed sobą i przed moim głosem wewnętrznym. A przed nim naprawdę trudno ukryć cokolwiek, co wiąże się z tak zwanym moim wnętrzem. Więc chyba jeszcze to nie to. Poczekam z zakochaniem się do lata.

Jednak nawet w lecie, kiedy to zapewne rozkwitnie moja radość życia, na którą często brały się dziewczyny, nie mam wielkich szans u Miss. Zbyt duża różnica wieku i temperamentu - ona gejzer albo wulkan (czy wybraliście już lepsze określenie?) energii, ja - raczej natura spokojna, wolę kontemplować życie, niż je zmieniać. Jesienią zaś czy zimą jestem wręcz flegmatyczny. Jak Anglik. Dlaczego Anglicy są flegmatyczni? Bo u nich niemal zawsze panuje jesienny niż, z mgłą, mżawką i wilgocią w powietrzu.

A przecież poznaliśmy się jesienią. Więc jeżeli o miłości decyduje najczęściej pierwsze wrażenie, moje szanse u Miss są tym bardziej nikłe. Poznała flegmatycznego, starego faceta, którego jedyną znaną jej pasją życiową są alkohole z całego świata.

Powie ktoś, że miłość nie jest wynikiem kalkulacji i oceny szans. Powie ktoś inny, że miłość to nie grypa, która jest chorobą sezonową i może spaść na człowieka (miłość, nie grypa) o każdej porze roku. Niby tak. Ale jeżeli ktoś tak jak ja żyje sobie na tym łez padole prawie lat czterdzieści, to chyba już zdążył zrozumieć, jak u niego jest z miłością. I jak z miłością jest w ogóle. Więc może kalkulować, posługiwać się rachunkiem prawdopodobieństwa dla wyliczenia szansy na zakochanie się, a także zastanawiać się nad warunkami pogodowymi, które miłości służą.

Oczywiście telefony od Agnieszki nie wypełniły mi w całości tych kilku dni. Próbowałem zrobić jeszcze coś w sprawie zaginionego faceta. Zadzwoiłem do Kasi i przekazałem jej informację o wypadku, w którym zginął Kola. Dorota czyli Kasia, przyjęła moje sprawozdanie z niedowierzaniem. Może sądziła, że zmyślam, aby wykręcić się od dalszych poszukiwań? Czułem też, że wcale nie ma ochoty dzwonić do Marianny, o co ją poprosiłem. Nie dziwię się, ja również nie chciałem występować w roli listonosza przynoszącego złe wiadomości.

Ruda dziennikarka, przekonałem się o tym kilkakrotnie, wyposażona jest w intuicję godną Perry'ego Masona albo Herkulesa Poirot, najwybitniejszych detektywów w światowej literaturze. Chociaż nie powiedziałem jej o kasetce, o walutach i o paszportach, i tak uznała śmierć pod kołami tramwaju za nieprawdopodobne zakończenie biografii Koli. A może nie była to tylko intuicja? Wydało mi się bowiem, że Kasia nie podzieliła się ze mną całą swą wiedzą na temat tajemniczego sponsora Marianny.

Mnie jednak nie chciało się niczego dociekać. Przecież w ogóle nie chciałem zajmować się tą sprawą. Więc to nie ja, lecz Kasia pytała.

- Skąd wiesz o tym wypadku, przeczytałeś w gazecie?

Musiałem przyznać, że właśnie jak raz w gazetach na ten temat nic nie było.

- Sam widzisz. To jest podejrzana historia.

Zastanawiałem się, czy wolno mi powoływać się na Jacka. Kasia jednak wiedziała o przyjaźni łączącej mnie z tym sympatycznym policjantem i na pewno domyśliła się od razu, że on był moim informatorem.

- Ciągłe nie mogę się wyrwać - powiedziała wreszcie - ale naprawdę chętnie przyjrzałabym się sprawie z bliska. A może zrobilibyśmy to razem, jak w sprawie blondynki? Tyle że za kilka dni.

„Co to, to nie. Ja naprawdę mam teraz inne plany”, pomyślałem.

Jeszcze w Krakowie postanowiliśmy z Fredkiem, że zrezygnujemy z dziennikarskiego śledztwa. Ja nie miałem czasu ani ochoty, on - jeżeli nawet miał ochotę - nie miał czasu, a Antoś szanowny zajęty był ponad reporterską miarę innymi ciekawymi sprawami.

Więc spotkałem się z Jackiem i pokazałem mu paszporty. Miałem wątpliwości, czy przyznać się memu przyjacielowi, w końcu to glina, do włamania do kasetki. Na początku nawet trochę kręciłem. Ale on uznał moje działanie za w pełni usprawiedliwione.

- Przecież dostałeś kasetkę od osoby mieszkającej w mieszkaniu, w którym ta kasetka się znajdowała - wywodził. - Co więcej, ta osoba poprosiła cię o sprawdzenie, co znajduje się w środku.

Obejrzał paszporty szczegółowo, coś sobie zanotował i pochwalił nasze starania, żeby nie zatrzeć ewentualnych odcisków palców.

- Tak trzymać nadal - powiedział. - Być może ktoś się do ciebie jeszcze zwróci. Jeżeli powoła się na mnie, możesz mu paszporty pokazać albo przekazać.



- Więc zabierz je od razu. Chciałbym mieć to zupełnie z głowy.

Jacek jednak nie chciał zabrać paszportów. („Ty mogłeś je wyjąć z kasetki, ja nie mam prawa. Oglądałem je nieoficjalnie”). Co więc miałem z nimi zrobić? Przypomniałem sobie, jak w takich wypadkach postępują bohaterowie zachodnich kryminałów. Opakowałem kopertę z paszportami na wszelki wypadek w folię, włożyłem do większej koperty i wysłałem na własny adres. Listem poleconym z potwierdzeniem odbioru. Jeśli listonosz mnie nie zastanie w domu (o co się postaram), zwróci przesyłkę na pocztę. Będę mógł ją odebrać w ciągu dwóch tygodni, okazując dowód osobisty. Paszporty będą w miarę bezpieczne, tylko ja będę mógł je odebrać i to w dogodnym dla siebie terminie. Prawda, że wygodny i tani sposób przechowania ważnych dokumentów?

Wyznaczony został dzień nagrania. Środa. Agnieszka, wraz z ekipą, miała przyjechać przed południem samochodem z Krakowa („wyjedziemy bardzo wcześnie, może nawet w nocy”), a ja już dzień wcześniej udałem się do Pragi nocnym pociągiem z Warszawy. Chciałem przed nagraniem połaźić po mieście, pooddychać jego atmosferą. I oczywiście napić się piwa. W tym sezonie, prócz pilsnera, królowały dwa gatunki: kruszowice i gambrinus. Obydwa znakomite. Próbowałem jednego, potem w sąsiednim lokalu drugiego i znów wracałem w jeszcze innym miejscu do pierwszego. Przy okazji, wędrując od knajpki do knajpki, zwiedzałem miasto. W sposób, który odpowiada mi najbardziej. Bez planu miasta w ręku, unikając muzeów, natomiast ciesząc się z własnych odkryć: tu czarowny zaułek, tam ulica z nieoczekiwaną perspektywą, a jeszcze gdzieś indziej kamienica o zadziwiającej architekturze. Zresztą w Pradze takich kamienic są setki.

Postałem chwilę przy młodym brodaczu, który grał na saksofonie. Nie zważając na chłód i na brak słuchaczy, wkładał w grę duszę. Potem wypilem szklaneczkę grzanego wina, które kupiłem w kiosku nieopodal ratusza na Staromiejskim Rynku. Obejrzałem oczywiście wraz z tłumkiem gapiów figury apostołów, które ukazują się co godzinę w okienku ratuszowego zegara. Czas szybko mijał. „Szkoda, że Agnieszka przyjedzie dopiero jutro”, pomyślałem. „Z przyjemnością pokazałbym jej to wszystko”.

Zaczął się nareszcie historyczny dzień, w którym miałem nagrać program o absynce. Było mokro, ale deszcz już nie padał. Nie mogłem usiedzieć w hotelu (trema?), więc w miarę wcześnie pojechałem tramwajem nr 22 na Hradczany i ze wzgórza, na którym znajduje się zamek, schodziłem powoli w dół. To moja ulubiona trasa.

Czekałem niecierpliwie na telefon od pani Miss. Obiecała, że odezwie się zaraz po przejechaniu granicy. Agnieszka, która „zawsze wszędzie zdąża”, dziś wyraźnie się spóźniła.

Dopiero teraz - choć ranek już dawno minął - zaczęły opadać mgły i powoli wyłaniały się z nich niewyraźne kształty domów. Było w tym odsłanianiu coś teatralnego. Gdy przystanąłem na chwilę, aby podziwiać darmowy spektakl, nagle zza chmur wyjrzało słońce. Pierwszy raz podczas mojego pobytu w Pradze. W słońcu zalśniły czerwone dachy Małej Strany. To z kolei mój ulubiony widok.

„Dobry znak”, pomyślałem. I zwróciłem się w myślach do Agnieszki: „Widzisz, dziewczyno, jak tu pięknie? To jest miejsce, w którym mogłaby zacząć się nasza historia. Naprawdę szkoda, że cię nie ma”.

Magia chwili podziałała. Odezwała się moja komórka. „Wreszcie, Agnieszko. Chyba przywołałem cię myślami”.

- Czy to ty, Konrad? - zapytał dziecinny głos. Dopiero po chwili rozpoznałem: Marianna.

- Tak, to ja.

- Dzwonię, bo Kola się odnalazł. Nie musisz już go szukać.

-Co?!

- Telefonował przed chwilą. A jutro chce mnie odwiedzić. Jeszcze zadzwoni i powie, o której godzinie.

Zaniemówiłem.

- Czy mnie słyszysz? - spytała Marianna.

- Tak. Dorota do ciebie nie dzwoniła?

- Kasia? Nie. Miała dzwonić?

- Tak, kilka dni temu. Ale to może dobrze, że nie zadzwoniła.

- Dlaczego dobrze?

- Mniejsza z tym. Wiesz, ja jestem za granicą i nie mogę długo rozmawiać.

- A kiedy przyjedziesz do Krakowa? Bo chciałybym, żebyś mi oddał kasetkę Koli.

- Jutro na pewno nie. Będziesz musiała mu powiedzieć prawdę. Trzymaj się. Jak wrócę do Polski, zaraz się odezwę.

Słońce wysunęło się już całe zza chmur. Patrzyłem na czerwone dachy magicznej Pragi i myślałem sobie: „Czy to wszystko dzieje się naprawdę? To nierzeczywista historia. Przecież Jacek nigdy nie wprowadza mnie w błąd. Czyżby więc to jego oszukano?”.

Znów zadzwoniła komórka. Tym razem to na pewno Agnieszka. Ale zamiast grasejącej pięknej pani Miss, usłyszałem głos męski. Jego właściciel przedstawił się niewyraźnie i rzekł:

- Dzwonię w imieniu pani Trochełko. Mamy poważne problemy i nie uda się nam przyjechać do Pragi. Agnieszka bardzo pana przeprasza. Nagranie zrobimy

w późniejszym terminie.

- Zaraz, zaraz, szanowny panie - zawołałem - ale ja już jestem w Pradze! Mieszkam w hotelu, za który trzeba będzie zapłacić...

- Rachunek jest zapłacony.

- A mój czas, a podróż z Warszawy do Pragi i z powrotem...

- O tym pan będzie musiał porozmawiać z szefową. Ja miałem tylko zadzwonić do pana. Jeszcze raz bardzo przepraszam.

I rozłączył się.

„O do licha...”

„Amatorrh...”

„Przestań” - przerwałem głosowi wewnętrznemu. -  
”Bo ja i tak mam już dosyć. Jak na dwa telefony w ciągu kilku minut to chyba wystarczająca ilość niemiłych niespodzianek”.

„To, że facet nie wpadł pod tramwaj i żyje, to chyba dobra wiadomość?”

„Tak, tak” - powiedziałem bezwiednie, bo myślałem już o czymś innym.

„Co my teraz zrobimy?” - zapytał.

„Wrócimy do Warszawy. Chyba że wolisz najpierw pojechać do Krakowa?”

„Ale paszporty Koli leżą na poczcie w Warszawie”.

Zostałem sam w dużym mieście. Poczułem się nagle opuszczony. Przestał mnie cieszyć mój ulubiony widok i moja ulubiona trasa spacerowa. Policzyłem w myśli korony, które mi jeszcze pozostały. Panowałem, że zaproszę Agnieszkę dziś wieczór na kolację. Z obliczeń wynikało, że nie jest źle. Starczy na bilet do Warszawy i na skromną kolację.

Jednoosobową. Knedliczki z wołowym gulaszem raz. I oczywiście piwo.

„Koniec złudzeń, panie Konradzie szanowny”, powiedziałem sobie. „Z góry można było przewidzieć, że jesienią to nie może się udać. Po co więc pchałeś się pan w to wszystko, zamiast popijać spokojnie dereniówkę Jadzi?”.

„Nie trać ducha” - pocieszył mnie głos wewnętrzny. -”Rachunek jest korzystny. Czy dwa tygodnie temu mógłbyś sobie wyobrazić, że spotkasz Miss Polski? Albo że zobaczysz jesienną Pragę?”.

„Miss mogłem sobie pooglądać w Internecie. Do Pragi nikt teraz nie przyjeżdża. Widzisz, że nie ma prawie turystów”.

„Ale za to piwo poza sezonem jest tańsze”.

„Co racja, to racja. Więc chodźmy na piwo. Kruszwice czy gambrinus? A może dla odmiany pilsner?”.

Zanim zszedłem ze wzgórza i przez most Karola pomaszerowałem w głąb Starego Miasta w poszukiwaniu piwnej krynicy, zobaczyłem z góry jeszcze jedną scenę, którą dopisuję do listy nierzeczywistych praskich momentów. Na wciąż zielonej mimo listopada murawie, nad Weltawą, ćwiczyli demonstrację młodzi ludzie. Podzielili się na dwie grupy. Jedni byli zdaje się sobą, drudzy udawali policjantów. Pierwsi leżeli na ziemi w pokojowym proteście, drudzy ich podnosili i gdzieś odkładali na boku. Nie słyszałem z góry głosów albo wszystko odbywało się w milczeniu.

Byłem jeszcze zupełnie trzeźwy, ale scena tej udawanej demonstracji wydała mi się pijackim zwidem. To wyglądało jak pantomima albo film w stylu Felliniego. Takich rzeczy nie widuje się przypadkiem. To musi coś oznaczać, coś zapowiadać w tej historii, którą opowiadam.

Właściwie w tym miejscu mógłbym zakończyć relację z pobytu w czeskiej stolicy. Znalazłem miły i niewielki lokalik z wyjątkowo tanim piwem. Przysiadł się do mnie, jak to jest w zwyczaju w praskich knajpach, młody Portugalczyk. I swoją kanciastą angielszczyzną opowiedział, że za tydzień do Pragi na szczyt NATO przyjedzie prezydent Bush. Widziałem więc próbę generalną antyglobalistów. Chcą odegrać swój spektakl na powitanie przywódców Zachodu. Zrozumiałem też, dlaczego w różnych miejscach spotykam posterunki policji albo wojska wyposażone w długą broń.

Dziś rano, gdy wyszedłem z hotelu, obok przepięknej secesyjnej kamienicy stało dwóch ludzi w burchach mundurach, z pistoletami maszynowymi w rękach. Kamienne amorki umieszczone nad bramą przyglądały się im ze zdziwieniem. Obydwie strony przygotowywały się do wielkiego show, który odegrają dla mediów ze wszystkich kontynentów.

„Świat już zupełnie zwariował”, pomyślałem. „W tym nierzeczywistym mieście, które może być wspaniałą dekoracją dla teatru marionetek, widać to lepiej niż gdziekolwiek indziej.”

„Nierzeczywiste miasto, nierzeczywista dziewczyna, i nierzeczywista historia, którą próbujesz napisać” - podsumował mnie głos wewnętrzny.

„Przesadzasz, stary”.

„To raczej ty przesadzasz. Uważaj, bo jesteś o krok od grafomanii”.

Ile kufli wypilem, wie tylko kelner, który zaznaczał je na wąskiej kartce. To charakterystyczny obyczaj w praskich piwiarniach. Ale mimo sporej ilości wspaniałego napoju na pociąg zdążyłem i nawet wyspałem się w drodze powrotnej na wąskiej kuszetce. Co bez piwa raczej mi się nie udaje.

## 6

Spędziłem w moim warszawskim mieszkaniu niewiele ponad godzinę. Dość czasu, żeby wziąć prysznic, przebrać się i zadzwonić do Fredka.

- Nasz nieboszczyk, którego ponoć przejechał tramwaj, ożył - oznajmiłem. - Zabieram paszporty i zaraz jadę do Krakowa. Muszę oddać Mariannie kasetkę z zawartością.

- U mnie jest bezpieczna. A gdzie ty w ogóle jesteś, szanowny?

- Właśnie wróciłem z Pragi.

- To ty utrzymujesz nie tylko polskie koleje, ale i czeskie - stwierdził ze zdziwieniem mój przyjaciel.

Byłem w połowie drogi do redakcji Fredka, gdy zadzwoniła moja komórka.

- Konrad, stało się coś strasznego. Wybuchła bomba... Uratował mnie Aleks...

- Marianno, uspokój się i opowiedz po kolei. Jaka bomba, gdzie?

- Przyjeżdż, ja jestem na dworze pod domem...

- Pod twoim domem?

- Tak. Tam była bomba...

- W twoim mieszkaniu?

- W drzwiach...

- Nic ci się nie stało? Dobrze się czujesz? To idź do knajpki naprzeciwko i poczekaj. Zaraz tam będę.

Zatrzymałem przejeżdżającą taksówkę i podałem adres.

- Tak blisko? Opłaca się panu jechać? Nie wie pan, że trzeba dużo chodzić dla zdrowia? - zapytał krakowski taksówkarz. Miał ziemistą cerę i wielki brzuch, na którym opierała się kierownica. Nie wyglądał na człowieka, który uprawia długie piesze wędrówki.

- Zazwyczaj wybieram spacer. W tej chwili jednak bardzo się śpieszę. Ale pan powinien reklamować raczej jeżdżenie, i to najlepiej taksówką.

- Zdrowie najważniejsze - odrzekł filozoficznie nastrojony taksówkarz.

I już byliśmy na miejscu. Zapłaciłem i pobiegłem do greckiej knajpki. Marianna siedziała w najciemniejszym kącie, paliła papierosa i piła herbatę. Gdy podszedłem, spod krzesła wyskoczył Waćław.

- Cicho, cicho - powiedziałem do skamlącego radośnie psiaka. - Bo nas wyrzucą z lokalu.

Chyba zrozumiał, gdyż po powitaniu schował się z powrotem pod krzesło. Usiadłem i u przechodzącego kelnera zamówiłem karafkę czerwonego wina.

- Co się stało?

- Poszłam coś kupić, bo dziś ma przyjść Kola...

- To jeszcze się z nim nie widziałaś?

- Nie... Zakupy zajęły mi sporo czasu, więc się śpieszyłam... Chciałam coś dobrego ugotować...

- Rozumiem, ale co z tą bombą?

- Aleks mi się wyrwał na schodach...

- Jaki Aleks?

- Znasz przecież Aleksa... Witaleś się z nim przed chwilą.

- To przecież Waćław.

- Teraz nazywam go Aleks.



Policzyłem w myślach do trzech, wziąłem głęboki oddech i zapytałem spokojnie:

- Co było dalej?

- Byłam na półpiętrze, gdy usłyszałam u góry hałas. To wcale nie przypominało wybuchu bomby.

- To dlaczego sądzisz, że tam była bomba?

- Jak usłyszałam hałas, przeraziłam się, że to Aleks coś nabroił. Mógł na przykład rzucić doniczkę z kwiatkiem z parapetu. Pamiętasz, tam na klatce schodowej...

- Nie pamiętam, Marianno, ale teraz powiedz, co się stało.

- W drzwiach mojego mieszkania była wielka dziura...

- Drzwi wyleciały z zawiasów? Razem z futryną?

- Nie. Tylko w środku drzwi, na wysokości głowy człowieka, została wielka dziura. I wokół było mnóstwo kawałków drewna.

- A Wacław... to znaczy Aleks?

- On wyrwał mi się na schodach...

- To już mówiłaś...

- Tak? Wydaje mi się, że słyszałam z dołu, jak on skacze na drzwi. Szczekał i skakał. I wtedy to wybuchło. On mi uratował życie - zaczęła chlipać.

Podąłem jej chusteczkę.

- I co wtedy zrobiłaś?

- Uciekłam. Aleks za mną. I zadzwoniłam z telefonu na rogu do ciebie.

- Może pójde i zobaczę, co się stało?

- Ale tam jest policja.

- Skąd wiesz?

- Widziałam radiowóz. Przejechał na sygnale.

- Mimo wszystko spróbuję. Posiedź tu spokojnie, wypij jeszcze jedną herbatę, ja zaraz będę z powrotem.

Miałem wciąż legitymację dziennikarską. To nieraz pomaga w takich sytuacjach. Ale nie tym razem. Już na dole, przed klatką schodową stał policjant, który

zapytał, czyja tu mieszka. Przyznałem, że nie.

- Pan ciekawski? Tak? - właściwie nie pytał, tylko stwierdził. - Na razie nie wolno.

- Jestem dziennikarzem...

- Nie mogę nikogo wpuszczać.

- Niech przynajmniej pan powie, co tam się stało?

- Był wybuch. Pirotechnicy badają, czy nie ma innych ładunków. Tylko tyle wiem.

Zanim wróciłem do Marianny i Aleksa, zadzwoniłem do Fredka.

- Przepraszam - powiedziałem - ale zatrzymała mnie bomba.

- Dziennikarska? Potrzebuję takiej na gwałt.

- Nie, chyba prawdziwa. U Marianny w drzwiach umieszczony był ładunek. Nie widziałem, bo policja nie wpuszcza do kamienicy, ale z opowieści wygląda to na robotę zawodowca. Mały wybuch na wysokości głowy człowieka. Taki, który ma zabić.

- Są ofiary?

- Nie. Mariannę uratował pies. Skoczył na drzwi i ładunek wybuchł. Jakiś czuły zapalnik.

- A pies?

- Nic mu się nie stało. To poszło nad nim.

- Przypominam szanownemu, że mam tu twoją kasetkę. Miałeś się po nią zgłosić. Wydaje mi się, że ten przedmiot coraz bardziej śmierdzi.

- Chyba masz rację. Ale kasetka jest nie moja, tylko tego o trzech nazwiskach.

- Czy zastanowiłeś się, na kogo czekała ta bomba? Kto miał zginąć?

- Dobre pytanie. On albo ona.

- Jeśli on, to w porządku. Wszystko się zgadza. On już raz przecież zginął w wypadku tramwajowym.

- Może to jest facet, który ginie od czasu do czasu?

- Może tak być, szanowny. I dlatego potrzebuje dużej ilości paszportów na różne nazwiska. Ale jeśli tym razem to ona miała zginąć, robi się mało śmiesznie. Bo to znaczy, że ona coś ważnego wie. Albo może wystarczy, że go znała? Dalej na liście jesteśmy my: wiemy, co było ukryte w kasetce.

- Ale nie wiemy, czy ten, kto próbował kogoś zabić, wie, że my wiemy. Nie wiemy też, kogo chciał zabić.

- No dobrze, szanowny, popytam trochę moich znajomych. I czekam na ciebie z kasetką. Zabierz ją jak najprędzej. Bo jeszcze mi ktoś wysadzi redakcję.

- Co ja z nią teraz zrobię? Nie wiem, czy będziemy mogli wejść do mieszkania Marianny. A może, jeżeli to był zamach na dziewczynę, trzeba ją ukryć? Dziewczynę, nie kasetkę.

- To przyjedź razem z nią. Coś wymyślimy.

Wróciłem do knajpki. Mariannie świeciły się oczy i wydało mi się, że przestała się bać.

- Przepraszam - powiedziała - wypijałam trochę twojego wina.

- Brawo! To najlepsze lekarstwo na wszystkie strachy.

- Ale teraz kręci mi się w głowie.

- Nie martw się, zaraz przejdzie. To młode wino.

- Ja też jestem młoda - oświadczyła z pijackim uśmiechem i zaraz zaczęła chlipać.

Typowa poalkoholowa huśtawka nastrojów. Znam, znam.

- Ja chcę żyć... Jestem za młoda, żeby umierać.

- Uspokój się - powiedziałem. - Już ci nic nie grozi.

- Bo ty mi pomożesz?

Nie miałem wyjścia i musiałem przytaknąć. Marianna wstała i rzuciła mi się na szyję. Nie powiem, jest to nawet przyjemne, gdy obejmuje cię takie duże, ciepłe dziecko płci żeńskiej. I nie ma znaczenia, że robi to po kieliszeczku.

- Jesteś taki dobry.

Delikatnie oderwałem ją od siebie i posadziłem z powrotem na krześle.

- Przede wszystkim musisz natychmiast wytrzeźwieć. Zamówię ci kawę.

- Ja nie jestem pijana. Wypiłam tylko dwie szklaneczki.

- Jak na pierwszy raz, wystarczy.

Nie wiedziałem, co mam właściwie teraz zrobić. Najrozsądniej byłoby zacząć od zamówienia jeszcze jednej karafki greckiego wina. Pierwsza przecież, dzięki pomocy Marianny, była już pusta. A z próżnego nawet Salomonowi się nie udało... Ja zaś stałem przed kilkoma trudnymi zadaniami.

Nie zastanawiając się dłużej, co pomyślałem, to uczyniłem. Czarna mocna kawa dla Marianny, lekkie wino dla mnie.

- Posiedzimy tu jeszcze chwilę. Ty dojdiesz do siebie, a ja zastanowię się, co dalej robić.

- Dobrze - dziewczyna w zupełności zdawała się na mnie.

Miałem takie wrażenie, jakby na szyi nadal wisił mi ciepły, przyjemny ciężar. I powoli zaczęły mnie oplatać cieniutkie gałazki.

„Jeszcze możesz się uwolnić” - ostrzegł mnie głos wewnętrzny. - „Oddaj jej dziś kasetkę wraz z paszportami i zmywajmy się do Warszawy”.

„Masz rację” - odpowiedziałem, a równocześnie myślałem, że trzeba zdobyć jakieś schronienie dla Marianny. Do swojego mieszkania nie powinna na razie wracać. Zresztą nie wiadomo, czy będzie mogła wrócić. Właścicielka zapewne wypowie umowę komuś, na kogo urządzane są zamachy bombowe. A gdyby zwrócić się do Agnieszki? Energiczna bizneswoman na pewno znajdzie kąć dla dziewczyny-dziecka. Komórka pani Miss jednak od trzech dni milczała. Próbowałem dzwonić

wielokrotnie, przecież ja też chciałbym się z nią rozmówić.

„Jeszcze możesz się ocalić” - powtórzył mój głos wewnętrzny. - „Oderwij powolutku te delikatne gałązki i posadź ją na krześle, jak raz już zrobiłeś. A potem uciekaj. Uciekaj!”

Miałem coraz większy chaos w głowie. Przypomniało mi się pytanie, które padło w rozmowie z Fredkiem. On czy ona? Czy to był zamach na faceta o trzech co najmniej nazwiskach, który miał się pojawić dziś u Marianny, czy na nią? Może rzeczywiście Kola zginął? A teraz morderca usuwa inne osoby z jego otoczenia.

- Marianno, rozmawiałaś z Kolą przez telefon?

- Nie rozumiem.

- Telefon często zniekształca głos. Czy jesteś więc pewna, że teraz, po tej długiej przerwie, zadzwonił do ciebie Kola?

Dziewczyna zamyśliła się.

- Wiesz, ja rzeczywiście nigdy wcześniej nie rozmawiałam z nim przez telefon. On po prostu przychodził, kiedy miał ochotę. I wcale mnie o tym nie uprzedzał telefonicznie.

- A teraz zadzwonił.

- Po takiej długiej przerwie wydało mi się to naturalne.

- On miał już wczoraj cię odwiedzić. Czy dobrze zrozumiałem?

- Nie, dzisiaj. Od razu tak powiedział. Miał tylko zadzwonić jeszcze raz, żeby poinformować, o której godzinie przyjdzie.

- To też chyba nowość. Dawniej przychodził do ciebie bez uprzedzania i kiedy chciał. Czy nie tak?

- Tak. Ale zadzwonił dlatego, że chciał, żebym na jego powitanie przygotowała nadziewane bakłazany. On uwielbia tę potrawę w moim wykonaniu. I dlatego musiałam pójść na zakupy. Aż na targ, bo tam są najlepsze bakłazany.

- Kola wiedział, że tam robisz zakupy?
- Chyba tak.
- To daleko?
- Pół godziny tam i z powrotem.
- Plus zakupy to już co najmniej trzy kwadransy.
- Mnie zajęło to znacznie dłużej. Bo wzięłam Aleksa, a on zatrzymuje się przy każdym niemal drzewku.

Więc to tak. Kola czy ktoś, kto się za niego podawał, wyciągnął Mariannę z domu na co najmniej trzy kwadransy. To był czas potrzebny na przygotowanie precyzyjnego bum. Gdy wróci z bakłażanami, w drzwiach jej mieszkania opłacanego przez sponsora, będzie już czekał śmiertelny ładunek. Czyli szło o nią. Zginąć miała ta dziewczyna o urodzie dużego dziecka. Ale dlaczego? Co ona wie? A może coś wie, ale sama nie wie, że wie?

Wydawało mi się, że mam gotową rekonstrukcję wydarzeń. Jednak już z następną szklaneczką czerwonego wina pojawiły się wątpliwości.

Załóżmy, że to Kola z jakiegoś nieznanego jeszcze powodu postanowił usunąć ze świata żywych swą kochankę. Ale po co w taki głośny i spektakularny sposób? Przecież wystarczyłoby przyjść do niej jak gdyby nigdy nic, choćby na nadziewane bakłażany, które sobie zamówił, i po cichutku uśmiercić dziewczynę. Potem wyjąć kasetkę wraz z zawartością i zniknąć. Nie wiadomo, za jak długi czas znaleziono by trupa. Przecież u Marianny nikt nie bywał. Gdyby pan sponsor zapłacił czynsz, właścicielka mieszkania zajrzałaby dopiero za miesiąc. A Kola po wykorzystaniu któregoś z paszportów byłby już od dawna w Puerto Rico albo na Grenlandii. Jeżeli to on miał być mordercą, bomba jest bez sensu. Hałas, brak możliwości wyjęcia kasetki. A przecież nie mógł jej zostawić w mieszkaniu. Jego paszporty to dla policji gotowy trop...

„Zaraz, zaraz”, pomyślałem. „Chyba głupieję na starość. Przecież, żeby umieścić w drzwiach bombę, musiał wejść do mieszkania. Więc mógł spokojnie zabrać kasetkę.

Oczywiście, gdyby znajdowała się w miejscu, w którym ją zostawił”.

„Ty głupiejesz rzeczywiście” - odezwał się znów mój wewnętrzny mentor. - „Przede wszystkim dlatego, że siedzisz tu i rozważasz kolejne warianty zbrodni, która na dodatek się nie udała, zamiast wziąć nogi za pas i zwiewać. Póki jeszcze czas. Teraz możesz uwolnić się od Marianny-powoju delikatnie. Nie krzywdząc jej ani samemu nie odczuwając moralnych katuszy. Niedługo będzie za późno. Dla odzyskania wolności będziesz musiał mocno i brutalnie ciąć. A po czymś takim masz kaca większego niż po miesięcznej papojce a la maniere russe....

„Nie zasuвай mi tu Witkacym. Zamiast mnie strążyć powojem albo kacem moralnym, lepiej pomóż mi rozwiązać tę kryminalną szaradę. Gdy będę wiedział, co tu się dzieje, łatwiej mi będzie powiedzieć »bye, bye« temu zabłąkanemu w złym świecie dziecku”.

„A może właśnie to bezbronne dziecko wpuszcza cię w maliny? Może wykorzystuje cię do jakiejś intrygi?”.

W klasycznej powieści kryminalnej tak właśnie powinno być: najbardziej niewinna z wyglądu osoba jest w istocie najbardziej winna. Ale czy ta historia stosuje się do reguł klasycznego kryminału? Doprawdy nie wiem.

Skończyłem karafkę wina i nabrałem przekonania, że zrozumiałem już wszystko. To jednak był zamach na Kole. Bombę w drzwiach umieścił ktoś, kto wiedział, że sponsor zapowiedział się u swojej dziewczyny. Być może ten ktoś chciał uśmiercić wcześniej podejrzanego dżentelmena o co najmniej trzech nazwiskach. Wtedy nie wyszło - poszła jedynie w świat plotka, że Kola zginął pod kołami krakowskiego tramwaju.

- Jak tam, Marianno? Czujesz się dobrze? To zabieramy Aleksa i idziemy na spacer.

Podaliśmy rękę dziewczynie-dziecku. Oparła się na moim ramieniu i wyszliśmy z knajpki. A za nami wybiegł mały kudłaty kundelek.

## 7

Ósma wieczorem to w redakcji dziennika gorąca godzina. Zazwyczaj do tej pory podjęto już wiele ważnych decyzji. Wiadomo, jakie artykuły pójdą na pierwszą stronę. Teraz dobiera się odpowiednie zdjęcia, wymyśla tytuły. Oczywiście redaktor prowadzący nadal trzyma rękę na pulsie. Przegląda serwisy agencyjne, zerka na monitor telewizora nastawionego na ulubiony kanał informacyjny. Bo jakieś wydarzenie może jeszcze wywrócić układ wydania. I nadal cała redakcja szuka dziennikarskiej bomby, która wyróżni gazetę na kioskowej ladzie i olśni czytelników.

Dziś numer prowadził Fredek. Nie widziałem jednak, żeby miał cokolwiek do roboty. Bo tego wieczoru wszystko było inaczej. Za kilkanaście minut miał zacząć się mecz Wisły z AC Parmą o awans do kolejnej rundy Pucharu UEFA. Rewanż. Wisła musi wygrać i to różnicą dwóch goli. Ale niezależnie od wyniku, sprawozdanie z meczu będzie czołówką jutrzejszego wydania.

- Wszystko przestawione: harmonogram drukarni, ranny kolportaż. Zaryzykowaliśmy, szanowny. Jak coś nie wyjdzie, leżymy z całym nakładem.



- Już odpukuję - powiedziałem. - To chyba jest nie-malowane drzewo?

Fredek jak zwykle zajmował się kilkoma sprawami równocześnie. Myślni był już na meczu, a w tyle głowy - jak to się mawia - miał jutrzejszy numer gazety.

- To będzie wyścig z czasem - dodał. - Ale za to konkurencja się nie pozbiera. Jutro cały Kraków będzie kupował tylko naszą gazetę. Inni dadzą notatki, a my pół numeru poświęcamy meczowi.

Przez otwarte drzwi zajrzał do pokoju znany mi dziennikarz śledczy o wyglądzie artysty z poprzedniego przełomu wieków.

- Dobry wieczór szanownym - przywitał się i chciał zmykać. Na pewno śpieszył do jakiegoś telewizora, żeby oglądać mecz.

- Antoni szanowny, zaczekaj! - zawołał za nim Fredek. - Może ty wiesz, gdzie można znaleźć naszą piękność krakowską, Miss Polski?

- Podobno znów rozłożyła firmę. Jeszcze na dobre nie zaczęła i już klops. A w takich chwilach chowa się przed światem.

Spojrzałem na niego pytająco.

- Chowa się też na czas ciąży. Bo ona już przygotowuje się do urodzenia nowego pomysłu.

- Tyle że ta jej ciąża biznesowa trwa bardzo krótko. Miesiąc, dwa... no i rodzą się potworki, które zaraz umierają - włączył się Fredek.

- Do tej pory bankrutowała raz do roku - pospieszył z wyjaśnieniami dla mnie Antos - ale teraz, kurdemele, przyśpieszyła. Gospodarka zwalnia, a ona wprost przeciwnie. W tym roku to już druga plajta. Na szczęście dla niej rok się kończy.

- Wie pan może, co to za firma?

- Ta ostatnia bankrutka? Coś związanego z telewizją. Ale słyszałem też plotkę, że to promocja napojów alkoholowych. Nie umiem nic pewnego powiedzieć,

bo to się dopiero zaczynało.

Fredek znał moje ambicje związane z udziałem w cyklicznym programie Alfabet Bachusa. Teraz więc nie wytrzymał i zaczął się śmiać.

- Powiedziałem coś śmiesznego? - zdziwił się Antoś.

- Nie, nie, szanowny Antoni. Głupie skojarzenie.

- Czy może wie pan, gdzie można znaleźć panią Trocheńko? - zapytałem.

- Mam numer jej komórki.

- Też mam. Ale komórka jest od kilku dni wyłączona.

- Ja mam numer supertajny. To telefon, który jest używany w sytuacjach awaryjnych. Takich, kurdemele, jak obecna.

Zapisałem sobie numer i poszedłem porozmawiać z Marianną. Fredek znalazł jej tymczasowe schronienie w gabinecie naczelnego.

- Szef wyjechał na kilka dni, pokój stoi pusty, co mam jej żałować - powiedział.

Marianna zadomowiła się natychmiast. Podobnie jak Aleks, przesz muglowany przez portiernię na dole. W malowniczym splątaniu leżeli teraz obydwójce na długiej kanapie. Ona podwinęła nogi i niemal cała schowała się w swym obszernym swetrze. A on, zwinięty w rodzaj psiej rolady, grzał stopy dziewczyny.

W kolorowym telewizorze redaktora naczelnego migały obrazki. Choć głos był wyłączony, łatwo zorientowałem się, że to jeden z nielicznych w Krakowie odbiorników nienastawionych na program, w którym za chwilę miała zacząć się transmisja meczu roku.

Telewizor migał sobie a muzom, zaś Marianna słuchała muzyki przez słuchawki na uszach. I równocześnie przeglądała kolorowe czasopisma, które znalazła w pokoju. Duży ich stos ułożyła na podłodze, obok kana-py.

Na mój widok Aleks otworzył oczy. Marianna dopiero po chwili zorientowała się, że wszedłem do pokoju. Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Wiesz, napiłabym się wina.
- Boże, ty staniesz się niedługo nałogową pijaczką.
- Co mówisz? - teraz dopiero zdjęła słuchawki.
- Mówię, że dzieciom nie wolno dawać alkoholu.
- Nie jestem już dzieckiem - stwierdziła poważnie.
- Zdaje się, znasz Agnieszkę Trocheńko?
- Tak.
- Może ona znalazłaby ci jakieś tymczasowe schronienie?

- Nie chcę!

- Dlaczego? To bardzo energiczna dziewczyna, jestem przekonany...

- Nie, nie, nie!

Jak na Mariannę, prawie histeria. Czy to opóźniona reakcja na dzisiejsze przejścia, czy też na alkohol....

- Masz coś przeciw niej?

- Kiedy przyjechałam pierwszy raz do Krakowa, pracowałam u Agnieszki. Zakładała wtedy salon mody...

- I co? Nie zapłaciła ci?

- To też. Skąd o tym wiesz?

- A co z tym salonem? - zamiast odpowiedzieć, zadałem kolejne pytanie.

- Działał dwa miesiące. Ale pani Agnieszka już wtedy uruchamiała agencję reklamową. Salon przestał ją interesować zaraz po otwarciu.

- Szybka dziewczyna - rzekłem z podziwem. - Kiedy wyczerpie listę atrakcyjnych pomysłów na biznes?

Marianna milczała.

- Powiedziałaś: „Przyjechałam pierwszy raz do Krakowa”. Dawno?

- Byłam jeszcze w średniej szkole... Uciekłam z domu - przyznała bez wahania.

- Nieładnie.

- Nieładnie? Nieładnie - zaakcentowała słowo - to było u mnie w domu. Moja mama z konkubentem pili od rana do południa... Później już nie mogli. Od tego czasu nie piję...

- Do dziś... A wcześniej piłaś?

- Oczywiście. Próbowałam alkoholu już w podstawówce.

Mówiła to wszystko spokojnie, jakby opowiadała o kimś obcym, nieznanym. A może to tylko gra? Może miałem się wzruszyć i otoczyć silnym męskim ramieniem biedną dziewczynę?

- Więc uciekłaś?

- Wyciągnęła mnie starsza siostra. Dała mi trochę pieniędzy, a ja wzięłam starą torbę, kilka ciuchów, które udało mi się ukryć przed matką, bo inaczej sprzedałaby je na alkohol, i po prostu sobie poszłam.

- Gdzie mieszka twoja siostra? Nie mogłaby ci pomóc?

- Nie wiem. Nie widziałam jej od tamtego czasu.

- Nie próbowałaś się z nią skontaktować? Powie-  
dzieć, co się z tobą dzieje, gdzie jesteś, jak żyjesz?

- Nie. To wszystko nie jest tak, jak w twoim świecie...

- Skąd ty wiesz, jaki jest mój świat?

- Po prostu wiem. Ja może wyglądam na dziecko, ale rozumiem więcej, niż ci się wydaje. A przecież poznałam świat Agnieszki, bo byłam w nim przez pół roku... Poznałam facetów, którzy jeżdżą samochodami po dwieście tysięcy... Ale nie przepuszczą okazji, żeby obmacać każdą napotkaną dziewczynę. Zwłaszcza jeśli można to zrobić za darmo i bezkarnie, bo dziewczyna nie ma komu się poskarżyć.

Opowiadała bez specjalnych emocji. Ale zdawało mi się, że tym razem jest oburzona. Nie wiedziałem tylko, czy bardziej na facetów, którzy próbowali się do niej dobrać, czy też na to, że chcieli zrobić to za darmo.

„Jesteś uprzedzony do tej biednej dziewczyny” - mój głos wewnętrzny chyba po raz pierwszy wziął w obronę Mariannę. Ona zaś dalej coś jeszcze opowiadała. Wciąż o tym obmacywaniu. Że ci wstrętni faceci dobierają się do dziewczyny, nawet jeśli wygląda jak dziecko. A może szczególnie wtedy, gdy wygląda jak dziecko.

„To musiały być dla niej bardzo przykre przeżycia”, pomyślałam sobie. „Tak dużo nigdy dotąd nie mówiła”.

Może trzeba było dać się jej wygadać? Ale musiałem również myśleć, co mam dalej z nią zrobić. Powinienem zapytać po prostu, jakie ma plany. Ciekawe, co by odpowiedziała. Zapewne byłaby zdziwiona. Przecież jej życiowe plany układali inni: siostra dała pieniądze i namówiła na ucieczkę z rodzinnego domu. Kola ją utrzymywał, a gdy zabrakło faceta, Kasia znalazła kogoś, czyli mnie, żeby go poszukiwał. I ja go, zgodnie z rozkazem, poszukiwałem.

A Marianna? Marianna czekała, przyjmowała, co przynosił jej los, i godziła się na to. W tej chwili to ja reprezentowałem los. Ona zaś nawet nie pomagała mi specjalnie. To naprawdę trudna zawodniczka. Dla świata, dla losu, no i dla mnie. Niedawno domagała się znalezienia faceta. Czy zrobiła jednak cokolwiek, żeby ułatwić mi to zadanie? Skądże. Teraz zaś, leżąc z psem zwiniętym w roladę na długiej kanapie redaktora naczelnego, niby tylko czekała. Ale ja w tym czekaniu czułem nakaz. Ona coś wymuszała tym czekaniem. Szukałem zatem dla niej jakiegoś bardziej trwałego schronienia niż najdłuższa nawet kanapa. A dziewczyna kręciła nosem na moje propozycje.

Gdzieś w głębi redakcyjnych pomieszczeń rozległ się jęk zawodu. Typowa reakcja polskich kibiców piłki nożnej. Prawie zawsze jęki, okazji do okrzyków radości niemal brak. Chyba Wisła straciła gola.

Postanowiłem być okrutnie szczery.

- Marianno, ten świat, który nazwałaś moim, jest mi zupełnie obcy. Nie mam samochodu za dwieście, ani za sto tysięcy. W ogóle nie mam samochodu. A obecnie

nie mam też pieniędzy. Chcę ci pomóc. Jednak nie mogę się stale tobą opiekować. Mieszkam w Warszawie, a ty w Krakowie...

- Chciałabym pojechać do Warszawy...

- Nie, moja droga - zdobyłem się na stanowczość - ja mam dosyć kłopotów z samym sobą. Ze swoim życiem.

Dziewczyna milczała. Widać powiedziała już dosyć słów i wróciła do swego normalnego stanu. Czyli znów wyglądała na osobę, której nie chce się gadać, jak bohaterowi pewnego filmu. Ale i mnie coraz mniej się chciało. Coś zatem tylko mruknąłem i wróciłem do Fredka.

- Wiśła przegrywa - oznajmił mi, gdy tylko wszedłem. Miał oczywiście telewizor nastawiony na mecz.

- Wyraży współczucia!

- Słyszę, szanowny, że z ciebie marny kibic. A przecież dziś grała też Legia.

- Zdaje się, umoczyła.

- Nie przejąłeś się zbyttnio.

- Teraz przejmuję się Marianną. Muszę znaleźć dla niej jakieś lokum.

- Aha - powiedział tylko Fredka, śledząc wzrokiem wydarzenia w telewizorze.

Nagle coś sobie przypomniał.

- Przepytałem moich znajomych w policji. Ich zdaniem dzisiejszy fajerwerk jest dosyć dziwny. Twierdzą, że to nie mogło nikogo zabić. Najwyżej poranić, a i to z trudem. Po prostu dużo hałasu i smrodu, a efekt żaden. Chyba że komuś chodziło o rozgłos w mediach.

- To znaczy?

- Może to znaczyć różne rzeczy. Na przykład, że jednak była to robota amatora. Albo że chodziło jedynie o ostrzeżenie.

- O ostrzeżenie? Dla kogo? Dla Marianny?

- Raczej Koli. Wysłano pod jego adresem komunikat: uważaj, bo następnym razem polecisz do nieba. I to w kawałkach.

- To może Mariannie nic nie grozi? Kola mógłby ją sobie odebrać i zwolnić mnie z obowiązków...

- Nie udało ci się odnaleźć tego dżentelmena o wielu nazwiskach wcześniej. A teraz, jeżeli to było rzeczywiście ostrzeżenie i on je właściwie odczytał, ukryje się na dobre. On może mieć inne jeszcze mety, gdzie w kasetkach leżą paszporty z różnych krajów i na rozmaite nazwiska...

- Do tej pory specjalnie go nie szukałem. Przecież zanim zabrałem się do działania, otrzymałem informację o jego tramwajowym wypadku. Kola miał być nieboszczykiem, więc mogłem go poszukiwać jedynie na cmentarzu.

- Racja, szanowny.

Fredek chyba przeżuwał jakąś myśl. Trwało to dłuższą chwilę, bo choć przy wykształconej na stanowisku sekretarza redakcji podzielności uwagi potrafił robić kilka rzeczy naraz, teraz przede wszystkim był zaabsorbowany obrazem na ekranie telewizora. Wreszcie zaczął przeżuwać na głos:

- To bum to już coś jest. Może warto wokół tego ponuchać? Może z małego bum będzie duża bomba dla gazety? .. .Nie, tak się nie gra! Zobacz, co on zrobił z piłką! Przecież trzeba było podać na prawo. Miał tam dużo luzu...

- Mówiłeś coś o bombie...

- Tak? A więc co byś powiedział, szanowny, gdybyśmy włączyli do sprawy Antosia? On coś tam skończył, coś mu nie wyszło, i właściwie chłopak nie ma nic do roboty. Oczywiście szanuję prawo pierwszeństwa... Ta sprawa jest twoja.

- Fredku drogi - powiedziałem - z wielką przyjemnością wpuszczę w te mętne krakowskie rewiry Antosia. Jeśli zbierzemy materiał nadający się do druku, drukujcie. Jeśli będziecie chcieli za to zapłacić, nie

odmówię. Bo z forszą u mnie krucho.

- Gdy szef wróci, spróbuję dla ciebie wyżebrać zaliczkę.

Wypowiedziałem odpowiednie słowa podziękowania. Zarazem pomyślałem sobie, że przekonanie o skąpstwie mieszkańców podwawelskiego grodu powinno koniecznie przejść już do historii. Agnieszka, choć z naszego wspólnego biznesu nic ostatecznie nie wyszło, zaczęła współpracę ze mną od zaliczki. Tu w redakcji - znów obiecują mi zaliczkę.

„Obawiam się, że również ta redakcja wkrótce zbankrutuje” - odezwał się jak Kasandra mój głos wewnętrzny. - „Bowiem krótki żywot tych, co zbyt łatwo szafują pieniędzmi”.

Nic mu nie powiedziałem, ale na wszelki wypadek odpukałem w drewnianą deszczułkę leżącą na biurku Fredka. I chyba przeznaczoną właśnie do takich magicznych praktyk.

- A więc bierzcie się za śledztwo - powiedział szanowny sekretarz redakcji. - Oczywiście od jutra, bo dziś najważniejszy jest mecz.



## 8

- Ja tylko to produkuję, wiesz - oznajmił człowiek zwany Stemplem. - Co z tym zrobi klient, to jego sprawa. A ja nie chcę nic wiedzieć.

- Interesuje nas właśnie ten klient - rzekł Antoś.

- Klient jak klient. Zamówił towar, odebrał, uczciwie zapłacił. W tym interesie nikt nikomu w oczy nie patrzy. Żaden klient nie lubi, gdy mu się za bardzo przyglądasz, wiesz.

- Nie wkurzaj mnie, człowieku - powiedział cicho Antoś. - Komisarz Kroplówa pytał mnie kilka dni temu, czy nie domyślam się, kto, kurdemele, przygotował fajerwerki dla tej hurtowni w Płaszowie. On dużo by dał za taką informację... Wiesz, że tam zabiło ochroniarza? A policja, kurdemele, jak są zwłoki, zrobi wszystko, żeby sprawę wyjaśnić.

- Jaka hurtownia? Nic nie wiem.

- Za to ja wiem, czyja to robota. Mówi się przecież, że jak Stempel przyłoży stempel, to rozpiarducha pewna. Twoje stemple są znane.

- Tak było kiedyś. Ja idę z postępem, wiesz. Nowe techniki... Już tak łatwo mnie nie wyczują.

- Ja twoje bombki wyczuwam... Nawet po smrodzie... więc nie wciskaj mi kitu.

- Co mam więcej powiedzieć? Przyszedł klient, wiedział, co trzeba zaszczekać, czyli dostał kontakt z branży, złożył zamówienie, no i wiesz...

- Jakie to było zamówienie? - wtrąciłem się. - Przecież ta bombka nawet psa nie zabiła.

- Bo tak miało być.

- Mówił dlaczego?

- Coś tam powiedział, że chce się pozbyć jednej laski. Znaczy się, chce ją postraszyć, bo nie daje mu spokoju. Nie uwierzyłem mu, ale wiesz, klient nasz pan. Mówi, co chce. Mnie nie obchodzi, co on robi z towarem.

- Jak wyglądał?

- Zwyczajnie. Jak prawdziwy biznesmen... czarna skórzana kurtka, złoty łańcuch i złoty zegarek... Umieśniony. Taki, co lubi chodzić do siłowni, wiesz.

- Stary?

- Koło czterdziestki, wiesz.

Nie wiedziałem, dlaczego wyciągnąłem zbiorowe zdjęcie, na którym Antoś uwiecznił dla potomności między innymi lewy profil Koli. Może dlatego, że bez wyjątku było to szemrane towarzystwo? Kilku dżentelmenów ze zdjęcia miało też odpowiedni wiek. Może któryś z nich złożył osobiście zamówienie u Stempla, żeby przesłać kumpłowi z fotografii bombowy komunikat?

- No i po co te podchody? Mówcie od razu - powiedział Stempel - że wszystko wiecie. - I wskazał małym palcem Kolę. Małym, chociaż mógł to zrobić również kciukiem. Wybór miał ograniczony, bo zostały mu tylko dwa palce.

- To ten.

Obydwaj z Antosiem stanęliśmy na wysokości zadania i ani mrugnięciem nie zdradziliśmy swego zaskoczenia.

- Ten od lewego profilu?

Profesjonalista od bomb chyba nie zrozumiał. Może nie znał słowa „profil”?

- No ten, mówię.

Nie było wątpliwości. Wskazywał Koleę. O ile oczywiście na zdjęciu był Kola, a nie jego sobowtór albo brat bliźniak.

- Czy coś z tego pojmujesz? - zapytałem Antosia, gdy wyszliśmy od Stempla i powoli zmierzaliśmy do miejsca, gdzie dziennikarz zaparkował samochód.

- Nic a nic. Ciągłe mi się wydaje, że to wszystko jest na niby... Jakby ktoś odstawił dla nas teatralną farsę.

- To znaczy?

- Najpierw ktoś ci mówi, że facet wpadł pod tramwaj. Nie ma jednak żadnego śladu wypadku. Potem ten facet, który, kurdemele, powinien leżeć grzecznie w grobie, jak wypada nieboszczykowi, dzwoni do swojej laluni. I każe jej iść po te, jak mówiłeś, bakłażany. W czasie, gdy dziewczyna na targu negocjuje cenę warzywa, ów nieboszczyk albo ktoś na jego zlecenie umieszcza w drzwiach mieszkania wybuchową niespodziankę. Tyle że mało szkodliwą.

- Może on naprawdę chciał postraszyć Mariannę, jak powiedział temu specjaliście od bomb?

- Żeby mu dała spokój? Przecież on już się od niej uwolnił, nie było go jakiś czas, a potem sam - o ile to był naprawdę on - odezwał się do niej.

- Chyba że to miłe dziecko nas okłamało. I wszystko było inaczej.

- Zastanawia mnie reakcja policji. Komisarz zwany Kroplową, którym straszylem Stempla, nieraz pomagał Fredkowi zdobyć, kurdemele, jakieś informacje. Ale przeważnie coś za coś. Rozumiesz, handel wymienny. A tu, kurdemele, dał nam Stempla na tacy, za frajer, i jeszcze poradził, jak go postraszyć. Czyli on wie, że

Stempel przygotował wybuch w hurtowni w Płaszowie i zamiast go zamknąć...

- Może nie ma dowodów?

- To wszystko kręci się wokół tego Koli - stwierdził Antoś.

- Albo Marianny.

Był piątek, z nieba siało i Kraków wyglądał wyjątkowo ponuro. A silna grupa śledcza, czyli Antoś i ja, nie miała pomysłu, co robić dalej. Zawodziłem przede wszystkim ja. Redaktor Kłonica, organizując nasz dwuosobowy team, powiedział, że wkładem Antosia będzie rozeznanie w krakowskim całym i półświatku. Potem zaś elegancko dodał, że liczy, iż ja z kolei udostępnię dla celów śledztwa znaną mu dobrze mą intuicję oraz szare komórki. A tu nic. Intuicja mało aktywna, a szare zachowują się, jakby ich nie było. Czy już wszystkie pożarł alkohol? Jednym słowem, nie potrafię wyprodukować żadnej nowej idei posuwającej śledztwo do przodu.

- Podjedźmy do redakcji - zaproponował Antoś. - Może doradzi nam coś Fredek szanowny.

- A ja muszę wreszcie ulokować gdzieś Mariannę.

Dziewczyna-dziecko spędziła noc na kanapie naczelnego redaktora. Zorganizowałem jej kanapki i herbatę, kupiłem szczotkę do zębów, pożyczyłem jakiś koc, a nawet późnym wieczorem wyprowadziłem, a potem przemyciłem z powrotem do redakcji Wacława-Aleksa. Przewidywałem jednak, że tymczasowe lokum w każdej chwili może być wypowiedziane.

- Liczyłeś, że znajdzie coś mieszkalnego dla Marianny nasza krakowska Miss - przypomniał Antoś. - Zadzwoń więc wreszcie do niej.

- Ona już nie wasza, nie krakowska, ona stała się dobrem narodowym - odrzekłem. - Ale rzeczywiście, choć Mariannie ten pomysł się nie podoba, trzeba uderzyć do pięknej pani Trochelko.

Nie bardzo mi się chciało. Dostałem przecież od Agnieszki kosza. W sprawach co prawda zawodowych, jednak nie wypada mi teraz odzywać się pierwszemu. To ona powinna zadzwonić, wyjaśnić, może przeprosić. Prośba o pomoc, chociaż nie dla mnie, wydawała mi się wyjątkowo niestosowna.

„Uprawiasz okropnie mętne myślenie” - odezwał się mój głos wewnętrzny. - „Ile tych zastrzeżeń: »co prawda«, »ale jednak«, »to ona powinna«, »wypada - nie wypada«; dzwoń do dziewczyny, nawet jeśli to niestosowne”.

Przekonał mnie łatwo, bo chyba w głębi duszy miałem ochotę na ten telefon. A nawet, przyznając się, tuż po powrocie z Pragi próbowałem kilka razy do niej dzwonić. Już miałem powiedzieć Antosiowi, że oddałę się na chwilę, żeby zatelefonować, gdy odezwała się komórka mojego szanownego kolegi.

- Fredek - poinformował mnie, gdy tylko spojrzał na wyświetlacz. Minutę pogadali, po czym zapytał:

- Zjemy z nim lunch?

- Oczywiście.

- On już czeka na nas, więc jedźmy.

Wiśła wczoraj po dogrywce ostatecznie wygrała i przeszła do następnej rundy. Gdy więc zamknięto wreszcie numer, a redaktor prowadzący, czyli Fredek szanowny, złożył stosowne podpisy na wszystkich kolumnach gazety, rozpoczęło się wielkie świętowanie w sąsiadującej z redakcją knajpie. (Wiem coś o tym, bo i ja tam przecie byłem, wino oraz koniak piłem, z krakowską bracią dziennikarską się radowałem, i na długo imprezę w pamięci zachowałem). Choć może nawet któryś z biesiadników dziwił się trochę, że ja - z racji zamieszkania - raczej kibic Legii (a ta, przecież, niestety, umoczyła tego samego dnia), mam tak znakomity humor, to Fredek rozwiął wszelkie wątpliwości, rekla-

mując mnie jako krakowskiego patriotą. Albo, żeby nie wpadać w górnolotny ton, po prostu kibica stołecznego królewskiego miasta Krakowa.

Nocowałem oczywiście u Fredka. Rankiem popędziłem na spotkanie z Antosiem, zaś redaktor Alfred Kłonica, choć miał dziś wolne, zerwał się wcześniej i spędził godzinę na oglądaniu okolicznych kiosków oraz rozpytywaniu kioskarzy. Na szczęście wszystko było w porządku. Jego gazeta zniknęła w przyzwoitym tempie, konkurencja wypadła blado i były nadzieje, że może wypadnie w ogóle z gry.

Powiedział nam to teraz w dwóch słowach, gdy tylko zasiedliśmy z Antosiem przy stoliku pod oknem.

Zamówił wódeczkę dla siebie („ja dziś nie pracuję”), karafkę czerwonego wina dla mnie i piwo bezalkoholowe dla Antosia („coś dla kierowcy poproszę”). Każdy wybrał sobie danie z karty (ja placki po węgiersku nadziewane mięsem, specjalność zakładu) i przystąpiliśmy do degustacji.

„Biedna Marianna”, przypomniałem sobie nagle. „Co ona tam robi w redakcji? My tu zajadamy frykasy, a ona nieszczęśliwa, bez aprowizacji i bez pomysłu na dalsze życie. Nawet wina nie ma, żeby poprawić sobie nastrój. A ja, ostatnia jej nadzieja, rozpląnałem się w krakowskiej jesiennej szarudze”.

Fredek, jakby odczytawszy me myśli, wychylił kieliszek z dobrze zmrożonym przezroczystym płynem i powiedział:

- Aha, zawiozłem rano Mariannę do mojej siostry. Jej mąż pracuje na budowie w Niemczech i dziewczyna czuje się trochę samotna. Dobrze jej zrobi towarzystwo. Marianna może kilka dni u niej pomieszkać. Pies też.

- Fredku, jesteś nieoceniony.

- Wiem, wiem, nie musisz mi przypominać.

- To twoje zdrowie!

- Serdeczne dzięki. Ale ja was tu zaprosiłem, szanowni, nie dla pijaństwa czy swawoli. Mam po prostu niespodziankę.

Obydwaj z Antosiem przerwaliśmy zaawansowaną konsumpcję i, nadstawivszy ucha, czekaliśmy, co powie redaktor szanowny Alfred Kłonica. A on, odczekawszy chwilę („umie bestia zrobić nastrój”), oznajmił spokojnie:

- Umówiłem nas z panem Mikołajem Adajewiczem. Już za chwilę powinien tu być.

Zaniemówiłem na dłuższą chwilę, a Antosowi po prostu opadła szczęka. I z rozdziawioną gębą pozostał do momentu, gdy Fredek powiedział:

- To chyba on. - I wskazał na człowieka, który zaparkował po przeciwnej stronie ulicy i właśnie wydostawał się z samochodu.

Siedzieliśmy tuż przy oknie, więc widać było wszystko jak na ekranie w kinie. Mężczyzna w długim płaszczu, o profilu rzeczywiście przypominającym ten znany mi ze zdjęcia, wysiadł z ciemnozielonej astry i otworzył bagażnik. Nigdy nie dowiedziałem się, czego szukał. Bo w ciągu kilku, a może kilkunastu sekund na naszych oczach rozegrały się sceny zaiste filmowe. Po stronie restauracji, w odległości paru metrów zaledwie od okna, przez które wyglądaliśmy, stało czarne bmw. Dwuosobowy kabriolet, ale z naciągniętym, stosownie do pory roku, dachem. I z tego samochodu zaczęto nagle po prostu strzelać. Najpierw usłyszałem dwa albo trzy pojedyncze strzały. A potem rozległa się seria z broni maszynowej. Kola, czy ktokolwiek to był, w chwili gdy padł pierwszy strzał, a może nawet wcześniej, wykonał niezwykle akrobatyczny skok i skrył się za zielonym samochodem. Nie zamierzał się jednak długo chować. Nagle pokazał się nad swoją astrą i strzelił z rewolweru. Chyba trafił kogoś siedzącego w bmw, bo zauważyłem tam dziwną kotłowaną. Czarny samochód ruszył z otwartymi drzwiami od strony kierowcy. Na jezdni pozostało wypchnięte z bmw ciało.

- Na podłogę, pod ścianę! - teraz dopiero usłyszałem krzyki w restauracji.

Nie było już sensu kryć się, bo było po wszystkim. Spojrzałem jeszcze raz na ekran, to znaczy przez okno. Również zielona astra, z uniesioną klapą bagażnika, co nadawało jej śmieszny wygląd, znikafa z pola widzenia.

- Co to jest, kurdemele, amerykański film?

- A nie tak dawno mówiłeś, że sytuacja wydaje ci się jak z farsy.

- Panowie, nie dyskutujmy o gatunkach filmowych czy teatralnych - wtrącił się przytomnie Fredek. - Tu dzieje się coś naprawdę. Tam na ulicy leży chyba trup.

Antoś przypomniał sobie, że jest dziennikarzem, wyciągnął z torby mały aparat fotograficzny i wybiegł na ulicę.

Dla odzyskania równowagi wypilem szklaneczkę wina, a Fredek dopił resztę wódki. Wrócił Antoś. Na ulicy pojawił się samochód policyjny, po chwili następny i karetka pogotowia. Zaroiło się od gapiów.

- Pomożemy naszej policji? - zapytał Antoś.

- Oczywiście, to przecież obywatelski obowiązek. Ale może nie teraz i nie tutaj - odrzekł Fredek. - Nic przecież nie widzieliśmy.

- To był on? - zastanowiłem się głośno.

- Na pewno. Ta strzelanina potwierdziła to ostatecznie.

- Czy chodziło o niedopuszczenie do spotkania z nami?

- Być może. A w ogóle to płacimy rachunek i ruszamy w świat. Trzeba oddalić się trochę od tego miejsca. Nabrać dystansu...

Ulotniliśmy się zatem. Antoś zaparkował swoje polo na sąsiedniej uliczce, toteż bez kłopotu mogliśmy odjechać. Bo teren przed restauracją został już obstawiony przez policjantów, którzy legitymowali i spisywali właścicieli kilku samochodów stojących na ulicy. Wszyscy oni, jak jeden mąż, przybiegli na odgłos strzałów, żeby sprawdzić, czy nic się nie stało ich ukochanym pojazdom.

- To gdzie teraz? - zapytałem.



- Pojedźmy do hurtowni win mołdawskich - zaproponował Fredek. - Wczoraj do nich zadzwoniłem z pytaniem o Kole: Czy znają pana Adajewicza? Skądże. To może pana Vanvonmeerde albo pana Wytiagajczenkę? Skądże znowu, pierwszy raz słyszą takie dziwne nazwiska. Cóż, mówi się trudno. Na wszelki wypadek zostawiam namiary. Może coś sobie przypomną.

- I co?

- Pół godziny później dzwoni telefon. Pan Mikołaj, we własnej osobie. Podobno go szukam. A czy można wiedzieć, w jakiej to sprawie?

Siedziałem obok kierowcy, więc popatrzyłem na Antosia. Zaś Antoś popatrzył na mnie. Zrozumieliśmy się bez słów. Tak naprawdę śledztwo prowadzi Fredek. A my dwaj poruszamy się jak muchy w mazi.

Zadzwonił telefon Fredka. Ktoś nadawał dłuższą chwilę.

- Wcale pana nie wystawiłem - wreszcie mógł odezwać się mój kolega szanowny. - Może pana śledzą, albo podsłuchują. Ja naprawdę chcę się z panem spotkać i tylko po to, żeby porozmawiać. Ale jeżeli pański telefon jest na podsłuchu, to lepiej nie ustalajmy teraz gdzie i kiedy!

Rozmówca coś znów mówił.

- Niech pan wymyśli sposób.

Rozmowa została zakończona.

- Kola uważa, że go wystawiłem. Nie wiem, czy uwierzył w moje zaprzeczenia.

- Jeżeli nie uwierzył, to nie odezwie się więcej.

- Tym bardziej musimy odnaleźć go sami. Jedźmy więc do tej hurtowni - powiedział Fredek. I rzucił w kierunku Antosia: - Będę cię pilotował. Wiem, gdzie to jest.

## 9

Antoś został w samochodzie, a my z Fredkiem poszliśmy rozmawiać z właścicielem hurtowni.

- Już dwóch to za dużo. Przy trzech na pewno nic nie powie.

Zajrzeliśmy do niewielkiego baraku. Nikt niczego nie pilnował. Korytarzyk, kilka par identycznych drzwi bez żadnych tabliczek czy napisów. Zapukałem do pierwszych. Ze środka doszedł dziwny dźwięk, może był to nawet ludzki głos, więc weszliśmy. Gruby mężczyzna siedział przy pustym biurku i pił piwo z puszki.

- To ja telefonowałem wczoraj w sprawie pana Adajewicza - oznajmił Fredek. I szybko dodał, widząc, że mężczyzna chce się odezwać: - Niech pan nic nie mówi. Ja wiem, że pan go nie zna. Ale on już do mnie oddzwonił. I miał się z nami spotkać. Wynikły jednak pewne przeszkody.

Mężczyzna wypił łyk piwa i spojrzał na nas tępym wzrokiem.

- Musimy spotkać się z panem Adajewiczem. To jest bardzo ważne.

Brak odzewu. Grubas milczał.

- Nie ufa mi pan? Może pan mnie sprawdzić. Nazywam się Alfred Kłonica, jestem dziennikarzem. Oto moja legitymacja. Niech pan zadzwoni do Henia Wierzyby albo Roberta Stupińskiego. Oni mnie dobrze znają.

Mężczyzna coś mruknął. Nie był zbyt rozmowny. A może nie opanował jeszcze sztuki mówienia?

- To znani krakowscy handlowcy - wyjaśnił mi cicho Fredek. - Drugi obieg, czyli szara strefa.

I znów zwrócił się do milczka:

- Robert dał mi telefon do pana i adres. Wiem, że robiliście wspólnie interesy.

Mężczyzna nagle bluzgnął stekiem przekleństw. Najłagodniejszym spośród nich było popularne słówko na „k”, które dla wielu Polaków stanowi rodzaj mówionego przecinka.

„Więc jednak mówi”, zdziwiłem się w głębi duszy.

„Jeżeli można to nazwać mową” - skomentował mój kulturalny głos wewnętrzny.

Po przetłumaczeniu na polski, wypowiedź mężczyzny oznaczała mniej więcej tyle, co: „Dajcie mi spokój” albo: „Czego ode mnie chcecie”.

Postanowiłem zmienić temat, bo wydawało mi się, że poprzedni wyczerpaliśmy. *I*

- Interesy słabo idą? - zapytałem.

Ale grubas powrócił już do swego poprzedniego stanu. Pił wolnymi łykami piwo i milczał.

- Pan jest właścicielem tej pięknej hurtowni? - próbowałem jeszcze podtrzymać niekonwersację, bo takowej przecież nie było, ale jakkolwiek kontakt.

To pytanie, zdaje się, coś w nim poruszyło. Spojrzał na mnie i chyba miał zamiar odpowiedzieć, jednak w ostatniej chwili się powstrzymał.

- Czy raczej Kola? - rzuciłem od niechcenia.

Chciałem wywołać jakąś reakcję. Niech zaprzeczy, niech nawet rzuci się na mnie, że chcę pozbawić go tytułu własności tego brzydkiego baraku. Niech zrobi

cokolwiek. Byle wreszcie zaczął odpowiadać na nasze pytania.

Efekt przeszedł moje oczekiwania. Mężczyzna wykrzychał zdanie, które mam ochotę zacytować jako autentyk językowy. Zdziwiło mnie, jak niewielu słów potrzeba, żeby mówić. W wolnym przekładzie na piękną mowę Kochanowskiego i Mickiewicza, bo znów muszę dokonać tłumaczenia, zdanie brzmiało mniej więcej tak: „Jak wiesz, to po co pytasz?”. Może jednak powiedział coś innego? Takiej znów biegłości w używanej przez grubego dżentelmena odmianie polszczyzny nie posiadałem.

Ten kolejny wybuch przełamał barierę i mężczyzna zaczął mówić. Używał teraz słów odnotowywanych przez ogólnodostępne słowniki, jedynie ubarwiając swoją wypowiedź drobnymi przekleństwami.

I choć nie była to zbyt składowa przemowa, przecież ją zrozumiałem. Więc rzeczywiście Kola jest właścicielem hurtowni. Ale to on - gruby - haruje tu od rana do wieczora. „Gruby zrób to, gruby zrób tamto”. Bez grubego, a może raczej Grubego, bo to zdaje się jego przezwisko, to wszystko - tu padło dosadne słówko - diabli by wzięli. To on, Gruby, się martwi, gdy Kola wyjeżdża na dłużej. I teraz to wszystko oddać? Bo Koli zachciało się dogadywać z mafią? Wchodzić w jakieś interesy? On, Gruby, wie, że z tą hurtownią wszystko od początku było lewe. No, bo dlaczego on tu miał udawać właściciela? Ale to nie był wielki przekręt. Kola nie chciał się przyznać, że zainwestował jakieś pieniądze. To takie wielkie przestępstwo? W tym p... [ozdobnik trudny do przełożenia; wyraża dość ogólnikową dezaprobatę] kraju? Tu miliony dolarów latają po ludziach bez żadnych faktur. Może Kola nie chciał zapłacić podatku? To tylko dobrze świadczy o nim jako biznesmenie. Co? Podatki są przecież za wysokie. A on, Gruby, włożył w to tyle roboty, że to już dawno powinno być jego. To znaczy Grubego.

I teraz przychodzi Kola i mówi, że trzeba sp... [zamykać interes, zniknąć], bo - przecinek na „k” - mafia doбира mu się do d... [mafia zagraża mu, nie daje spokoju]. To niech sp... Ale sam. On, to znaczy Gruby, ma papiery na tę budę i nikomu jej nie odda. Na to Kola mówi, że oni wiedzą, że to jego. I spalą budę, a jego, Grubego, razem z nią. Więc co on ma - tu znów znane słówko-przecinek - robić? Znów wrócić do braciszka Alberta? Do noclegowni?

- Co się - przecinek na „k” - patrzycie? On mnie wyciągnął ze schroniska. Zaprowadził do fryzjera, kupił ten p... [znów ten trudny do przetłumaczenia ozdobnik] garnitur i koszulę. I pozwolił żyć. Trochę utylę wreszcie. Starczało na piwko i nawet na jakąś d... [kobietę]. Ale przecież za to wszystko musiałem stale zap... [ciężko pracować].

Słuchałem z zapartym tchem długiego monologu. Postanowiłem jednak przerwać Grubemu przemówienie:

- Czy wie pan, o co chodzi tym z mafii? Dlaczego mają pretensje do Koli?

- On mówi, że jakaś ich podpuściła...

- Jakaś?

- No tak. Jakaś dupencja... No, on z nimi miał wspólne sprawy, ja nie wiem, jakie... ale mówi, że był uczciwy. Nigdy ich nie wyrolował [tu spolszczyłem trochę].

- Nie może się z nimi dogadać?

- No, dogadał się, dogadał. Że im - przerywnik na „k” - odda hurtownię.

- Wie pan, co to za „dupencja?”

- Kola nie zwierza mi się. Jakaś lala, z którą coś tam miał...

- I ta panienska ma takie możliwości, żeby napuścić na niego mafię?

- K..., mówię, że ja nie wiem.

- A może wie pan coś o wypadku tramwajowym, w którym Kola miał być poszkodowany?

Gruby mężczyzna zaczął wydawać dźwięki, które były chyba śmiechem. Słyszałem i oglądałem kiedyś w jakimś przyrodniczym dokumencie śmiejące się małpy.

Ale film o Grubym byłby o wiele ciekawszy. I chyba nie trzeba by go kręcić z ukrytej kamery, czekając wiele godzin na odpowiednie ujęcia. Wystarczyłoby połaskotać odpowiednim pytaniem. Mężczyzna rżał i parskał. Pluł drobinami śliny, co nie wyglądało zbyt apetycznie, ale dodawało scenie autentyzmu. W którymś momencie zaczął nawet klepać się rękami po brzuchu. Wyraźnie wypadek Koli sprawiał mu dużo uciechy.

- To nie Kola, ha ha ha, to jego kumpel. Pili we dwóch, a Kola dużo może wciągnąć, ha ha ha, tamten był mocniej podcięty. I jak wychodził, włożył kurtkę Koli. No, z jego dokumentami. Kola zauważył po chwili pomyłkę i gonił go. I może by go dogonił, ale tamten po pijaku wp... się [wpakował się], ha ha ha, pod tramwaj. Rozj... [rozjechało] go na miazgę. Ale jakiś dokument został cały. Więc poszła w świat wiadomość, że Kolę roz... I on, to znaczy Kola, chociaż był zaj... [mocno pijany], od razu zrozumiał, że wyciągnął los na loterii. Jego już nie ma. Mafia myśli, że, k..., jego roz... Więc się przyczał, jak zajac na miedzy. Zniknął.

- Ale przecież teraz wrócił.

- Ja tam nie wiem - Gruby wyraźnie się wystraszył. - Ktoś wyczał, że on żyje. Znów mafia za nim goni.

- I co teraz?

- No, jak dzwonił do was, to chyba coś kombinuje... On ma łeb na karku.

Wyglądało, że Gruby też nie jest wcale taki głupi, jak udaje. Dodawał dwa plus dwa i wychodziło mu cztery. Wiedział, kim jesteście. Zapewne wydawało mu się, że możemy być szansą dla Koli, a więc pośrednio i dla niego.

- Ma pan telefon do Koli?

- Już nie... znów zmienił numer. Bo on jest cwaniak i nie da się namierzyć.

- Mafia go namierza?

- K..., dajcie mi wreszcie spokój - znów chyba się wystraszył.

Zdaliśmy Antosiovi relację z rozmowy. Nawet z drugiej ręki to było coś. Wyraźnie nam zazdrościł, że nie dane mu było posłuchać Grubego.

- To teraz moja kolej - powiedział. - Ja mam takich kumpli, co mi powiedzą, dlaczego, kurdeleme, ścigają tego Kołę.

- A ja muszę wpaść do redakcji - oznajmił Fredek. - Wziąłem ze sobą pieniądze Koli i paszporty, które wczoraj przywiozłeś, bo chciałem to wszystko oddać temu facetowi. Teraz trzeba schować je z powrotem do sejfu.

„A co ja będę robił?”, zastanowiłem się.

Najchętniej wróciłbym do Warszawy. Fredek da sobie radę beze mnie, zresztą ma do pomocy Antosia. Marianna powinna wreszcie usamodzielnić się i sama martwić się o siebie.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że myślę o Mariannie po staremu. A przecież rozmowa z grubym hurtownikiem przyniosła zupełnie nowy jej obraz. O ile oczywiście „dupencja” to ona. Rewelacje Grubego ukazywały ją jako dziewczynę z kontaktami w mafii, która na dodatek wiele może.

- Czy sądzisz, że to Marianna jest panienką, która podpuściła mafię przeciw Koli? - zapytałem Fredka. - Zupełnie nie pasuje mi to do wizerunku dziewczyny-dziecka.

- Też wydaje mi się to nieprawdopodobne. Ale po przyjęciu takiego założenia elementy układanki zaczynają pasować do siebie. Kola, żeby przestraszyć jakąś panienkę, zamówił bombę. I przeciw komu jej użył? Przeciw Mariannie.

No tak. Czyżby więc Marianna była kolejną kobietą w moim życiu, która wygląda na kogoś zupełnie innego, niż jest w rzeczywistości? Mam szczęście do takich

pań. Albo może nie znam się zupełnie na kobietach? Romantyczka (z pozoru) okazuje się cyniczną uwodzicielką, która pragnie jak najszybciej zaprowadzić mnie do ołtarza. O niewinnym (z pozoru) dziewczątku, które rumieni się z powodu delikatnej aluzji erotycznej, dowiaduję się od jej najbliższej przyjaciółki, że przez wiele lat prowadziło (owo rumieniające się dziewczę) dzienniczek, a w nim zapisywało szczegółowe oceny kolejnych kochanków. Niewinna miała ich mniej więcej tyłu, ile dni w roku, ale tylko kilku zasłużyło sobie ponoć na stopień celujący. No a ta przyjaciółka? Niby bardzo krytyczna wobec rozległej seksualnej praktyki dziewczątka, w gruncie rzeczy jej zazdrości. Ona chciałaby tak samo. Tyle że się troszkę boi.

„Mówisz Marianna, a myślisz Agnieszka” - odezwał się do mnie w stylu minionej epoki głos wewnętrzny. - ”Wdajesz się w niezbyt odkrywczę pod względem psychologicznym rozważania o charakterze niewieścim, aby uciec od pytania o Agnieszkę. Co dalej z twoim jesiennym romansem z Miss Polski? Przecież on miał być najważniejszy w tej historii!”

„Mówiłem ci już wielokrotnie, że jesienią nic z tego nie będzie. Zaczekajmy przynajmniej do wiosny”.

„Ale ta historia już się kończy. Facet się odnalazł, Marianna ma powiązania z mafią, co tu jest jeszcze do wyśledzenia? Więc jeśli chcesz powalczyć o Agnieszkę, to zostało ci mało czasu. Właściwie to już ostatnia chwila”.

„Więc trudno. Z romansu z Agnieszką nic nie będzie. Zresztą nawet gdybym spróbował, mam zerowe szanse”.

„Jeżeli nie spróbujesz, nigdy nie będziesz tego wiedział na pewno”.



## 10

Zadzwoiłem do Agnieszki tuż przed wyjazdem z Krakowa. Na specjalny telefon używany w sytuacjach awaryjnych. „Jak nie spróbujesz, nie będziesz wiedział”. Więc dobrze, spróbuję. Spotkam się z nią i pogadam. Na więcej nie liczyłem.

Pani Miss nie zdziwiła się nic a nic, że znam ten tajny telefon. Nie widziała też powodu, żeby choć słowem wracać do mojej niepotrzebnej podróży do Pragi. Żeby tłumaczyć się albo przeproszać. Tym bardziej, żeby zaproponować finansowe zadośćuczynienie za mój stracony czas. Ja również milczałem o tym wszystkim. Zwłaszcza że zostałem od początku telefonicznej rozmowy wprost porażony jej nowym, choć właściwie dobrze mi znanym entuzjazmem. „Strhasznie się cieszę, że cię słyszę” - oświadczyła. A ja, oczarowany znów tym głosem ze wspaniale wibrującym „r”, po prostu wsłuchiwałem się z przyjemnością w samo brzmienie słów.

Spadłem jej z nieba, jak się wyraziła. I muszę pomóc w pewnym przedsięwzięciu. Powiedziałem, że mam już bilet i za pół godziny pociąg do Warszawy. „Oddaj bilet i nie wyjeżdżaj” - poprosiła w taki sposób, że natychmiast zapomniałem o moich planach. Wcześniej umówiłem

się z Fredkiem, że na weekend wrócę do domu, a do Krakowa przyjadę w razie konieczności w przyszłym tygodniu. Ta konieczność, jak sądziłem, nie będzie wcale konieczna. Wydawało mi się bowiem, że wycisnęliśmy tyle, ile było można z naszego śledztwa. I że materiału na dziennikarską bombę w tym raczej nie ma. Myślałem co prawda o tym, żeby ewentualnie spotkać się w Warszawie z Jackiem (czyli, dla redaktora Kłonicy, z moim informatorem w policji) i drażyć dalej temat. Ale czy Jacek będzie coś wiedział o krakowskiej mafii? Raczej wątpię.

A teraz siedziałem w kawiarni z jaśnie (od jasnych kolorów) panią Miss i przymierzałem się do udziału w jakimś wariackim planie. Ona co chwilę prostowała się w krzesła i przekrzywiała w charakterystyczny sposób głowę. To były znane mi już dobrze sygnały, że przez jej uroczą główkę przelatują nowe pomysły. Czulem, a może nawet wiedziałem, że mnie oszukuje.

- Weź na wszelki wypadek - powiedziała Agnieszka, podając mi pod stolikiem metalowy przedmiot.

Chciałem wyciągnąć go spod stołu i obejrzeć, ale ona syknęła:

- Nie pokazuj.

- To pistolet - zdziwiłem się.

- Oczywiście.

- Agnieszko, ja nie jestem bohaterem z westernu. Nie umiem strzelać i na pewno pistolet może mi jedynie zaszkodzić.

- To oddaj.

Była niezadowolona, ale tylko trochę. Wyglądała prześlicznie. Dziś od stóp do głów prezentowała się w skórach: włożyła skórzane spodnie, skórzaną kurteczkę, skórzane rękawiczki i oczywiście skórzane buty. Miała nawet skórzaną czapkę, dżokejkę, której nie zdjęła w kawiarni. A wszystko to w jasnym wiosennym kolorze. Po prostu nie przyjmowała do wiadomości, że za oknem

lokalu, w którym siedzieliśmy, mży drobny deszcz, a niebo przykryła warstwa burych chmur. Czyli że panuje najgorsza pora roku, w moim rankingu zajmująca ostatnie, czwarte miejsce.

- Masz go tylko wyciągnąć. Potrzebują kilku spokojnych minut. Dobrze znam to pomieszczenie, więc wiem, gdzie mógł schować papiery. Tam nie ma żadnych sejfów ani ukrytych szuflad.

Ostatecznie to Agnieszka będzie włamywaczką. Ja tylko przyjdę do sklepu zamówić większą partię towaru. Odegram rolę dobrego klienta. Ale w takim razie po co pistolet, który próbowała mi wcisnąć?

- Już czas - powiedziała - za pół godziny zamykają. On zawsze przyjeżdża o tej porze, bo liczy i zabiera utarg.

„A może chodzi o ten utarg”, przemknęła mi przez głowę myśl, „a nie o jakieś papiery, którymi właściciel sklepu szantażuje piękną właścicielkę głosu z wibrującym »r«?”.

„Na pewno chodzi o coś innego, niż ci powiedziała” - odezwał się mój głos wewnętrzny. - „Ale chyba nie o utarg. To nie jej skala. Ona robi większe przekręty”.

Ponieważ nie odpowiedziałem, dodał:

„Gdzie podziła się twoja uczciwość? Dlaczego godzisz się na udział w przestępstwie?”.

Odebranie szantażysty materiałów służących do szantażu nie jest żadnym przestępstwem. Tak myślałem, ale nie chciało mi się tłumaczyć przed głosem wewnętrznym.

- Więc chodźmy - rzekłem do Agnieszki.

Wszystko, miałem nadzieję, było dokładnie ustalone.

Nie mogliśmy popełnić żadnej pomyłki. Przeszliśmy dwie ulice. Agnieszka bez słowa oddaliła się. A ja otworzyłem drzwi do sklepu.

Był bardzo wytworny, z ciemnymi, zrobionymi na zamówienie meblami. Na półkach stały i leżały, podświetlone delikatnie, butelki. W środku pomieszczenia

kilka koszy wypełnionych tańszym towarem.

Zacząłem spokojnie oglądać wystawione skarby, koniaki, i to te z wyższej półki. Ceny przekraczały kilkaset złotych, a często zbliżały się do tysiąca.

- Może w czymś panu pomóc? - podszedł do mnie elegancko odziany młodzieniec.

- Macie państwo armagnac?

- Oczywiście - wskazał półkę dwa kroki dalej. - Polecam armagnac Dupeyron... Wyjątkowo dobra relacja ceny do wartości.

Przyjrzałem się butelce o charakterystycznym kształcie. Była dla mnie jak tarcza słońca z wystającym u góry lejkiem szczęścia w postaci zwykłej szyjki. Prawda, że miłe skojarzenie? Na czerwonym pudełku napis głosił Vieil Armagnac V.S.

- Znam i lubię - rzekłem. - A czy ma pan także w litrowej butelce?

- W tej chwili nie.

Pomyślałem sobie, że czas przejść do właściwej akcji.

- Mam pytanie. Jak pan zapewne wie, za kilka dni będzie nowy rocznik beaujolais.

- Oczywiście. W najbliższy czwartek.

- Właśnie, w trzeci czwartek listopada. Otóż w mojej firmie zbliża się okrągła rocznica rozpoczęcia działalności w Polsce. Piąta - uśmiechnąłem się.

- Gratuluję - powiedział poważnie młody człowiek. „Jest świetny. To było naprawdę dobre”, pomyślałem i mówiłem dalej:

- Firma francuska, więc szefowie wymyślili, że połączymy nasze wewnętrzne święto ze świętem beaujolais. U nas, w lokalu firmy. Wie pan, czasy są ciężkie, trzeba oszczędzać...

- Doskonale rozumiem.

- We czwartek... A w piątek dodatkowy dzień wolny od pracy. To zresztą po nocnej rozkoszy próbowania wina konieczność - zaśmiałem się.

- Zazdroszczę...

- Nie ma czego, proszę pana. Bo, niestety, na mnie spadło przygotowanie imprezy. Gdyby to było gdzieś na zewnątrz, sprawa prosta. Wynajmujemy lokal z pełną obsługą, jedzeniem, piciem i tak dalej. Ale do rzeczy. Muszę kupić jakieś osiemdziesiąt, a może nawet sto butelek dobrego beaujolais. Oczywiście z nowego rocznika. I muszę mieć sto, nie, nawet sto pięćdziesiąt procent gwarancji, że to wino dotrze na czas.

- Rozumiem. Dobrze pan wybrał. Mamy bezpośredni kontakt z francuskim dostawcą. Nasza firma na pewno panu pomoże. I nie zawiedzie.

- I jeszcze jedno. Czy przy takim zamówieniu możemy liczyć na rabat?

- Oczywiście. Tak się dobrze składa, że jest szef. Zaraz go poproszę. Proszę chwilę poczekać. A czy mogę panu zaproponować drinka? Aby czas się nie dłużył? Whisky, a może czerwone wino?

Wybrałem wino. Jak na pracownika francuskiej firmy przystało. Chateau la Rose Corbin rocznik 1998. Butelka była otwarta, więc chyba nie tylko ja korzystałem... Ciekawe, za ile trzeba tutaj kupić, żeby zostać w ten sposób wyróżnionym?

„Więc będzie jakaś malutka przyjemność z tego wariackiego pomysłu, zło jednak popłaca”, pomyślałem.

Agnieszka dobrze to wszystko wymyśliła. Obawiałem się, co prawda, że szef zaprosi mnie na zaplecze, ale pani Miss była przekonana, że to on wyjdzie do mnie. Sklep jest elegancki, zaplecze beznadziejne. Mogłoby podważyć zaufanie klienta do firmy.

- Dobry wieczór panu! - zjawił się tęgawy dżentemen.

„A więc tak wygląda szantażysta”, pomyślałem. Mężczyzna nie miał nawet dziesiątej części wdzięku

młodego sprzedawcy, ale to przecież nie oznacza od razu, że musi być łajdakiem. Przez chwilę wydawało mi się, że dostrzegam w nim ślad czegoś znanego.

- Dobry wieczór - odrzekłem, wciskając guzik w telefonie komórkowym ukrytym w kieszeni. Przećwiczyłem to kilka razy, żeby wykonać operację bez wyciągania aparatu. Przed wejściem do sklepu wybrałem numer dziewczyny. Teraz u niej telefon zareaguje delikatną wibracją. Dźwięk wyłączyła. A więc wie już, że teren jest wolny i może wejść na zaplecze sklepu. Gdy skończy swoją robotę, po prostu do mnie zadzwoni.

- Interesuje pana większa ilość beaujolais z nowego rocznika?

- No nie taka duża - zaśmiałem się głupekowato - jak na kilkadziesiąt osób. Bo wie pan, zaprosimy pracowników z małżonkami. A nawet, jak ktoś zechce, może przyjść z kochanką. Wie pan, francuskie podejście do miłości.

Młody ekspedient spojrzał na mnie lekko zdziwiony. Zrobił to bardzo dyskretnie, lecz jednak zauważalnie. Ale ja odgrywałem komedię dla szefa. Nie mogłem od razu przejść do rzeczy. Agnieszce potrzeba było trochę czasu.

- Rozumiem, rozumiem - mężczyźnie odpowiadał mój nowy styl.

- Ja dość nisko cenię beaujolais, choć spróbować co roku lubię. Ale naszych pracowników to uszczęśliwi. To młodzi ludzie, na co dzień piją raczej piwo.

- Więc chciałby pan kupić sto butelek?

- Chyba tak. Jak pan sądzi, czy to wystarczy? Będzie jakieś sześćdziesiąt osób.

Ekspedient zauważył mój pusty kieliszek, więc szybko napełnił go winem. Młodzieniec podobał mi się coraz bardziej. Ze względu na niego postanowiłem, że dokonam w sklepie jakiegoś zakupu. Może ten armagnac z tak dobrą relacją ceny do wartości?

- To zależy - odpowiedział mi właśnie sprzedawca, bo szef się nie kwapił. Może działania na takich dużych liczbach, jak sto i sześćdziesiąt, były dla niego za trudne?

- Zależy od czego?

- Na przykład od czasu trwania imprezy. Ale także od tego, czy wiele par przyjedzie samochodami. Wtedy w parze przynajmniej jedna osoba będzie piła znacznie mniej albo wcale.

- Wiecie panowie, nie ma dobrego rozwiązania. Jak wino zostanie, zarzucą mi rozrzutność, ale jeszcze gorzej, gdyby miało go zabraknąć.

- Jest takie rozwiązanie - oznajmił młody człowiek. Znów uzupełnił wino w moim kieliszku i powiedział:

- Proszę zamówić ze sporą rezerwą, a my odkupimy od pana butelki, które pozostaną.

- To mi się podoba - wykrzyknąłem. - Naprawdę miło robi się z panami interesy.

I z radości wychyliłem kieliszek. Młodzieniec jakby na to czekał, natychmiast dolał mi wina. Zdawało mi się, że szef nie pochwalał tej rozrzutności. A może raczej należałoby powiedzieć „rozlewności”?

- Dobrze, więc przejdźmy do szczegółów - powiedziałem.

- Oczywiście pomyślimy o prowizji dla pana - rzucił szef.

Spojrzałem na niego zimno.

- Chciał pan powiedzieć „o rabacie dla pańskiej firmy”?

- Oczywiście, przepraszam bardzo, przejęczyłem się.

I w tej chwili uświadomiłem sobie, kogo on mi przypomina. Miał więcej ogłady, ale było w nim coś z właściciela hurtowni. „Czyżby kolejny pensjonariusz schroniska pod wezwaniem Brata Alberta? Czy on też tylko reprezentuje czyjeś pieniądze?”, pomyślałem.

W tym momencie zadzwoniła moja komórka. Nareszcie.

- Przepraszam na moment - powiedziałem i odszedłem w kącie sklepu.

- Możesz już się ulatniać. Spotkajmy się w kawiarni, w której byliśmy przedtem.

- OK.

Odwróciłem się do dwóch mężczyzn:

- Wybaczcie mi panowie, nie udało się nam dzisiaj sfinalizować transakcji. Wzywają mnie do firmy. Mam nadzieję, że nie urodził się jakiś nowy pomysł zorganizowania rocznicowej imprezy. Bo praca koncepcyjna w naszej firmie wciąż trwa... A proszę mi powiedzieć, o której otwieracie panowie w poniedziałek?

- O jedenastej. Ale jeśli zajdzie taka potrzeba, możemy być już rano. Proszę, oto moja wizytówka - powiedział szef. - Może zadzwonić pan na komórkę jutro lub w niedzielę.

- Nie wziąłem wizytówek z samochodu - odrzekłem - ale to ja się skontaktuję. O ile oczywiście nie wymyślono właśnie, że zamiast wina będziemy na rocznicowej imprezie pić zsiadłe mleko.

Tylko ja zaśmiałem się z tego mojego niby dowcipu. Powiedziałem „do widzenia” przekonany, że nigdy więcej nie zobaczę młodego eleganta ani jego szefa. I poszedłem sobie.

Było już zupełnie ciemno i nadal mżyło. Siedziałem sam w pustawej kawiarni i wyglądałem przez okno na ulicę. Zanim doszedłem do lokalu, Agnieszka zadzwoniła, oznajmiając, że musi jeszcze coś załatwić. I kazała czekać. Więc grzecznie czekałem na moją Miss. Wykonałem jedynie krótki telefon do Fredka. Powiedziałem mu o zmianie planów, a on natychmiast domyślił się, dlaczego dzwonię.

- Gdybyś potrzebował noclegu, to służę moją garsonierą.



Obsypałem mojego przyjaciela sporą ilością czułych słów. Na niego zawsze można liczyć.

Miss wpadła do kawiarni jak spóźniony pociąg pośpieszny na stację. Była zdyszana i chyba zdenerwowana.

- Chodź - wołała prawie od progu. - Musimy iść.

- Co się stało?

- Powiem ci na miejscu.

- To znaczy gdzie?

- Niedaleko stąd. On zabrał tam te papiery. Muszę je odzyskać do północy.

- Agnieszko, znów masz jakiś plan?

- Nie, nie mam żadnego planu. Będziemy improwizować. Ty masz być tylko świadkiem.

- Świadkiem czego? - pytałem, prawie biegnąc za panią Miss.

- Zobaczysz. Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia.

Skręciła nagle do źle oświetlonej, prawie ciemnej bramy. Z oficyny w głębi wyszedł starszy mężczyzna z laską i jamnikiem na smyczy. Zamierzałem ukryć się w mroku, bo wietrzyłem jakąś nieuczciwość w zamiarach mej ślicznej towarzyszki. Po co ma mnie ktoś widzieć na miejscu niechybnej zbrodni? Ale ona zarządziła:

- Idź i zapytaj go o doktora Dobrzańskiego. Czy mieszka pod trójką.

- Kto to?

- Nikt ważny.

- Więc po co?

- Chcę coś sprawdzić.

I sama cofnęła się dwa kroki.

- Nie, nikt taki tu nie mieszka. Musiał pomylić pan numer domu - odpowiedział uprzejmy staruszek.

- Agnieszko, gdzie jesteś?! - zawołałem, gdy właściciel jamnika znikł już na ulicy.

- Cicho! - Jaśnie pani Miss wyłoniła się z ciemności. - Nie krzycz. A teraz chodźmy na górę.

Weszliśmy na drugie piętro. Dziewczyna nie zadała sobie trudu, by zapukać. Po prostu nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi. Nie były zamknięte, więc weszliśmy. W mieszkaniu było bardzo jasno, paliły się liczne światła. I pachniało dobrą kawą. Chętnie bym tu usiadł i chwilę odpoczął po naszym szybkim marszu.

Agnieszka pierwsza weszła do pokoju. Usłyszałem zduszony krzyk lub jęk i rzuciłem się za nią. Stała na progu z wyrazem przerażenia i - nie jestem tego pewien, ale takie było moje pierwsze wrażenie - wielkiego zdumienia. Zaś w głębi dużego salonu, przy stole, siedział w nienaturalnej pozie mężczyzna w dżinsowej bluzie i takich samych spodniach. Miał na oko dwadzieścia osiem, może trzydzieści lat. Usta szeroko otworzył, jakby do krzyku. Albo może próbował zaczerpnąć powietrza. Nie udało mu się i już nie uda. Mężczyzna był martwy. Na szyi miał czarną pręgę. A obok krzesła leżał sznurek, którym prawdopodobnie go uduszono.

Zachowałem nadzwyczajną przytomność umysłu. Jakbym codziennie spotykał przynajmniej jednego nieboszczyka, który opuścił nasz padół łez w nienaturalny sposób. Jednym spojrzeniem ogarnąłem cały pokój. I byłem przekonany, że utrwaliłem sobie ten widok, jak gdybym wykonał fotografię. Blisko drzwi, o krok od miejsca, w którym zatrzymała się Agnieszka, zastygając w rodzaj posągu (nadal nieruchomego), ujrzałem pistolet. Wydawał mi się taki sam jak ten, w który chciała mnie uzbroić pani Miss. Ale pewnie wszystkie pistolety w oczach takiego laika jak ja wyglądają identycznie.

„Agnieszko, to nie ciebie zamordowano”, chciałem powiedzieć, żeby wyciągnąć ją z letargu, ale zamiast tego zapytałem:

- Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? Co chciałaś tu załatwić?

- Co? - pani Miss budziła się ze stanu odrętwienia.

- Po co tu przyszliśmy?  
- Uciekajmy. Tu jest trup...  
- Zauważyłem - powiedziałem spokojnie. - Czy nie sądzisz, że powinniśmy zawiadomić policję?  
- I co jej powiemy? Że weszliśmy do cudzego mieszkania i znaleźliśmy trupa?  
- Kto tu mieszka? Przecież przyprowadziłaś mnie do konkretnego mieszkania. I wiedziałaś, że drzwi są otwarte.

„Ale trupa chyba się nie spodziewała. Zauważyłeś przecież jej zdumienie” - podpowiedział mi niezawodny głos wewnętrzny.

- Odpowiem ci na wszystkie pytania, ale teraz uciekajmy. On tu zaraz wróci.

- Kto wróci?

- Morderca.

- Czy ty wiesz, co tu się stało?

- Nie wiem... naprawdę Konrad.

- No dobrze, to chodźmy. Zadzwoimy na policję z au tomatu,

Zostawiliśmy mieszkanie w takim samym stanie, w jakim je zastaliśmy. Niczego chyba nie dotykaliśmy. Nie zgasiłem żadnego ze świateł, lekko zamknąłem za sobą drzwi, starając się ich nie zatrzaskać. Przetarłem tylko klamkę, bo choć to Agnieszka, która ani przez moment nie zdjęła rękawiczek, otwierała drzwi, nie byłem pewien, czy i ja klamki nie dotknąłem. Wyszliśmy z mieszkania i wtedy Agnieszka złapała mnie kurczowo za rękę. Ona pierwsza usłyszała, że na dole ktoś otwierał drzwi na klatkę schodową. Chwyciłem ją i bez słowa pociągnąłem wyżej, na trzecie piętro. Na schodach zapaliło się słabe światło. Ktoś cicho wchodził na górę. Staliśmy, wstrzymując oddechy. Ona przytuliła się do mnie. Mimo napięcia, poczułem delikatną woń perfum. Właściwie było przyjemnie.

Człowiek, który wchodził po schodach, zatrzymał się przed drzwiami mieszkania z nieboszczykiem w środku.

Gdy już zniknął za nimi, światło na klatce właśnie zgasło, więc odważyłem się lekko wychylić i spojrzeć w dół.

Wydało mi się to zupełnie nieprawdopodobne, ale ten mężczyzna przypominał mi kogoś znanego. Co prawda znanego bardzo słabo, bo głównie ze zdjęć. Tych, które widziałem w paszportach na dwa różne nazwiska oraz z prasowej fotografii, na której Antos uchwycił jego lewy profil. Widziałem mężczyznę również na żywo, przez krótki moment, gdy wychylił się zza samochodu, aby wystrzelić w kierunku czarnego bmw. Ale to była przecież akcja jak z amerykańskiego filmu, odbywająca się w oszałamiającym tempie. A ja spoglądałem na niego z odległości co najmniej kilkunastu metrów, przez szybę nie pierwszej czystości, w lekkiej mżawce. Żaden sąd nie dałby wiary memu świadectwu.

„To Kola? Prawda?” - zapytał mnie głos wewnętrzny.

„Tak mi się wydawało” - odpowiedziałem.

Zeszliśmy z Agnieszką po schodach. Na palcach, prawie nie oddychając. A potem przemknęliśmy się ulicą, pod ścianą kamienicy, jakby w obawie, że człowiek, który wszedł do mieszkania, wyjrzy przez okno i nas zobaczy. Dziewczyna cały czas mocno mnie trzymała. Ale gdy skręciliśmy za róg, nagle oderwała się ode mnie i zawołała:

- Zadzwoń do ciebie.

Wskoczyła do taksówki, która jakby na nią tam właśnie czekała. I już jej nie było.

## 11

Miałem wielką ochotę wsiąść do następnej taksówki, która zatrzymała się na rogu ulicy, skąd przed chwilą odjechała Agnieszka. Jeszcze mógłbym zdążyć na nocny pociąg do Warszawy. Co prawda nie tak wygodny jak dzienne ekspresy czy intercity, mknące tak zwaną trasą katowicką, i znacznie wolniejszy, ale przecież nad ranem znalazłbym się we własnym łóżku. Spałbym do południa, potem przy pomocy kilku filiżanek kawy, nie śpiesząc się wcale, uzyskałbym względną równowagę ducha, a wieczorem zapukałbym do Jadzi. Na pewno ma jeszcze niejedną butelkę znakomitej dereniówki. I jutro żadnej Agnieszki Trochełko. Ani słowa o pięknej pani Miss. Co na pewno ucieszy Jadzię, a mnie uspokoi wewnętrznie i pozwoli przetrwać w jakiej takiej kondycji do cieplejszych czasów.

Marzenie było pociągające, ale nierealne. Pojawił się trup, z którym trzeba było coś zrobić. Nad trupem nie można przejść do porządku i po prostu sobie wyjechać. Nie można delectować się dereniówką Jadzi, dopóki nad głową wisi sprawa trupa. Zrozumiałem, że trup ma większy wpływ na nasze życie aniżeli ludzie żywi. I to nawet tak bardzo żywi jak Agnieszka.

Do tej pory bawiliśmy się z Fredkiem i Antosiem w śledztwo dziennikarskie. Tak, była to zabawa. Nawet po strzelaninie przed knajpą, w której jadłem placki po węgiersku. Bo choć i tam został trup, to był to trup z zupełnie innej bajki. Chciałoby się powiedzieć, z innego filmu. Są takie filmy, w których trup ścięle się gęsto. Kilka albo kilkanaście ofiar na minutę nikogo nie dziwi. Musicie przyznać, że inne jest znaczenie trupa w takim zbiorowym trupobiciu niż pojedynczego trupa, znalezionego w zacnym krakowskim mieszkaniu. Trup trupowi nierówny.

Teraz miałem do czynienia z trupem poważnym. Takim, wokół którego można zbudować klasyczną powieść kryminalną. Ten trup wymagał wezwania policji, detektywów, porządnego śledztwa. Wytypowania podejrzanych i wielu przesłuchań. Profesjonalnego zebrania dowodów.

Zrobiłem więc to, co zrobić musiałem. Najpierw wróciłem i sprawdziłem numer kamienicy, w której byliśmy z Agnieszką kilkanaście minut wcześniej. A potem z pobliskiego automatu zadzwoniłem na policję. I powiedziałem, że w mieszkaniu na drugim piętrze, w kamienicy numer taki to a taki, przy ulicy takiej, znajduje się trup płci męskiej oraz prawdopodobny morderca. I żeby się pospieszyli, bo nie sądzę, żeby morderca zechciał na nich długo czekać. Nie odpowiedziałem na żadne pytanie i wyłączyłem się.

- Za chwilę będą ostatnie wiadomości - powiedział Fredek. - Może coś wspomną o twoim trupie?

- Nie sądzę - rzekłem. - O tej porze informacje rochodzą się wolniej. Zresztą jest piątek wieczór, komu chce się oglądać trupy.

- Mylisz się, szanowny, popatrz tylko.

We Fredkowym telewizorze zobaczyliśmy scenę z jakiegoś nocnego filmu. To był właśnie taki film, o jakim myślałem przed dwiema albo trzema godzinami. Skośnoocy bohaterowie strzelali do siebie z dziwnych

rusztowań. Jeden po drugim spadali w dół. Reżyser nawet nie starał się, aby te upadki różniły się czymś od siebie. Wyraźnie poszedł na ilość, a nie jakość.

- Mam na myśli trupy poważne...

„Przestań już o tych trupach” - odezwał się mój głos wewnętrzny. - „To stało się niesmaczne”.

Miał, bestia, rację. Zacząłem ostatnio doceniać głos wewnętrzny. Może wiązało się to z moim marnym nastrojem jesiennym i wyraźnym obniżeniem krytycyzmu?

Fredek przełączył telewizor na inny kanał, w którym o północy nadawano wiadomości. Już się zaczęły.

- Praga - ucieszyłem się.

Mignęły szybko charakterystyczne praskie obrazki. Most Karola, Stary Rynek, Narodni Divadlo nad Wełtawą. Tak niedawno tam byłem, pełen nadziei. W torbie podróżnej wiozłem prócz koszul na zmianę marzenie o telewizyjnej karierze w programie pięknej pani Miss. A może, jadąc do Pragi, roiłem sobie jeszcze o czymś więcej? Cóż, nie wyszło.

W telewizyjnych wiadomościach nie chodziło o promocję uroków sąsiedzkiej stolicy. To nie był program dla turystów, tylko informacje polityczne. Obrazki stanowiły tło, a mówiono o wielkich przygotowaniach do szczytu NATO. No tak, to przecież już za kilka dni.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Trochę mnie zmroziło, a Fredek też spojrzął jakoś niepewnie. Rozmawialiśmy tyle o trupach, a tu przecież godzina duchów wybiła przed chwilą. Jednak redaktor Kłonica odważnie pospieszył do drzwi wejściowych. Pojawił się Antoś z butelką Johny Walkera w wyciągniętej prawicy.

- Zostawiłem samochód i przyszedłem na piechotę - oznajmił. - Przepraszam za późną porę, ale miałem ważne spotkania.

- Przyznaję, że już się ciebie nie spodziewałem - rzekł Fredek. Ale był zadowolony. Zapewne wołał Antosia od jakiegoś niezapowiedzianego ducha albo, co gorsze, trupa.

- Czyli czeka nas kolejna wesoła noc... Wy tu, w Krakowie, tylko balujecie.

- Nie, przyjacielu szanowny. My umiemy odpocząć po ciężkiej pracy. W ramach pracy proponuję, żebyśmy zrobili sobie powtórkę z wydarzeń wieczoru. Nim zamrozi się lód do tego whiskacza. Bo nie wiesz jeszcze, Antoni szanowny, co widział Konrad.

- A wy, szanowni, nie wiecie, co ja słyszałem.

- Więc dzielimy się zdobyczami - powiedział Fredek. Wiadomości skończyły się, o moim - jak był łaskaw nazwać go dwuznacznie Fredek - trupie nie było ani słowa, toteż musiałem raz jeszcze o nim opowiedzieć. Obydwaj dziennikarze słuchali z wielkim zainteresowaniem, chociaż Fredek już po raz drugi.

- Czy jesteś pewien, że widziałeś Kolę?

- Skądże. Już mówiłem Fredkowi, że coraz bardziej wydaje mi się to niemożliwe.

- Znów mam wrażenie, że tu dla nas ktoś, kurdemele, odgrywa przedstawienie. Może to Agnieszka Trocheńko, słynna Miss Krakowa i Polski, je reżyseruje?

- Agnieszka? Przecież pojawiła się w naszym śledztwie po raz pierwszy.

- Ale od razu w scenie z trupem. I to ona zaprowadziła ciebie do tego mieszkania.

- Jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent przekonany, że nie spodziewała się zastać tam trupa. Była zupełnie zaskoczona. Chyba że jest świetną aktorką.

- Może i jest. Jeżeli wiedziała, że w mieszkaniu jest denat, mogła się przygotować psychicznie, żeby odegrać wielkie zaskoczenie.

- Ale po co mnie tam zaprowadziła? Do czego byłam jej potrzebny?



- Powiedzmy, że coś miałeś wykonać. Na przykład wynieść nieboszczyka.

- W takim razie zachowała się niekonsekwentnie. Ledwo zobaczyła trupa i otrząsnęła się z pierwszego wrażenia, chciała uciekać.

- A może miałeś tylko zobaczyć tego truposza? - włączył się Fredek. - Aby, spekuluję, w razie czego zaświadczyć, że gdy przyszlście tam razem z Agnieszką, trup już był. Martwy.

- Trup, wybacz Fredku, zawsze jest martwy.

- Tak, tak - uśmiechnął się łagodnie, zgodnie ze swoją naturą, mój przyjaciel - przyznasz jednak, że ta hipoteza ma sens?

- Przyznaję. Agnieszka wiedziała, że mieszkanie jest niezamknięte, a więc zapewne niedawno w nim była. Ale ona chyba nie dałaby rady udusić młodego mężczyzny?

- Skąd wiesz, że został uduszony? Może na przykład najpierw zastrzelony... Przecież widziałeś w pokoju pistolet. A dopiero potem dla zmylenia przeciwnika, czyli ciebie, zaciągnięto mu sznurek na szyi.

- Wiesz, że to coraz bardziej składa się do kupy. Dopasuj jeszcze do tego morderstwa Kołę, a obwołam cię nowym Sherlockiem Holmesem.

- Z tym mam problem, doktorze Watson.

- Z Kołą są same kłopoty - skomentował Antoś. - Posłuchajcie, czego ja się dowiedziałem z kręgów, że tak powiem, mafijnych.

- Słuchamy, słuchamy! - zawołał Fredek.

- Nie sądzisz, że lepiej będzie nam się słuchało, a pewnie i myślało, ze szklaneczką w rękę? Ja mogę bez lodu, jeżeli jeszcze...

- Już się zamroził i rzeczywiście masz rację, niecierpliwy gościu - rzekł uroczyście Fredek. Zapewne dlatego, że ujął w swe ręce, ręce poważnego sekretarza poważnej redakcji, butelkę, nazwijmy ją, wieczoru.

Ładne określenie, prawda, „butelka wieczoru”?

Gospodarz napełnił szklaneczki i każdy z nas, delektując się trunkiem, oddał się właściwej dla niego czynności. Antoś zaczął opowiadać, Fredek słuchać, a ja - też oczywiście nadstawiając uszu - oceniałem jakość whisky. Smakowała bardzo dobrze, bo w Krakowie, takie mam wrażenie, wszystko smakuje mi lepiej.

- Więc na Kolę jest wyrok - oznajmił Antoś.

- Co to znaczy? - zapytałem.

- Kola dostał podobno jakieś pieniądze od mafii. Na biznes, który miał przynieść dwieście albo trzysta procent zysku. Oczywiście do podziału. Kola zwraca pieniądze plus połowę zysku, a reszta, kurdelemele, dla niego.

- I nie udało się?

- Tu już zdania są podzielone. Jeden człowiek, z którym rozmawiałem, twierdzi, że Kola zrobił interes, ale nie chciał oddać pieniędzy i cały zysk schował, kurdelemele, do kieszeni. A drugi mi powiedział, że historia jest dziwna. Że pieniądze właściwie dostała najpierw jakaś panienska Koli. Ale jej nie wychodziło z interesem, więc przekazała forszę naszemu milusińskiemu. Bo on ma łeb i umie pomnażać kapitał.

- Panienska Koli? - zapytał Fredek.

- Właśnie... Pytałem oczywiście człowieka, czy nie wie, co to za panienska. Ale chyba nie wiedział. Powiedział mi tylko tyle, że była ona też w bardzo dobrych stosunkach z bossem, czyli Gangreną. Ostatnio jednak stosunki trochę się ochłodziły. Być może, kurdelemele, ze względu na ten zmarnowany pieniądz.

- Wiesz, ile tego było? - zainteresował się Fredek.

- Coś koło miliona. Ale to tylko przypuszczenie mojego informatora.

- Miliona złotych?

- Nie, chyba zielonych. Oni zawsze mówią, że milion. Zdaje się, że to dla nich, kurdeleme, podstawowa jednostka.

- Ładny grosik - rzekłem bez zazdrości. - Jednak, jak widać, z taką podstawową jednostką pieniężną to tylko kłopoty...

- Myślę, że jakoś bym sobie poradził z podobnymi kłopotami - Fredek uśmiechnął się, jakby już zaczął wydawać większą gotówkę.

- Znów mamy panienkę! Ta Marianna wraca jak bumerang... Gdzie się nie dotknąć.

- Skąd wiesz, że chodzi o Mariannę? - spytał Fredek.

- Przecież pan o trzech nazwiskach może mieć osobną panienkę na każde nazwisko.

- A wiecie, szanowni, co jeszcze powiedział mój tajny agent? Wypytywałem go, kurdeleme, o związek panienki z bossem. Jeżeli taka ustosunkowana, to pewnie jakoś zdobyła tę wysoką pozycję. A wiadomo, jak kobieta może to osiągnąć. Więc pytam, czy wie coś bliższego o tym związku. Więcej w nim romantycznej miłości czy biznesowego wyrachowania? Oczywiście bardzo delikatnie, bo przecież nie będę wchodził w butach w tak intymne, kurdeleme, sprawy. I wiecie, co mi odpowiedział?

Nie wiedzieliśmy, więc obydwaj z Fredkiem zamieniliśmy się w wielkie znaki zapytania.

- Że może tam coś było na początku, jak ta nowa gwiazda pojawiła się w gwiazdozbiorze szefa, ale ostatnio wydało się, że to lesba...

- Co? - wrzasnęliśmy z Fredkiem jednym głosem.

- Nie znacie słowa? - zdziwił się dobrodusznie młody człowiek i potargał ręką swą rozwichrzoną brodę. - Jakby wam tu wytłumaczyć? No to taka panienka, która od szefa mafii wołała jego kochankę numer dwa. Bo z nią podobno zdradziła Gangrenę.

- Może zemściła się na Gangrenie? Za to, że wziął sobie kolejną kochanką.

- To już literaturę tworzysz, szanowny.

„A jakże, Fredku miły i szanowny, a jakże”, pomyślałem sobie. „Toć przecież to wszystko niczym innym jest jak właśnie literaturą. I my, chcemy tego, czy nie chcemy, literackimi bohaterami jesteśmy. Co może i dobrze. Bo przecież w tej historii strzelają i duszą, więc i w któregoś z nas kulka może trafić albo któremuś sznurek na szyi zacisnąć się może za mocno. Więc gdyby coś nam się przytrafiło, to i lepiej, że jesteśmy postaciami z powieści. Na papierze chyba mniej boli. A może nawet wcale nie boli?”.

„Za dużo się dzisiaj wypilo” - przypomniał się mój głos wewnętrzny - „i teraz się bredzi bez większego sensu. Może dosyć już tego whiskey? Powinieneś pomyśleć o łóżku. Jutro też jest dzień i zapewne czeka cię jeszcze sporo zaskakujących wydarzeń”.

„Jeżeli coś wiesz o przyszłości, to powiedz, a jeżeli nie, to pozwól mi delektować się chwilą”.

„Delektujesz się nie chwilą, ale tym szkockim trunkiem”.

„Czy to nie jedno i to samo? Ta chwila ma po prostu smak szkockiej whisky. A teraz wyłącz się, z łaski swojej, bo muszę śledzić relację Antosia. Mówi ciekawe rzeczy”.

Antoś opowiadał właśnie o wyroku, który wydała mafia na Kołę. Nie zwrócił on forsy, a Gangrena ma w kwestiach pieniężnych nienaruszalne zasady. Albo oddajesz gotówkę z ustalonym procentem, albo płacisz własnym życiem. Rozpoczęło się więc polowanie na sponsora Marianny. Jak dotąd, udawało mu się uciec przed nagonką. Najpierw, o czym wiedzieliśmy z rozmowy z hurtownikiem, pomógł cwaniakowi przypadek. Zderzenie jego pijanego kumpla z tramwajem wzięto za wypadek Koli i uznano, że pojazd szynowy wykonał robotę zleconą myśliwym z mafii. Ale przed kilkoma dniami lis niefrasobliwie pojawił się z powrotem w Krakowie.

I polowanie rozpoczęło się ponownie. Czego zresztą byliśmy we trzech świadkami. Być może, spekulował Antoś, trup, którego ja miałem nieprzyjemność oglądać, to również fragment tej samej układanki z facetem od Marianny w roli ściganej zwierzyny. Może ten trup to kolejny wysłany przez mafię myśliwy, którego Kola uśmiercił, tak jak wcześniej kierowcę kabrioletu bmw.

- To jest możliwe - powiedział Fredek. - Bo ja też dowiedziałem się tego i owego o naszym lisie. I to ze sfer przeciwnych niż te, w których buszował Antoś.

- Panowie, jesteście wyjątkowo ustosunkowani - oznajmiłem z podziwem. - Znajomości w mafii i antymafii...

- Nie żartuj sobie, szanowny, sam wiesz, że bez tego niczego nie uda się napisać do gazety. Oni nas nieraz wykorzystują do swoich gier, podsuwają informacje, które chcą upublicznic w jakimś swoim celu, ale z drugiej strony często mogą pomóc w dziennikarskim śledztwie. A my, dziennikarze? Robimy to samo. Liczymy, że na przykład podsunęta policji informacja wywoła ruch w interesie i pozwoli na jego podstawie czegoś się domyślić.

- Dobrze gadasz, Fredku - pochwaliłem kolegę i wypilem spory łyk ze szklaneczki. - A teraz powiedz wreszcie, czego się dowiedział?

- Mikołaj Adajewicz to rzeczywiście prawdziwy lis. Tak się go ocenia w sferach pilnujących porządku w naszej ojczyźnie, nękaną rozpanoszoną przestępczością. Podejrzewają go o rozmaite niecne rzeczy, ale nikt nigdy go za rękę nie złapał.

- Coś marnie pracują te sfery...

- Masz trochę racji, ale niezupełnie. Policja też dała się nabrać na tramwajowy wypadek i skreśliła Kołę z listy osób uważnie obserwowanych...

- Sam widzisz.

- No wiesz, policji wystarczył dokument znaleziony przy denacie. W dokumencie stało, że to Kola, więc uznali, że to Kola. Ale wystarczyło to takiej zwykłej

policji, która zajmuje się wypadkami drogowymi i prostymi przestępstwami kryminalnymi. Lepsi specje sprawdzili rzecz dokładniej i wcześniej niż mafia wiedzieli, że ofiara tramwaju to ktoś inny. Ale, jak mi dano do zrozumienia, stwierdzili, że nie muszą się dzielić swoim odkryciem z całym światem. Czyli zachowali je dla siebie. Wręcz wyciszyli wypadek. Dlatego nic nie było o nim w mojej gazecie. Taka zaplanowana cisza wokół Koli to, moim zdaniem, ważna informacja również dla nas. A druga ważna informacja...

Fredek zamilkł, jakby stracił wątek. Może za dużo już wypił?

- Co to ja chciałem, szanowni? Wiem, wiem, druga ważna dla nas informacja to... domyślacie się może?

Teraz my zamilkliśmy.

„Czyżbyście za dużo wypili?” - nie mógł przepuścić takiej okazji mój złośliwy głos wewnętrzny.

„Głupie pytanie” - odrzekłem - „nie zasługuje na odpowiedź”.

- Więc druga ważna informacja to oczywiście to, że te wyższe sfery policyjne, a więc zapewne Centralne Biuro Śledcze, interesują się Kola. I to na tyle poważnie, że kiedy pojawia się rzekomy trup Mikołaja Adajewicza, rzecz dokładnie sprawdzają.

- Ty masz łeb - rzekłem z podziwem, patrząc na łusą pałę mego krakowskiego przyjaciela.

- Gdy to sobie uświadomiłem - mówił dalej Fredek, jakby nie zauważył mej szczerzej pochwały - zacząłem głębiej drażyć temat. I wiecie, do czego doszedłem?

Oczywiście nie wiedzieliśmy.

- Kola jest od dawna na celowniku. To pół Polak, pół Rosjanin. Urodził się w Związku Radzieckim, ale jedno z jego rodziców, choć nie wiem które, pochodziło z Polski. On sam mieszka w naszym pięknym kraju od dawna. Niektórzy podejrzewają, że kiedyś był sowieckim agentem. Ale to były czasy przyjaźni z Wielkim Bratem,

więc wtedy jego zajęcie uchodziło bardziej za zaletę niż wadę. Przynajmniej w ówczesnych sferach policyjnych, czy raczej milicyjnych. A tylko w nich byli ludzie, którzy domyślali się, kim jest Mikołaj Adajewicz albo cokolwiek o tym wiedzieli.

- A jak jest teraz? Czy nasz lisek chytrusek nie otrzymuje zleceń z Łubianki albo innego centrum dowodzenia w Moskwie?

- Tego oczywiście nikt mi nie powie, nawet jeżeli posiada, jak to mawiają policjanci, wiedzę operacyjną.

- Łatwość, z jaką się Kola wymyka mafii, trzebiąc mimochodem szeregi myśliwych, wskazuje na to, że zachował sprawność dobrego agenta - powiedziałem.

- Chyba że ma szczęście - zauważył Fredek. - Tak jak w przypadku tramwajowego wypadku.

- Jego kumpel za to nie miał szczęścia... Zastanawiam się, czy ten wypadek to na pewno wypadek? Może Kola to zaaranżował? Wokół niego trupy padają jak w filmie, którego fragment dopiero co widzieliśmy.

- Tego się pewnie nigdy nie dowiemy. Kola podtrzyma wersję, którą przedstawił hurtownikowi...

- Nie było świadków wypadku?

- Podobno policja ich poszukiwała... Ale nikogo nie znaleziono. Zaś motorniczy tramwaju twierdził, że człowiek wprost wszedł mu pod koła. Gdy potem okazało się, że miał we krwi prawie dwa promile alkoholu, policja z pełnym przekonaniem przyjęła wersję o wypadku.

- Wiecie, o czym myślę, szanowni? - odezwał się przytomnym głosem Antoś.

Oczywiście nie wiedzieliśmy. Brodacz zaszył się jakiś czas temu w kącie i mogło się wydawać, że powoli obojętnieją mu sprawy śledztwa.

- Otóż myślę o bombie. Po co ta bomba w mieszkaniu Marianny?

- Jeżeli to Marianna jest panienką, która namówiła Gangrenę do polowania na Kole...

- Straszanie Marianny teraz nie ma sensu. Chyba że jest ona nadal tak wpływowa, że mogłaby skłonić Gangrenę do odwołania myśliwych...

- Dajcie spokój, szanowni, Mariannie - ujął się za dziewczyną-dzieckiem Fredek. - Ona, jestem o tym głęboko przekonany, nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Była płatną kochanką Koli i to wszystko.

Siedzieliśmy nad swoimi szklaneczkami z resztkami whisky, krakowska noc próbowała jakoś przetrwać do świtu, i wiedzieliśmy, że zbyt dużo nie wiemy. Na odkryciu, iż wiem, że nic nie wiem, można zbudować system filozoficzny. Ale niestety nie uda się na nim oprzeć artykułu do gazety. Więc nie było nam do śmiechu.

- Doświadczenia Koli i jego byłe, a może również aktualne stosunki z rosyjskimi służbami specjalnymi na pewno pomagają mu w interesach - zacząłem głośno rozmyślać. - Gdybyśmy pogrzebali w tych interesach, może byśmy na coś natrafili? Jak sądzicie?

- Może, ale to jest robota na wiele dni. A przecież, Konrad, chcesz wracać do Warszawy, ja mogę zajmować się sprawą tylko z doskoku...

- Zostaję zatem ja na placu boju - oświadczył Antoś.

- Tak, szanowny. Ale nam w gazecie musi chodzić o efekty. Nie możemy zapełnić łamów obietnicą, że za kilka tygodni opublikujemy sensacyjny artykuł. Bo za kilka tygodni już nas może nie być na rynku - powiedział Fredek, właściciel jednego i ćwierć procenta gazety.

- To co mamy robić? Opuścić? - zapytałem.

- Jest jeszcze jeden słabiutki trop. Otóż ktoś mi wspomniał o powiązaniach Koli z czeczeńską mafią. Podobno wśród uchodźców z Czeczenii, a trochę ich przyleżeliśmy w Krakowie, przemycili się, jeżeli tak rzecz można, ludzie z tamtejszej mafii. I powoli się tutaj organizują. Kola wszedł z nimi w jakieś stosunki. To nic pewnego,



ale gdyby... Mógłby być ciekawy materiał na artykuł - Fredek nie zapominał o gazecie.

- Ja znam kilku Czeczenów, którzy schronili się w Krakowie. Mam też przyjaciół, którzy im pomagają - powiedział Antoś.

- Nasz Antoś szanowny jest bardzo skromny - oświadczył Fredek. - Sam pomaga czeczeńskim uchodźcom.

- Widzę tu pole do działania. Może moi przyjaciele coś wiedzą. Popytam. Ale widzę też niebezpieczne skutki opublikowania artykułu o czeczeńskiej mafii, o ile oczywiście okaże się, że takowa u nas działa. - Antoś zamyślił się. - Strach przed mafią może zamienić się u czytelników w niechęć do Czeczenów w ogóle. Mafii trudno cokolwiek zrobić, a uchodźców skrzywdzić łatwo. Zaś ci ludzie i tak już zostali mocno skrzywdzeni przez los.

- Ty dobry człowiek, Antoś - rzekł Fredek, wysączając ostatnie krople ze szklaneczki - ale nie martw się na zapas. Zbadaj sprawę, a jak do czego dojdiesz, pomyślimy, jak o niej pisać. Żeby komu trzeba - pomóc, a komu trzeba -zaszkodzić. Ot i wszystko. Nie możemy dzielić włosa na czworo, gdy skalp jeszcze na głowie wroga.

## 12

Mężczyzna wyglądał na kłoszarda. Szedł za mną od kilku, a może nawet kilkunastu minut. Zachowywał stały dystans: gdy ja zwalniałem i on zwalniał, gdy przyśpieszałem; wydłużając kroki, on robił to samo. Więc w końcu odwróciłem się i podeszedłem szybko do niego. Chyba go zaskoczyłem - nie zdążył czmychnąć, choć wyraźnie zdradzał na to ochotę.

- Dlaczego pan idzie za mną? - zapytałem.

Z bliska robił dość dobre wrażenie. Jego stary, bardzo długi płaszcz miał co prawda ubłocony dół, a wielki czarny kapelusz, spod którego wymykały się kosmyki długich włosów, lśnił od wilgoci, ale tak mógł wyglądać każdy po dłuższym spacerze w jesiennej mżawce. Sam wpadłem niedawno do kałuży, kiedy wkraczałem na Planty, i zapewne nogawki moich spodni nie prezentowały się lepiej niż poły jego płaszcza. Zresztą właśnie wtedy gdy zatrzymałem się na chwilę, aby strząsnąć brudną wodę z butów i spodni, spostrzegłem mężczyznę. Być może jednak szedł za mną już wcześniej, tylko nie zwróciłem na to uwagi.

Milczał, więc ponowiłem pytanie:

- Śledzi mnie pan?

- Nie... chciałem pana o coś zapytać.

Gdy się odezwał, wydał mi się człowiekiem kulturalnym i delikatnym.

- Proszę, niech pan pyta.

- Wybacz mi pan?

- Jeszcze nie wiem, o co chce mnie pan zapytać.

- A może mógłbym zaprosić pana na małą czarną albo kieliszek koniaku? Kilka kroków stąd jest maleńka, ale bardzo przyjemna kawiarenka.

Zaskoczył mnie zupełnie. W pierwszej chwili wziąłem mężczyznę za kłoszarda. Potem, gdy zobaczyłem go z bliska, nie byłem już tego pewien, ale nadal sądziłem, że chce mnie poprosić o datek. To częsta taktyka żebraków z fantazją: zagadują, nawiązują kontakt i potem, gdy wreszcie przechodzą do istoty sprawy, o wiele trudniej im odmówić.

- Nie rozumiem... Dlaczego chce mnie pan zaprosić?

- Bo chciałbym z panem porozmawiać.

Zamilkł na chwilę, a potem wyznał:

- O Agnieszce. Agnieszce Trochełko.

Zamienić się w słup soli to dobre określenie, którego powinienem użyć dla opisanego tego, co się ze mną w tej chwili stało. Ale za chwilę zaskoczył mnie jeszcze bardziej.

- Jej grozi poważne niebezpieczeństwo.

Popatrzyłem mu w oczy. Nie ujrzałem w nich oznak szaleństwa. Miał bystre spojrzenie inteligentnego, choć może trochę znękanego życiem człowieka.

- Dobrze - zdecydowałem nagle - chodźmy do tej kawiarenki.

Zmierzaliśmy na spotkanie z Marianną. Wystarczył jeden dzień, w czasie którego jej nie widziałem, i poczułem się wolny. Już nie opłatały mnie gałązki dziewczyny-powojny. Mogłem więc spokojnie porozmawiać z nią przed wyjazdem z Krakowa. Aby nie sprawiać kłopotu siostrze Fredka, która gościła dziewczynę, postanowili-

śmy umówić się na mieście. Miałem po prostu zadzwonić z komórki, gdy znajdę się pod właściwym domem, a Marianna wraz z psem o nieznanym mi jeszcze aktualnym imieniu wyjdzie i gdzieś sobie pójdziemy.

„Pogadam z mężczyzną kwadrans i udam się w swoją drogę”, pomyślałem sobie. „Marianna chwilę dłużej poczeka”.

Chociaż kawiarenka była samoobsługowa, pani z bufetu przybiegła, gdy tylko usiedliśmy.

- Napije się pan courvoisiera? - zapytał. Zaskoczył mnie po raz kolejny. Kłoszardzi piją raczej inne trunki.

Są pytania, na które odpowiada się zawsze pozytywnie. Na przykład: „Czy jest pan człowiekiem inteligentnym?”. To należało bez wątpienia do tej kategorii. Ale mężczyzna zaczął mieć wątpliwości:

- A może jest jeszcze za wcześnie na koniak?

- Na courvoisiera jest zawsze właściwa pora.

Gdy kelnerka odeszła, aby zrealizować zamówienie, przyjrzałem się tajemniczemu osobnikowi. Pod płaszczem, który rzucił niedbale na sąsiednie krzesło, miał elegancką marynarkę. Krój co prawda sprzed kilku lat. Ale za to muszka i chusteczka w kieszonce. Na oko trzydzieści kilka lat. Trzy, cztery lata młodszy ode mnie.

Gdy zauważył, że mu się przyglądam, przedstawił się. August... i tu padło jedno z historycznych polskich nazwisk. Arystokracja z wielowiekowym rodowodem i chyba książęcym tytułem.

Przedstawiłem się i ja.

- Wiem, panie Konradzie.

„Więc słucham, mój książę”, nasuwało mi się. Ale powiedziałem:

- Słucham pana.

- Pan poznał Agnieszkę niedawno, a ja znam ją od wielu lat. Jest moją bardzo odległą kuzynką. Pamiętam ją z czasów, gdy miała piętnaście, szesnaście lat... Już

wówczas była piękną dziewczyną.

- Tak?

- Taka niezwykła uroda częściej szkodzi, niż pomaga dziewczynie...

Nic nie powiedziałem, zgadzałem się jednak z tą opinią.

- Ułatwia życie, oferuje różne możliwości. Dziewczyna ma piętnaście lat, a już chcą ją fotografować, znane czasopismo drukuje potem te zdjęcia. Świat wydaje się otwarty. I jakże kusi.... „A może chcesz być modelką w Rzymie?”. „Czy ma pani głos? Bo szukamy nowych talentów do popularnego programu telewizyjnego”. Pojawia się znany reżyser filmowy i zaprasza na próbne zdjęcia. Stale już kręci się wokół niej kilku agentów. Najwyższy czas, żeby przygotować w profesjonalny sposób portfolio, któryś radzi. Ktoś chce sponzorować jej studia w szkole dla modelek w Nowym Jorku. Jedna, druga okładka, kolejny występ w telewizji. No a potem konkurs na Miss. Zwycięstwa. Najpierw lokalne, w Krakowie, potem ogólnopolskie. Euforia, szaleństwo, podróże, wywiady, sesje zdjęciowe. Jest zmęczona, ale bardzo szczęśliwa. Młodość pozwala tak żyć: pięć godzin snu, tempo, adrenalina.

Słuchałem księcia Augusta z zainteresowaniem. Umiał mówić.

- Ale też brak radości typowych dla dziewczyny w tym wieku. Chłopcy boją się wielkiej urody, trzymają się na dystans. Zresztą ona już jako nastolatka obraca się w wielkim świecie. Dziewczyna nie zna więc smaku pieszyczych pocałunków na ławce w parku, nie przeżywa huśtawki nastrojów związanych z miłością do chłopaka z klasy albo kamienicy. Nikt nie ofiarowuje jej skromnego bukietu fiołków. A to są rzeczy, które wspomina się potem przez całe życie. Są tak potrzebne jak album zdjęć z dzieciństwa. Żeby wiedzieć, kim się jest, skąd się wyszło. Żeby mieć małą intymny świat, w którym można się schować w trudnych chwilach. - Pan August

zamyślił się. - Wraz z tytułem Miss Polski pojawiają się starsi panowie, doświadczeni, szarmanccy. No i bardzo bogaci. Dla nich piękna dziewczyna to kolejna rzecz do zdobycia czy raczej kupienia; po mercedesie, willi, domu na francuskiej Riwierze. Kolejne potwierdzenie życiowego powodzenia, osiągniętego statusu materialnego. Są oczywiście gotowi kochać ją tak samo, jak kochają klacz kupioną za sto tysięcy dolarów. Może nawet trochę bardziej. Obsypią ją drogą biżuterią, kupią najwspanialsze kiecki. I oczywiście pochwalą się nią przed równie bogatymi przyjaciółmi.

Czas płynął, a ja słuchałem księcia (przy drugim już kieliszku koniaku).

- Już wtedy, jakby podświadomie, Agnieszka nabiera pewnego zwyczaj. Mianowicie chowa swą urodę. W lecie wkłada wielkie okulary słoneczne zasłaniające pół twarzy. W zimie czapczkę, która niemal dochodzi do oczu, a z drugiej strony szal, skrywający usta i prawie pół nosa. I tylko widać jej błyszczące oczy, zachłanne, głodne wrażeń. Bo wciąż chce doznawać, przeżywać. Ona strasznie lubi istnieć, żyć.

Też zauważyłem, że Agnieszka niechętnie dzieli się ze światem swą urodą. Dlaczego? Oczywiście, pierwsza odpowiedź była najprostsza. Dziewczyna nie chce być rozpoznawana na każdym kroku. Nie lubi powszechnego wgapienia się w nią; przede wszystkim mężczyzn, ale kobiet również. Miałem inną jeszcze teorię, którą przedstawiłem teraz księciu.

- Agnieszka jest tak nieprawdopodobnie piękna, że trudno uwierzyć w jej istnienie. Jak może bowiem istnieć naprawdę tak cudowna istota? I ona chyba wie o tym. Więc, żeby uprawdopodobnić swoje istnienie, ukrywa urodę. „To ja, Agnieszka, to jestem ja - ona chce nam powiedzieć - a nie ta piękna figura czy ta piękna twarz. Nie traktujcie mnie jak dzieła sztuki, bo ja jestem żywa”.

- Mówi pan to samo co ja, tylko innymi słowami - uśmiechnął się książę August. - Czy pan też się w niej zakochał?

To było proste pytanie, zadane w zwykły sposób. Jakby książę pytał, czy chce wypić jeszcze jedną lampkę znakomitego trunku. Ale jakoś mnie zmroziło, zahamowało. Przez wiele lat byłem człowiekiem nieśmiałym. Potem zawód dziennikarza prawie mnie wyleczył z tej wady okresu dzieciństwa i młodości. A teraz poczułem się znów jak ten nieśmiały chłopiec, który ukrywał się stale we mnie.

- Wie pan - dopiero po chwili powtórzyłem to, co mówiłem niejednokrotnie mojemu wewnętrznemu głosowi - nie potrafię chyba zakochać się jesienią. Bo ja jestem człowiekiem lata. Najlepiej gorącego i słonecznego.

- Znakomite - roześmiał się książę. - Ale, ale, pan nie ma już koniaku. Czy wypijemy jeszcze po kieliszczku?

- Tak, ale teraz ja stawiam.

- Nie, to niemożliwe panie Konradzie, ja pana zaprosiłem - oświadczył bardzo poważnie. Chwilę milczał - Mówiłem o Agnieszce - przypomniał, jakbym mógł o tym zapomnieć. - Została więc Miss Polski. To był szalony rok, jednak szybko minął. Jeszcze trwała w stanie euforii. A tu nagle zaczęło się robić ciszej. Nie bardzo wiem, dlaczego. Ona też nie wiedziała, ale już to czuła. Bo przecież nadal jest tak samo piękna, zresztą do dzisiaj - sam pan przecież widział. Może nie umiała się zdecydować na jedną drogę? Wszystkie możliwości wydawały się jej równie pociągające, więc nie wybierała na dobre żadnej? Trochę zaczęła się miotać. Ma wciąż wielu ustosunkowanych i bogatych przyjaciół, którzy chętnie jej pomagają. Prowadzi nadal światowe życie, podróżuje, zapraszają ją na każdy liczący się bankiet, premierę, wernisaż. Jest obecna. Ale zaczyna się mówić, że sama nie wie, czego chce. I jeszcze gorzej: że jej udział w jakimkolwiek przedsięwzięciu gwarantuje niepowodzenie. Staje się symbolem porażki.

Spojrzałem na księcia. Jednak było w nim coś szalonego. Mówił z niespotykaną dziś pasją. A może po prostu on był krakowski, a ja zanadto warszawski? W nim kipiała jego błękitna krew, odzywała się namiętność, echo dekadentckiego Przybyszewskiego. A ja? Ja byłem jak spokojny Bolesław Prus. Przy tym ta moja jesienna flegma...

- Jeszcze kilka lat temu powiedzieć w tym mieście złe słowo o Agnieszce, naszej Miss, to była rzecz nie do przyjęcia. To byłaby straszna gafa. Teraz wielu głośno narzeka. Jednemu z najpoważniejszych krakowskich biznesmenów coś obiecała i podobno nie dotrzymała. Wybaczył jej tak, jak wybacza się cudownej kobiecie, przeboleł nawet stratę, ale nie chciał już zainwestować w kolejny interes. Co gorsza, zaczął ostrzegać innych. Ostatnio zaś jest tragicznie. Ktoś widział ją na bankiecie wydanym przez mafię. Rozchodzi się plotka, że jest w bliskich stosunkach z jednym z bossów.

Olśniło mnie. Być może ten człowiek oszalał z miłości. Ale to, co mówił, pasowało do znanych mi faktów. Nawet więcej. Pozwalało ułożyć całą łąmigłówkę. To nie Marianna, ale Agnieszka była kochanką Gangreny. I ona miała jakieś nieuregulowane, niejasne sprawy finansowe z mafią oraz z Kołą. Te kobiety się przecież od dawna znają. To jest jeden krąg towarzyski. Marianna i Agnieszka to takie elementy tej historii, które można wzajemnie zastępować. Tam, gdzie chciałem widzieć dziewczynę-dziecko, łatwo umieścić piękną panią Miss. Wzrok mnie więc nie omylił wczorajszego wieczoru na schodach krakowskiej kamienicy: zobaczyłem Kołę, czyli właściciela trzech nazwisk, sponsora Marianny i człowieka, któremu pani Miss przekazała mafijne pieniądze, aby je pomnożył. Aż tyle w jednej osobie, łączącej jak widać różne wątki. Wszystko zrobiło się nagle jasne, z wyjątkiem może trupa w dżinsowym ubranku.

- Plotka? Pan na pewno zna prawdę.



- Niestety, jest niedobrze. Ona rzeczywiście uległa złym wpływom.

- Ale o jakim niebezpieczeństwie mówił pan na początku naszej rozmowy?

- Agnieszka zmarnowała duże mafijne pieniądze. Ludzie mafii w takich przypadkach są bezwzględni.

- A czy słyszał pan coś o szantażu? Agnieszka wspomniała mi, że ktoś ją szantażuje. Że za wszelką cenę musi odzyskać dokumenty, które szantażysta zamierza wykorzystać przeciw niej.

- Sam pan widzi, ona ma coraz więcej kłopotów. Ją trzeba ratować!

- Łatwo powiedzieć „ratować”, ale jak?

- Niech pan ją namówi na wyjazd. Za granicę. Mam ustosunkowanych krewnych w wielu miastach europejskich. Gdyby chciała studiować, załatwią jej stypendium, pomogą w urzędzeniu się. Stąd powinna szybko uciekać. - I po pauzie dodał: - Póki nie będzie za późno.

- Sądzi pan, że mnie posłucha? Przecież pan zna ją znacznie dłużej...

- Agnieszka nie chce ze mną rozmawiać. Śmieje się tylko. Może dlatego że wie, jak bardzo ją kocham? To pan jest właściwym człowiekiem do takiej rozmowy.

Milczeliśmy chwilę i księżę powtórzył:

- Ją trzeba ratować. Ona musi zerwać z życiem, które prowadzi. Musi się odnaleźć. Kiedyś chciała studiować architekturę... Może wybierać, między Paryżem, Rzymem i Londynem. Niech pan delikatnie wspomni jej o tej propozycji. Broń Boże, niech pan nie akcentuje mojego udziału. Proszę przedstawić to jako pana pomysł, który narodził się w czasie naszej rozmowy. Tak będzie najładniej.

Rozmowa z księciem Augustem zabrała mi ponad godzinę. Wymieniliśmy numery telefonów, obiecałem

poinformować go o efektach rozmowy z jaśnie panią Miss. Byłaby z nich piękna para, stwierdziłaby zapewne moja ciocia Adelajda. Jaśniepan i jaśniepani. Arystokrata niedbający o ubiór i dziewczyna, która wygląda zawsze tak, jakby właśnie zesza z wybiegu dla modelek. Dobrze rymowałoby się jego szaleństwo z jej sprytem. A może na odwrót? Szaleństwo Agnieszki, rzucającej się na niebezpieczne wody rozmaitych biznesów, choć nie potrafi w nich pływać, z jego rozsądkiem i wyczuciem niebezpieczeństwa?

## 13

Kraków to takie miasto, w którym jeżeli znasz tylko pięć osób, to trzy z nich spotkasz podczas pierwszego spaceru przez Rynek, a dwie kolejne zaraz potem na Plantach.

Szedłem bardzo szybko, żeby wreszcie zobaczyć się z Marianną, więc prawie wpadłem na chłopaka od win. Tak, tego eleganckiego młodzieńca, który z zapalem namawiał mnie na kupno stu albo nawet więcej butelek beaujolais. Chłopak spacerował Plantami, z wzrokiem utkwionym w prawie bezlistne krzaki.

- Dzień dobry - przywitał mnie. I wyjaśnił: - Szukam psa.

„O!”, pomyślałem. „Czyżby przynajmniej jedna sprawa w tej historii miała znaleźć swój szczęśliwy finał? I to dzięki mojemu pośrednictwu?!”.

- Niech mi pan coś o nim powie. Kiedy zginął? Jak wygląda?

- Krab zniknął mi z oczu...

- Jak pan powiedział? Krab?

- To z Szekspira - wyjaśnił z lekkim zażenowaniem, jakby się wstydził, że nie nazwał psa jakimś popularnym imieniem, w rodzaju Burka albo Azorka. - Tak

miał na imię pies w Dwóch panach z Werony.

- Bardzo ładne i oryginalne imię... Więc kiedy zginął?

- To było już dość dawno. Była wtedy gęsta mgła. Krab wszedł w jakieś krzaki i tyle go widziałem. Nie przybiegł z powrotem, choć wołałem go i gwizdałem. Szukałem go przez wiele dni. Podzieliłem sobie okolicę na kilkanaście kwadratów i przeczesywałem je dokładnie. Ale ja dużo czasu spędzam w sklepie, więc nie zawsze mogłem. Dziś, w sobotę, mam wolne przedpołudnie, bo pracujemy dłużej wieczorem.

- A jak Krab wygląda.

- To kundel. Nie jest nadzwyczajnej urody, ale jest bardzo mądry.

- Jak to kundle - podzieliłem się moją niewielką wiedzą na temat psów.

- Wie pan - chłopak rozgadał się - chyba dziś go wreszcie odnajdę.

- Tak? - mogłem pozwolić sobie na podtrzymanie rozmowy, bo szliśmy we właściwym kierunku. A przecież chciałem również doprowadzić chłopaka do psa. O ile oczywiście Wacław czy też Aleks był w istocie Krabem. Kraków jest dużym miastem i na pewno ginie w nim sporo psów.

- Przeczytałem w Internecie o doskonałej metodzie... pomaga na wszystko. Nazywa się „Działanie przez psy”. Najpierw trzeba uświadomić sobie problem. I zastanowić się, w jaki sposób można go rozwiązać. Potem dokonać wizualizacji najlepszego rozwiązania. To znaczy tego, co chciałby pan osiągnąć. Na przykład jest pan chory i chce pan pokonać chorobę. Musi więc pan sobie wyobrazić, że odzyskał pan zdrowie, świetnie się czuje i tak dalej. Wie pan, co mam na myśli?

- Tak, tak, ja też przecież żyję w tej samej epoce. Wiem, jakie znaczenie ma pozytywne myślenie.

- Właśnie. Potem trzeba powiedzieć sobie, ile dałoby się pieniędzy za załatwienie tego problemu. Uczciwie.

- I pan wie, ile dałby za odnalezienie Kraba?

- Obiecałem sobie, że jeżeli go odnajdę, to nie kupię roweru górskiego.

- Ho ho ho, chyba pan się mocno do niego przywiązał.

- Krab był naprawdę wspaniały.

- Był? Na pewno go pan odnajdzie.

- Tak, pan też w to wierzy? Bo wie pan, ja zrobiłem wszystko, co trzeba, żeby „działać przez psy”. To znaczy te pieniądze, które odłożyłem sobie na rower, wpłaciłem na konto schroniska dla psów, które tam było podane.

- Na tym polega „działanie przez psy”?

- Tak. Chyba w przypadku poszukiwania psa powinno to być wyjątkowo skuteczne.

- Też tak sądzę.

- I wie pan, mam dzisiaj wrażenie, że coś mnie prowadzi we właściwym kierunku.

- No i spotkał pan mnie.

- Nie rozumiem.

- Bo to mnie psy zleciły zadanie doprowadzenia pana do Kraba.

Chłopak spojrział na mnie jak na człowieka niespełna rozumu, ale nic nie powiedział. To był naprawdę bardzo uprzejmy młodzieniec.

- Teraz muszę tu skrócić - powiedział. Chyba jednak chciał się ode mnie uwolnić.

- O ile znam Kraków, musi pan skrócić, ale nie w prawo, tylko w lewo.

Patrzył na mnie coraz bardziej podejrzliwie.

- Proszę pójść jeszcze kawałek ze mną. Wydaje mi się, że wkrótce odnajdzie pan Kraba.

A może pomyliłem kierunki? Czy nie trzeba było jednak skrócić w prawo? Przed wyjściem z tak zwanej garsoniery Fredka obejrzałem sobie plan Krakowa i postarałem się zapamiętać drogę do mieszkania, w któ-

rym zatrzymała się Marianna. Czy jednak czegoś nie pokręciłem z tym skęcaniem?

- W każdej chwili możemy zawrócić - dodałem. - Ale chodźmy jeszcze w tę stronę.

- Dobrze - powiedział chłopak.

Widać było, że się waha. Z jednej strony wydawałem mu się przynajmniej lekko stuknięty, ale z drugiej - ponieważ i tak już wkroczył na magiczną ścieżkę - prawie gotów był uwierzyć, że zostałem przysłany przez jakieś nadzwyczajne siły.

- Muszę tylko zadzwonić - poinformowałem.

Wykonałem szybki telefon do Marianny. Nie była nawet specjalnie zła z powodu mojego spóźnienia. Zdaje się, że w związku z Kola nauczyła się cierpliwie czekać na mężczyznę. Jest gotowa, oznajmiła, i w tej chwili wychodzi z domu. Oczywiście z psem.

- Jeszcze moment, minuta, najwyżej dwie - rzekłem do chłopaka.

Skręciliśmy za róg i ujrzałem przedziwne zjawisko. Waclaw, czyli Aleks, czyli ostatecznie Krab (bo teraz to już było jasne) biegł w naszą stronę. Wydawał trudne do opisanego odgłosy, ni to skowyt, ni to pisk. A za nim, uwieszona na długiej smyczy, biegła Marianna. Właściwie prawie frunęła w powietrzu. Jakby mały kundelek ciągnął jak latawca pulchną i dość sporą dziewczynę.

Przez kilka następnych minut panował dziki harmider. Piesek z radością rzucał się na chłopaka, na mnie, a potem powracał do Marianny. I znów zaczynał od początku serię powitań, nie mogąc nacieszyć się naszą obecnością. Obskakiwał nie tylko swojego właściciela, ale również obecną opiekunkę. Wreszcie także mnie obdzielał porcją czułości, być może w zastępstwie tych psów ze schroniska, które, jak powiedziałem chłopakowi, zlecieli mi zadanie doprowadzenia go do Kraba.

W tym ogólnym zamieszaniu dopiero teraz zwróciłem uwagę, że coś działo się między chłopakiem a Marianną. Patrzyli sobie w oczy i cicho rozmawiali. On przekrzywił głowę, ona zaraz uczyniła to samo. Marianna popatrzyła, co robi Krab, i natychmiast wzrok chłopca skierował się w stronę psa. A kiedy ona się uśmiechnęła, jemu także zaświeciły się radością oczy.

Czytałem gdzieś, a może słyszałem, jak łatwo rozpoznać, czy z dwojga ludzi, którzy spotkali się po raz pierwszy, będzie para. Otóż jeżeli w ich zachowaniach pojawia się taka symetria, jak w przypadku Jakuba (właśnie przedstawił się Mariannie) i dziewczynki-dziecka, dobrze to wróży. A był przecież jeszcze Krab, którego oboje bardzo lubili. Zaś „działanie przez psy”, o czym mogłem się dzisiaj przekonać, jest naprawdę bardzo skuteczne.

Zostawiłem młodych sobie. No i psu, już teraz chyba z właściwym imieniem ściągniętym od Szekspira. Powiedzialem Mariannie, że do niej zatelefonuję. A ona nie zdziwiła się wcale, że znikam, choć przecież umawiałem się na rozmowę. Może myślała, że moim celem było tylko przyprowadzenie właściciela psa? Że nie wspominałem przez telefon o Jakubie, bo chciałem zrobić jej niespodziankę? Nie wiedziała przecież, że spotkałem chłopaka przed kilkunastoma minutami.

Miałem ze sobą moją niewielką torbę, mogłem więc pójść prosto na dworzec i odjechać najbliższym pociągiem do Warszawy. Będę przechodził przez Rynek, to kupię bilet w Orbisie. Tak jest wygodniej.

Obiecałem księciu przeprowadzić rozmowę z Agnieszką. To prawda. Jednak do rozmowy potrzebne są co najmniej dwie osoby. Zaś telefony Agnieszki, również ten używany w sytuacjach awaryjnych, milczały. Oczywiście nagrałem się w poczcie głosowej. Zażądałem od pani Miss odezwania się pod rygorem utraty

mej przyjaźni. Czy był to wystarczający argument?

Zadzwoiła w momencie, gdy chowałem resztę z pieniędzy, którymi zapłaciłem za bilet do Warszawy. Gdy jej to powiedziałem, roześmiała się.

- Jestem tuż obok, to cię odprowadzę na dworzec. Pamiętasz, jak odprowadzałeś mnie na Centralny w Warszawie?

„Jakże mógłbym zapomnieć, Agnieszko!”, pomyślałem sobie. Ale powiedziałem co innego:

- Nie bardzo. Kiedy to było?

Śmiała się. Musiała być w znakomitym nastroju.

- Ale w ogóle mnie jeszcze pamiętasz?

- Nie jestem pewien... Zdaje się, masz na imię Agnieszka. Taka wysoka, dość ładna dziewczyna... Czy tak?

Zjawiała się dosłownie po chwili.

- Nie rozmawiajmy o wczorajszych wydarzeniach - poprosiła na wstępie. - Nie chcę sobie psuć humoru.

- A możemy porozmawiać o twojej przyszłości? - zapytałem.

Zdziwiła się.

- O mojej przyszłości?

- Tak. Co teraz zamierzasz robić? Nie pytam się, kim chcesz zostać, bo chyba jesteś już za dużą dziewczynką na takie pytania.

- Chciałabym być krhawcową - roześmiała się, a jej „r”, teraz wyjątkowo rozedrgane, sprawiało, że krew krążyła we mnie szybciej. - Bo ja, na pewno zauważyłem, lubię strhoje. Jestem strhojnisia.

- Podobno chciałaś studiować architekturę...

- Skąd wiesz? Chyba nigdy nie mówiłam o tym w żadnym wywiadzie.

- Ktoś mi powiedział.

- No, no, pan Konrhad przeprowadził śledztwo na mój temat. Znany dziennikarz śledczy na trhopic niedoszłej krhawcowej...



- Agnieszko, odpowiedz poważnie - poprosiłem. - Gdyby ktoś chciał ci pomóc... Mogłabyś wyjechać i rozpocząć studia na architekturze, na przykład w Londynie albo Paryżu...

- Hej, hej, rozwiązałam zagadkę: to robota Augusta, prawda?

- Jesteś w wielkim niebezpieczeństwie, powinnaś - jak to się mówi - dać nogę - próbowałem lekkiego tonu, aby zanadto nie dramatyzować.

- Gdy będę chciała wyjechać, sama sobie poradzę - oświadczyła. Teraz już była poważna. Wzięła mnie za rękę i mocno trzymała. - Przepraszam za Pragę - powiedziała.

- Nie martw się już Pragę. To i tak nie mogło wyjść...

- Dlaczego?

- Bo jesienią nic mi nie wychodzi. Mnie, nie tobie. Powinna była się rozeźmiać. Ale pozostała poważna.

I wciąż trzymała mnie za rękę.

- Nie lubisz jesieni? - zapytała.

- Nie cierpię. Mam bezustanną chandrę...

- A znasz trzęsionkę?

- Co to jest?

- Coś o wiele gorszego. Czytałeś Śniadanie u Tiffany'ego?

- Oczywiście.

- Więc Holly...

- Czy to ta, która miała wizytówkę „Panna Jakaś Tam w podróży”?

- Ta - ucieszyła się Agnieszka. - „Panna Holiday Golightly, w podróży”.

- To piękne. Ona rzeczywiście traktowała życie jak podróż.

- Ona po prostu nie miała własnego miejsca.

- Więc?

- Holly mówiła, że chandra pojawia się wtedy, gdy na przykład tyjesz...

- To mi nie przeszkadza.

- Ale kobietom bardzo. I wtedy, gdy długo pada deszcz...

- Zgadnam się, to właśnie jesień. Listopad. Niebezpieczna pora.

- Człowiek mający chandrę jest smutny, ale nic więcej. Naprawdę straszna jest trzęsionka. Pocisz się wręcz ze strachu i nie umiesz się przed tym obronić. Choć często nie wiesz, czego się boisz.

- Lęk egzystencjalny. Bojaźń i drzenie...

- Co?

- To tytuł pewnej książki. Wtedy pozostaje się upić.

- Wiesz, że chyba to samo powiedział Fred, ten chłopak ze Śniadania.

- Słuchaj, a może nie pojedę do Warszawy, tylko pójdziemy się gdzieś porządnie upić? Jutro będziemy mieli wspaniałego kaca.

„Ja to naprawdę umiem zachęcić dziewczynę”, pomyślałam samokrytycznie.

- Jeszcze kiedyś upijemy się... Na pewno. Ale nie tym razem. I nagle zanuciła tak cicho, że ledwo rozróżniałam słowa: - Nie tym razem, nie w tym życiu, ale kiedyś może tak. I nie jutro, i nie w czwartek, ale kiedyś może tak.

- To twoje słowa? Układasz piosenki?

- Nie, chyba nie. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy.

Przechodziliśmy już podziemnym przejściem, które prowadzi na plac przed dworcem. Szal, którym była okutana, obsunął się na chwilę i zabłysła cała jej uroda. „Jakaż ona jest piękna”, pomyślałam. Miałem wielką ochotę zanurzyć ręce w gęstwinie jej włosów koloru jasnego miodu. Ale oczywiście nie zrobiłem tego. A ona przystanęła i nadal trzymała mnie za rękę.

- Nie będę cię dalej odprowadzać. Szczęśliwej podróży. Pomyśl czasem o mnie.

- Agnieszko... - zacząłem, ale mi przerwała, kładąc palec na mych wargach.

- Też życz mi szczęścia - zażądała. - Na pewno jeszcze kiedyś się spotkamy. I upijemy. Tak żeby urwał się nam film. Dobrze? Żegnaj.

Bardzo delikatnie pocałowała mnie w usta. Odwróciła się i pobiegła. Zdawało mi się, że się śmieje, ale musiało to być złudzenie.

Agnieszkę zastrzelono kilka godzin później. Ale ja dowiedziałem się o tym dopiero w niedzielę po południu, gdy zatelefonował do mnie Fredek. A jeszcze później stwierdzono, że kulę, która ją zabiła, wystrzelono z pistoletu, na którym były tylko moje odciski palców. To był ten pistolet, który wręczyła mi, gdy siedzieliśmy w piątek, w kawiarni, omawiając akcję przeciw szantażyście. A ja zaraz go jej oddałem. Dlaczego to zrobiłem? Gdybym zatrzymał tę broń, może by nadal żyła?!

Nie podoba się wam to morderstwo!? Właściwie nie pytam, ja stwierdzam, bo wiem, że tak jest. Wiedźcie więc, że mnie też się nie podoba. Powiadacie, że nie mieści się ono w konwencji tej trochę żartobliwej opowieści? No tak. Ale jakie morderstwo mieści się w jakiegokolwiek konwencji? Jednak stało się. Chcecie więc, czy nie chcecie, będziemy musieli dalej z nim żyć. I ja, i wy, moi czytelnicy szanowni. I będziemy musieli wspólnie znaleźć mordercę. Żeby go ukarać.

## 14

Wyciągałem klucze od mieszkania z torby, gdy Jazdia uchyliła drzwi i z tajemniczą miną, na migi, zaczęła mnie przywoływać do siebie. Co było robić, skorzystałem z niekonwencjonalnego zaproszenia.

- Szukali cię dwaj dziwni faceci. Wyglądali jak gangsterzy.

- Nie przesadzasz?

- Nie, jeden duży, a drugi niski...

- No tak, typowa gangsterska para. Jak wiadomo powszechnie, oni tak się dobierają. Gruby z chudym albo niski z wysokim. Ewentualnie łysy z brodatym. Gdy zobaczysz taką parę, od razu dzwoń po antyterrorystów.

- Nie dałeś mi skończyć, a teraz sobie kpisz. Nic ci więcej nie powiem.

Gdybym zaczął ją przekonywać, żeby jednak podzieliła się ze mną obserwacjami, na pewno zacięłaby się w milczeniu. Już taka jest.

- Nie to nie. Jestem zmęczony, idę do siebie wziąć prysznic. I może zafunduję sobie krótką drzemkę.

Mój „brak zainteresowania” skłonił ją do mówienia.

- Poczekaj. Oni naprawdę wyglądali podejrzanie.

- Co robili?
- Pukali i dzwoniли do ciebie.
- I to wszystko? Tak zachowują się gangsterzy?
- Chodzi o ogólne wrażenie.
- Oglądałaś ich przez wizjer?
- Tak...
- I na podstawie tego, że pukali do mnie i że przez twój wizjer, który mocno deformuje sylwetki, wyglądałi karykaturalnie, twierdzisz...
- To byli gangsterzy! Ja mam nosa - stwierdziła Jazdzia z przekonaniem.

Nie dałem się namówić na kawę, którą mi zaproponowała, i poszedłem do swojego mieszkania.

„Kawy jeszcze trochę mam własnej, więc zrobię sobie sam”, pomyślałem. „Jadzia, chociaż miła i dobra kobieta, wymaga niekiedy sporej cierpliwości. A tej dziś nie posiadam w nadmiarze”.

Po prostu czułem się zmęczony. Nie mam już dwudziestu lat, a przecież od kilku dni byłem w nieustannym ruchu. W poniedziałek nocnym pociągiem pojechałem do Pragi. Ze środy na czwartek wracałem w ten sam sposób do Warszawy, aby zaraz pojechać do byłej stolicy. Potem spędziłem dwa męczące dni w Krakowie. I zarwałem dwie ostatnie noce. To niezła porcja, jak dla kogoś, kto jeszcze dziesięć dni temu żył spokojnie, żeby nie powiedzieć leniwie.

Teraz należy mi się odpoczynek. Przed godziną wysiadłem z krakowskiego pociągu z przekonaniem, że coś niecoś jednak załatwiłem. Nawet odnalazł się dzięki mojej pomocy właściciel psa. „A może”, pomyślałem z właściwą sobie skromnością, „moją rolą w tej historii było właśnie odnalezienie psu właściciela czy też na odwrót: właścicielowi - psa? Jeśli przy okazji Marianna znajdzie normalnego chłopaka, będzie to historia z prawdziwym happy endem”.

Wypiłem kawę, wyciągnąłem się na sofie i, lekko rozluźniony, zacząłem myśleć o rewelacjach Jadzi. Taka sąsiadka, która zwraca uwagę na wszystko, to właściwie skarb. Jak to mówią doświadczeni policjanci i specjaliści od ochrony mieszkań? Lepiej ochroni twoje M-ileś wścibska sąsiadka niż zamek z patentem i drzwi antywłamaniowe. Tyle że Jadzia niemal w każdym moim gościu płci męskiej widzi gangstera albo szpiega. Zaś o jej reakcjach na wizyty dam lepiej nawet nie wspominać. Potrafi po takich odwiedzinach nie zauważać mnie i nie odzywać się przez kilka dni.

„Jak trochę odpoczniesz, mógłbyś jednak wpaść do niej na chwilę. Przecież to naprawdę zacna dziewczyna” - wystąpił z delikatną sugestią mój głos wewnętrzny.

„Chodzi ci o dereniówkę, łobuzie. Przynaj, że tak”.

Milczał. Powiedziałbym nawet, że milczał z godnością.

Włączyłem moją ulubioną stację radiową, która nadaje wyłącznie muzykę klasyczną i filmową. Spojrzałem na mokre od deszczu szyby i poczułem się zadowolony, że jestem znowu w moim skromnym mieszkanku. Oto, jakie są jesienne radości. Samotna kawa, w miarę przytulny kąć i cicha muzyka... Zbrodnie, mafie, szantaże, strzelaniny uliczne czy bomby, które mają kogoś postraszyć, zostawiłem gdzieś daleko... bo około trzystu kilometrów stąd.

„Zbyt przyjemnie, żeby mogło trwać długo”, pomyślałem sobie i dokładnie w tej samej chwili odezwał się dzwonek do drzwi. Jadzia puka, żadnych gości się nie spodziewałem, jest sobotni wieczór, więc nie jest to też listonosz; pozostają gangsterzy, o których wspomniała moja sąsiadka. Zwlokłem się więc z sofy i wyjrzałem przez wizjer. Dwaj faceci w płaszczach, dokładnie tacy, jak opisani przez Jadzię, to znaczy jeden duży, a drugi znacznie mniejszy, stali pod moimi drzwiami. Niższy trzymał w wyciągniętej ręce na wysokości wizjera jakiś dokument, zapewne legitymację. Oczywiście niczego z niej nie mogłem odczytać.

„Gangsterzy raczej nie zaczynają od pokazania legitymacji”, pomyślałem i otworzyłem drzwi.

- Dobry wieczór - powiedzieli niemal jednogłośnie.

Potem niższy, znów podsuwając mi legitymację, przedstawił siebie i kolegę. Nazwisk ani stopni służbowych nie zapamiętałem, ale imiona tak. Bo ładnie się rymowały. Niższy był Jarosław, a wyższy - Marek. Czyli Jarek i Marek. Jarek dodał:

- Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

„No no”, pomyślałem sobie, „nieźle. Miałem już w życiu do czynienia z policją, z Centralnym Biurem Śledczym, w którym mam nawet przyjaciela i znajomych, lecz Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego to nowość”.

Znów niższy, widać on był bardziej rozmowny, przeprosił mnie za najście w sobotni wieczór, ale zabrzmiało to jak gotowa formułka, w którą nie włożył serca. Zapewne byli przyzwyczajeni do działania w różnych porach dnia i nocy.

- Siadajcie panowie - zaprosiłem. - Może kawy?

Mieli na pewno ochotę, w końcu przyszli do mnie z mokrej i wietrznej ulicy. Ale może im nie wolno? Nie czekając więc na odpowiedź, dodałem:

- Już nastawiam ekspres.

Wróciłem po kilku minutach z gorącą kawą. Rozstawiłem filiżanki, przyniosłem cukier, który trzymam dla gości, bo sam nie używam.

- Słucham, cóż panów do mnie sprowadza?

- Sprawa związana z bezpieczeństwem państwa - powiedział Jarek.

- Brzmi to poważnie.

- Bo sprawa jest bardzo poważna. Ale proszę pozwolić, że to my będziemy pytać.

Byli niezwykle uprzejmi. Odzywał się do tej pory tylko niższy. Gdy zdjęli płaszcze, okazało się, że obydwoj są w marynarkach i pod krawatami. Wyglądali jak

policjanci z amerykańskiego filmu.

- Pan był kilka dni temu w Pradze czeskiej - stwierdził znów ten niższy. - Czy mogę zapytać, co pan tam robił?

- Właściwie nic... Miałem wziąć udział w nagraniu pewnego programu telewizyjnego, jednak gdy już byłem na miejscu, nagranie odwołano.

- Czy może pan powiedzieć, jaki to miał być program?

Nosił koszulę w paski, zaś krawat w kropki i trochę mi migał w oczach od tego op-artu. Na przykładzie pana Jarka z ABW widać, że czasem po metody wymyślone przez sztukę sięgają służby specjalne. Mieniący się w oczach agent to trudny do schwytania przeciwnik. A czy podejrzany, którego przesłuchuje oficer w koszuli w paski i w krawacie w kropki, zdoła wymyślić zgrabne kłamstwo? Gdy oficer wydaje mu się złudzeniem optycznym? Oczywiście nie. Ja, żeby skupić się na chwilę, musiałem oderwać wzrok od Jarka i popatrzeć na biały sufit. Teraz dopiero mogłem opowiadać.

Przedstawiłem w kilku słowach historię firmy „Trochelko Production Ltd.”. Historię zresztą krótką i nie uwieczoną powodzeniem. Nie wdawałem się w szczegóły, nie powiedziałem na przykład, że mój program miał być o alkoholach świata. No bo jakże to. Oni przychodzą w sprawie wiążącej się z bezpieczeństwem państwa, a ja im będę snuł gadki-szmatki.

Do rozmowy włączył się wyższy. Ten był stonowany kolorystycznie, to znaczy wszystko miał szare. Marynarkę, koszulę i jedynie odrobinę ciemniejszy od nich krawat. Nawet twarz miał szarą, jakby czas spędzał głównie w zadymionym pomieszczeniu. Wyciągnął gruby szary notes oraz długopis (czerwony!) i zaraz potem zaczął mi zadawać bardzo konkretne pytania związane z Pragą. W jakim hotelu mieszkałem (zanotowałem), czy rozmawiałem z jakimiś cudzoziemcami (wspomniałem o Portugalczyku, z którym piłem piwo; nie zanotowałem), gdzie



byłem, co widziałem i tak dalej. Nie pytał tylko, jakie piwo piłem i co jadłem.

- Wiem, że w Pradze za kilka dni odbędzie się szczyt NATO - powiedziałem - mogę jednak uroczyście przyrzec, że nie przygotowywałem tam zamachu na prezydenta Busha.

Nie zareagowali na moje oświadczenie. Wyjątkowo smutni faceci.

- Producentką programu miała być pani Agnieszka Trochełko - właściwie nie spytał, tylko stwierdził wyższy.

- Panowie wszystko wiecie...

- Skąd pan zna panią Trochełko?

- Zatelefonowała do mnie kilkanaście dni temu z propozycją udziału w tym programie. Wcześniej jej nie znałem.

- A pan już kiedyś występował w podobnych programach?

- Nie, nigdy.

- To dlaczego pani Trochełko pana wybrała?

- O to panowie musicie ją zapytać.

Nie widziałem powodu, żeby napuszczać Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego na Kasię. Ładnie bym jej odpłacił za przysługę.

- Pan interesuje się osobą niejakiego Mikołaja Adajewicza...

- Panowie więcej wiecie, gdzie ja byłem ostatnio, co robiłem, z kim się spotykałem i czym lub kim się interesuję, niż ja sam. To może ja powinienem pytać, żeby przynajmniej czegoś się o sobie dowiedzieć. Bo o tej porze roku mam często problemy ze zrozumieniem samego siebie. Tak zwany jesienny kryzys tożsamości.

Nie spodziewali się chyba wystąpienia w tym tonie. Ale wcale się nie zdenerwowali. Wyższy, czyli Marek, zdobył się nawet na krótkie usprawiedliwienie. I próbował się uśmiechnąć, ale to było chyba też złudzenie optyczne.

Może oni obaj byli dziełem jakiegoś artysty uprawiającego op-art?

- Taka jest nasza praca, panie redaktorze.

„O, zmiana na lepsze”, pomyślałem sobie. „Zaczynają mnie tytułować. A ja, psiakość, nie zapamiętałem ich »tytułów naukowych«,,

- Wiem, ale też prowadzę śledztwo. Dziennikarskie. I prowadzą je nie sam, lecz z kolegami z Krakowa. Byłbym nielojalny wobec nich...

- Panie redaktorze, nie mamy zwyczaju niepokoić obywateli ani w sobotni wieczór, ani o żadnej innej porze, z powodu błahostek. Przyszliśmy do pana, gdyż sprawa jest naprawdę poważna.

- Oczywiście nie możecie, panowie, powiedzieć, jaka to sprawa? Łatwiej byłoby mi udzielić wam informacji, gdybym wiedział, o co chodzi.

- Pan Adajewicz jest prawdopodobnie zamieszany w międzynarodowy spisek zagrażający interesom naszego kraju. Tyle mogę powiedzieć. I proszę pana o pełną dyskrecję.

To Kola był głównym powodem ich wizyty. Były agent sowiecki, dziś na celowniku krakowskich gangsterów, być może powiązany z mafią czeczeńską. To wydawało mi się oczywiste. Ale skąd ja? Jak do mnie trafili? Nagle przypomniałem sobie. Przecież pytałem Jacka o Kolę, a potem pokazałem mu jego paszporty. Jacek, żeby mi odpowiedzieć na pytania dotyczące faceta o trzech nazwiskach, musiał trochę pogrzebać. No to potem zapytano go o nagłe zainteresowanie Kolą. Zapytano, więc odpowiedział. On nie ma obowiązku mnie chronić.

Jasne więc, że przyszli do mnie ze względu na moje zainteresowanie Kolą. Czy jednak nie za dużo o mnie wiedzą? Może oni mnie śledzą? I o coś podejrzejawają? Jeżeli dotarli do mnie przez Jacka, to mogę powiedzieć im o paszportach. Bo i tak wiedzą. Co jednak zrobić, żeby nie wkopać Marianny? Zamyśliłem się.

- W imieniu naszych szefów chcę złożyć panu pewną propozycję. Potrzebujemy pańskiej pomocy. W zamian oferujemy nagrodę: materiały wystarczające do napisania nie artykułu, ale sensacyjnej książki. Tyle że otrzyma je pan po zakończeniu sprawy. Za kilka, może kilkanaście dni. Do tej pory musi obowiązywać pełne embargo.

- Tak zwana propozycja nie do odrzucenia? - zażartowałem, choć wiedziałem, że pozbawieni są poczucia humoru. Po chwili smutnego milczenia zapytałem: - Na czym miałyby polegać moja pomoc?

- Proszę podzielić się z nami wszystkim, co pan wie na temat Mikołaja Adajewicza. Być może poprosimy pana o zebranie jeszcze dodatkowych informacji. W niektórych środowiskach łatwiej poruszać się i pozyskiwać informacje dziennikarzowi aniżeli pracownikowi służb specjalnych. Gotowi jesteśmy pokryć niezbędne koszty.

- Na pierwsze zgoda. Co do zbierania informacji, musiałbym wiedzieć, do czego mają one służyć. Nie mogę także wypowiadać się w imieniu moich krakowskich kolegów.

Przyjęli to oświadczenie do wiadomości. „Być może w tej chwili”, przyszło mi do głowy, „ich równie smutni koledzy, w podobnie charakterystycznych parach (gruby -chudy, niski - wysoki i co tam jeszcze wymyśliłem niedawno dla Jadzi), rozmawiają z Fredkiem szanownym oraz, osobno, z naszym młodszym kolegą, Antosiem, również bardzo szanownym. I moi przyjaciele też z konieczności akceptują warunki cyrografu”.

Opowiedziałem im, co wiedziałem. A oni co jakiś czas sami z siebie uzupełniali moją wiedzę. Gdy mówiłem o Mariannie (bo jednak musiałem wspomnieć jej imię), Jarek dodał:

- Marianna Rosolak, trzy lata w zakładzie poprawczym. Od uzyskania pełnoletności na wolności, zachowuje się poprawnie.

Musiałem wyglądać na zaszokowanego, gdyż Jarek zdziwił się:

- Nie wiedział pan?
- Nie znałem nawet jej nazwiska.
- Nie interesujemy się byłymi pensjonariuszkami zakładów wychowawczych. Nie nasze rewiry. Jeżeli pani Rosolak zwróciła naszą uwagę, to wyłącznie ze względu na jej związek z Adajewiczem.
- Rozumiem. Miałem jej pomóc w odnalezieniu Koli, czyli właśnie Mikołaja Adajewicza. Być może ten Kola to również Vanvonmeerde i Wytiagajczenko. Jedna osoba o trzech nazwiskach.

Milczeli.

- Co do Koli... Podejrzewam, że to on zamontował bombę w drzwiach mieszkania, które wynajął i opłacał dla Marianny. Byłem też świadkiem strzelaniny, w której Kola został zaatakowany prawdopodobnie przez zabójców wynajętych przez krakowską mafię. Udało mu się jednego z nich zastrzelić i samemu uciec.

- Towarzyszył pan naszemu liskowi sporo czasu.

- Też nazywamy go lisem - ucieszyłem się. - Ja i moi krakowscy koledzy.

- Co pan jeszcze może powiedzieć o Mikołaju Adajewiczu?

- Widziałem kolejnego trupa i Kolę w pobliżu. Ale pewnie panowie o tym sami wszystko wiecie?

- Proszę opowiedzieć.

- Wczoraj wieczorem Agnieszka Trochełko zaciągnęła mnie do mieszkania w starej krakowskiej kamienicy. Drzwi do mieszkania nie były zamknięte, a w środku znajdował się trup mężczyzny. Mój krakowski kolega powtarza, że wydaje mu się, jakby ktoś odgrywał dla nas przedstawienie. Ten trup, dobrze wyeksponowany, bo w mieszkaniu paliły się wszystkie światła, też robił wrażenie teatralnego. Prawdopodobnie został uduszony. Obok denata leżał bowiem sznurek, a on sam miał na szyi wyraźną pręgę. Nie zauważyłem śladów walki, ale na progu pokoju ktoś porzucił pistolet. Chyba,

że sznurek i pistolet to naprawdę teatralne rekwizyty, a ja miałem uwierzyć, że dokonano morderstwa.

- Zgłosił pan to na policji?

- Zgłosiłem, ale anonimowo - przyznałem. - Obawiałem się pytania, skąd się tam znalazłem. Musiałbym wkopać Agnieszkę Trocheńko.

- A ona? Nie przyznała się, że tam wcześniej była?

- Agnieszka zachowała się dość dziwnie. Najpierw zaprowadziła mnie do tego mieszkania, nie wiem, w jakim celu, a potem, gdy zauważyła trupa, chciała natychmiast uciekać.

- Normalna reakcja.

- Szybko więc uciekliśmy. Gdy wyszliśmy z mieszkania, wydało nam się, że ktoś idzie na górę. Schroniliśmy się piętro wyżej. Rzeczywiście jakiś mężczyzna wszedł do mieszkania z trupem. Na klatce było ciemno, jednak gdy otworzył drzwi, zobaczyłem go w świetle, które padało ze środka. Widziałem go przez sekundę, bałem się mocniej wychylić, żeby mnie nie zobaczył, więc nie jestem pewien, czy to był Adajewicz.

- Było istotnie anonimowe zgłoszenie na policję o morderstwie. Przyjechała policja, jednak zastała mieszkanie zamknięte. Dopiero rano podjęto decyzję o wejściu do środka. Po naszej interwencji, bo z ustaleń wynikało, że to mieszkanie również wynajmował Mikołaj Adajewicz. W środku nie znaleziono ani trupa, ani pistoletu, ani oczywiście mordercy. Mieszkanie jest nadal obserwowane, do tej pory jednak nie mamy informacji, aby ktokolwiek się nim zainteresował.

- Więc widzicie, panowie, to wszystko naprawdę wygląda jak teatr albo film. Siedzimy z kolegami w knajpie, a na naszych oczach, na ulicy ktoś urządza strzelaninę jak z amerykańskiego filmu. Potem pani Trocheńko prowadzi mnie do mieszkania, żebym zobaczył trupa. A jeszcze później ukazuje mi się na krótką

chwilę, zresztą po raz kolejny, Mikołaj Adajewicz.

I tak sobie rozmawialiśmy. Oni pytali, ja próbowałem odpowiadać. Zainteresowani byli szczególnie moim (a raczej Fredka, ale tego im nie powiedziałem) podejrzeniem, że Kola ma powiązania z mafią czeczeńską. Tyle że na ten temat nic nie wiedziałem. Być może Antoś dopiero coś odkryje, ale to potrwa. W końcu mnie to znudziło. Więc oświadczyłem:

- Panowie, pojedę znów do Krakowa i zbadam wraz z moimi kolegami czeczeńskie powiązania Koli. Jeżeli jednak mam przeprowadzić energiczne śledztwo, to muszę wiedzieć więcej. Przynajmniej tyle co wy.

Popatrzyli na siebie, chwilę pomyśleli i wreszcie Jarrek oznajmił:

- Muszę zadzwonić.

Odszedł w kąć i dłuższą chwilę konferował z kimś przez komórkę. Mało mówił, raczej słuchał. Gdy wrócił na kanapę, najpierw spojrzął na kolegę. Było to smutne spojrzenie człowieka, którego sytuacja zmusza do odstąpienia od utartych zwyczajów. Ukrywanie tajemnic jest zapewne dla smutasów z ABW najważniejszą z zasad organizujących świat.

Ten ich smutek był nie do wytrzymania. Zwłaszcza jesienią, która już sama z siebie jest smutna. A tu smutny facet o smutnym spojrzeniu smuci się, bo ma mi zdradzić tajemnicę. Smutek do kwadratu albo nawet sześcianu. Niechaj więc jak najszybciej mi powiedzą, co mają do powiedzenia, bo zaraz zaczną łkać.

Wreszcie mi powiedzieli. Gdybym stał, to pewnie bym usiadł z wrażenia. Rzeczywiście, sprawa wagi państwowej. Albo nawet więcej. Sprawa, która może zmienić świat.

- Niech pan pamięta, obowiązuje embargo.

No cóż, jak embargo, to embargo. Więc już milczę.

## 15

Kilka dni temu w Pradze zobaczyłem coś pięknego. Z porannych mgieł, opadających powoli, wyłaniały się czerwone dachy Małej Strany. Tak jakby miasto budziło się i ożywało, nabierało rumieńców po wypiciu porannej kawy, której zapach nagle do mnie doleciał.

A teraz stoję przy oknie mego warszawskiego mieszkania i wpatruję się w mrok. Właśnie opuścili mnie smutni panowie z AB W. Przypomina mi się wieczór w Pradze, gdy długo chodziłem ulicami. Nie chciało mi się jeszcze iść do hotelu ani spać. Następnego dnia miała zjawić się Agnieszka i mieliśmy nagrać pierwsze odcinki Alfabetu Bachusa.

Czuję się tak, jakbym znów był w Pradze i obserwował zjawisko odwrotne do porannego przebudzenia miasta. Świat pogrąża się w mroku, a kontury domów zacierają się w narastającej ciemności. Wieje wiatr i wydaje mi się, że słyszę w jego szumie chór szeptów. Może to te zanikające w ciemnościach nocy budowle porozumiewają się cicho i przekazują sobie sekrety minionego dnia? Albo, co bardziej prawdopodobne, wspominają dawne dzieje. Niejedno przecież widziały, niejedno słyszały. Może skarżą się na głupotę ludzi, którzy wciąż, w każdym kolejnym pokoleniu, tak samo błądzą i grzeszą?

Gdzieś między domkami, których już dziś nie ma, ale pamiętają je jeszcze stojące obok kamienice, w szarym wieczoru przemyka jakaś postać. Niewyraźna niby cień. Nie wiadomo, skąd wyszedł ten człowiek i dokąd dąży. Idzie, jakby się skradał albo tańczył w sobie tylko znanym rytmie. Stukają na bruku jego dziwne trzewiki, a biała długa broda zaznacza się wyraźnie w mroku. Trochę zgięty, z ciężką księgą pod pachą. Gdyby można było przyjrzeć mu się z bliska, łatwo byłoby zauważyć czarną jedwabną myckę na głowie. Może to rabin Loew? Ten, który stworzył Golema.

Działo się to w Pradze w szesnastym stuleciu. Rabin był już starym człowiekiem i coraz trudniej przychodziło mu podołać codziennym obowiązkom. Lecz przecież przez całe życie studiował kabałę, której tajniki dobrze poznał. Teraz postanowił wykorzystać pewien starodawny przepis. Długo, bardzo długo poszukiwał zaklęcia. Spędzał nad księgami dnie i noce. Aż wreszcie ułożył we właściwym porządku litery boskiego alfabetu. Gdy ulepionej z gliny figurze napisał na czole słowo-zaklęcie, ożyła. To był właśnie Golem.

Rabin miał teraz pomocnika, który wykonywał za niego ciężkie prace. Bez słowa skargi, bo w ogóle nie mówił, sztuczny człowiek spełniał każdy rozkaz. Nosił ciężkie worki, potrafił zamiast konia pociągnąć wóz. Dzwonił w synagodze. A w deszczowy dzień trzymał wielki parasol nad głową rabina. Był jak najlepszy sługa, który nie domaga się zapłaty. Po pracy wystarczyło zmasać pierwszą literę z zaklęcia wypisanego na czole glinianego potwora. Golem natychmiast zapadał w letarg.

Któregoś dnia rabin, przyzwyczajony już do stałej jego obecności, zapomniał po pracy o uśpieniu sługi. I ten wybiegł na ulicę. Biegł w szale, strasząc ludzi dziwnymi nieartykułowanymi okrzykami. Przewracał stragany, wyrwał drzewka, a kiedy walnął pięścią w mur, została dziura jak po uderzeniu żelaznym młotem.



Przerażony tłum zebrał się pod domem rabina. Wzywano go na pomoc. Stary człowiek wyruszył na poszukiwanie potwora. Co się stało dalej? Podobno dopadł Golema i zmasał z jego czoła całe zakłęcie. A wtedy gliniany stwór rozsypał się na drobne kawałki. Rabin zebrał je z ziemi i ukrył między krokwiemi tak zwanej Staro-Nowej synagogi.

Jest też inna wersja zakończenia tej historii. Rabin długo szukał Golema, lecz ten jakby zapadł się pod ziemię. Loew, przerażony tym, co uczynił, niedługo potem zmarł ze zgrzyoty. Do jego grobu na starym żydowskim cmentarzu w dzielnicy Josefov zaczęli pielgrzymować pobożni Żydzi.

Minęło sporo lat. Któregoś wieczoru ktoś zauważył przemykającą mrocznymi ulicami starej Pragi, w okolicy gdzie znajduje się ten cmentarz i wiekowe synagogi, postać człowieka o siennej twarzy. To był Golem. Potwór podobno ożywa raz na trzydzieści trzy lata i wtedy biega po ciemnych zaułkach. Nieraz tylko straszy ludzi, ale częściej pozostawia za sobą jakieś nieszczęście. A potem znów rozplywa się na długie lata w mrokach nocy niby duch.

Mam od dawna taki zwyczaj, że wybierając się w podróż, zabieram książkę związaną z miejscem, w które się udaję. Nie przewodnik, bo przewodników właściwie nie lubię. Raczej powieść albo coś popularno-naukowego.

Do Pragi zabrałem powieść Gustawa Meyrinka *Golem*, sprzed prawie dziewięćdziesięciu lat. Trochę z niej ściągnąłem, a trochę uzupełniłem własną wyobraźnią, opowiadając historię sztucznego człowieka, która nabrała kształtów w ciemnościach, gdy spoglądałem przez okno mego mieszkania na warszawskim Powiślu.

Powieść Meyrinka to niezwykła książka. Zapadła widać głęboko we mnie, skoro nagle odzywa się po kilku dniach. Gdy jednak myślałem teraz o tym, co powiedzieli mi Jarek i Marek, oficerowie ABW, to legenda o Golemie wydała mi się prosta i niemal dziecinna, jak stare bajki. „A mo że to wszystko tylko mi się śni?”

pomyślałem. „Może to sen, którego źródło tkwi w podróży do Pragi, nierzeczywistego miasta? Tam zacząłem roić, snuć dziwaczne i nieprawdopodobne wizje. Z praktycznych mgieł je wywiodłem. Albo może raczej ma Antos, który twierdzi, że cały czas ktoś gra dla nas komedię, czy raczej tragifarsę?”.

Wyobraziłem sobie, że Kola jest dwudziestowiecznym Golemem. Nawet ich imiona brzmią podobnie. W literaturze szpiegowskiej używa się określenia „śpioch”. To agent wywiadu, który mieszka w jakimś kraju, prowadzi normalne życie, ma rodzinę, dzieci, uczciwą pracę i nikt go o nic nie podejrzewa, bo przecież nie daje najmniejszego powodu do podejrzeń. Aż któregoś dnia przychodzi do niego człowiek, który zna właściwe hasło. I „śpioch” budzi się. Dostaje zadanie do wykonania. Jeżeli nie zostanie zdemaskowany, często znów na lata zostaje uśpiony. Jak Golem, który wyłania się z mroku co trzydzieści trzy lata.

Kola był kiedyś agentem sowieckim. Stworzono go, jak rabin Loew stworzył sztucznego człowieka, nauczono wykonywania szpiegowskiej roboty. Miał wiernie służyć, a gdy padnie taki rozkaz, zapaść w letarg.

Tam, w Rosji, wiele oczywiście się zmieniło, w służbach specjalnych zapewne także. Może o Koli po prostu zapomnieli? On zaś nauczył się żyć samodzielnie, choć zapewne wykorzystując umiejętności, które kiedyś posiadał. Mógł je teraz dobrze sprzedać, na przykład mafii. Jednak któregoś dnia ktoś w Moskwie sobie o nim przypomniał. Zwłaszcza gdy pojawiła się konkretna sprawa do załatwienia. I Kole, jak starodawnego Golema, obudzono ze stanu letargu. „Zrób rzecz dobrze - powiedziano mu zapewne - a znów będziesz mógł zająć się swoimi interesami”.

Ale jaka jest rola Koli? Co on właściwie ma zrobić? I czy mu się uda zrobić to coś, o czym właściwie mało co wiem, w sytuacji, gdy jednocześnie ściga go mafia, której jest winien pieniądze?

Z oddali doleciał mnie hejnał mariacki. Dziesiąta rano w niedzielny, wyjątkowo niebrzydki poranek. I znów jestem w Krakowie. Porzuciłem marzenia o odpoczynku i przyjechałem wczesnym rankiem do byłej stolicy. Zrobiłem to bez wahań. Bo ja jestem gotów do największych poświęceń, jeżeli chodzi o interes mojego kraju i obronę jego dobrego imienia. Mogę nawet wstać skoro świt. Mam jednak nadzieję, że mój kraj nie będzie tego wymagał zbyt często. Zresztą, gdy jestem niewyspany, nie nadaję się do niczego. Staję się wtedy mało energiczny, moje szare komórki pracują, że pożał się Boże, a inwencja prawie zanika. Więc jaki pożytek może mieć mój kraj z niewyspanego mnie?

A jednak znalazłem właściwy adres i wszedłem na trzecie piętro. To tu, w prywatnym mieszkaniu, działało stowarzyszenie „Przyjaciele Czeczenii”. Zapukałem. Otworzyła mi śliczna blondynka w okularach. Wciąż spotykam jakieś jasnowłose piękności. A mówi się, że blondyni to gatunek zanikający i że za kilkaset lat może ich już w ogóle nie być. Nie chciałbym dożyć czasów bez blondynek. Raz chyba moje pragnienie ma szansę spełnić się dokładnie.

Przedstawiłem się i powiedziałem, że przychodzę z polecenia Antosia.

- Już jest - oznajmiła dziewczyna i uśmiechnęła się. Antoś wyjrzał z pokoju.

- Poznaliście się? - zapytał. - Agata, Konrad.

Wziął Agatę za rękę i weszliśmy we trójkę do pokoju. Jak często w krakowskich starych mieszkaniach, zadziwiła mnie wielkość i wysokość pomieszczenia. Wrażenie robiły również meble i obrazy na ścianach. Antoś czuł się wyraźnie zadomowiony i teraz pomaszrował do kuchni, żeby zrobić mi kawę.

- Jesteś z Warszawy? - ni to spytała, ni to stwierdziła Agata.

-Tak.

Chciałem usiąść w fotelu. Wyglądał na muzealny antyk, więc nie wiedziałem, czy wolno. Nie było co prawda kartki „nie dotykać eksponatów” ani sznurka odgradzającego meble od zwiedzających. Nie musiałem nawet zapłacić za bilet, w dodatku miałem dostać za chwilę gratisową kawę potrzebną mi do rozbudzenia umysłu, jednak kto ich tam wie, tych krakusów. Gdy jednak Agata usiadła najzwyczajniej w świecie na sofie z tego samego kompletu co fotel, postanowiłem naśladować ten precedens. Też więc usiadłem. Bardzo wygodny fotel. Oni tak sobie siedzą tutaj w tych wygodnych fotelach od wielu lat, a my tam, w Warszawie, co rusz powstajemy, bijemy się i potem żyjemy na gruzach.

- Muzeum, co? - spytała dziewczyna. - To moich rodziców, właściwie dziadków, a nawet częściowo pradziadków.

- I pewnie każdy mebel ma swoją historię? - podtrzymałem konwersację.

- Może nie każdy, ale w tym fotelu, w którym siedzisz, drzemał kiedyś Piłsudski. Zmęczył się pasjansem, który układał oczywiście na stole, tym, co stoi w środku pokoju.

Chyba już tak stoi, w tym samym miejscu, sto lat. Tylko karty się nie zachowały.

Byłem wciąż w stanie porannego rozkojarzenia, więc zrobiłem, zdaje się, minę cymbała, który nic nie rozumie.

- No te od pašnjansa. Pajans, jak mówi legenda rodzinna, wyszedł. Chociaż nie wiadomo, jakie pytanie zadał kartom przyszły marszałek.

Wkroczył Antoś z nowoczesnym dzbankiem rozta-  
czającym wokół mój ulubiony o tej porze dnia zapach.  
Kawa, wreszcie kawa.

- Pojawiły się, kurdemele, problemy. Oni wcale nie chcą rozmawiać. Jakby ktoś im zakazał albo ich postraszyl.

- To nikt nie przyjdzie? - zapytałem.

- Nie wiem. Może przyjdzie Matka Courage?

- Kto?

- Tak ją nazywamy z Agatą. Oczywiście tylko w naszych rozmowach. Zulfija nie ma nic wspólnego z bohaterką sztuki Brechta. Ale jest bardzo odważna, więc nazwisko pasuje znakomicie. I zna dobrze wojnę, jak tamta.

- To czterdziestoletnia kobieta, a wygląda, jakby miała sześćdziesiąt - wtrąciła się Agata. - Jest chirurgiem... Kiedyś mi jednak powiedziała, że nie może już pracować. Bo w czasie działań wojennych wykonała ponad normę swój zawodowy przydział. To znaczy ten, który zapisano na nią w niebiańskim departamencie chirurgicznym. Obcięła tyle rąk i nóg, i to przeważnie w polowych warunkach, bez znieczulenia, „ile nie obetnie tu u was, w Europie - mówiła - stu chirurgów przez całe życie”.

- Naprawdę wspaniała baba - dorzucił Antoś. - Walczymy, żeby jej załatwić prawo stałego pobytu.

Zapisałem sobie w pamięci. W końcu chyba smutasy z ABW coś mogą. Na dziś proponowali mi zaufanego tłumacza. Takiego, który zna nie tylko język rosyjski, ale też czeczeński i inguski. Jednak Antoś zaprotestował.

- Jakoś się dogadamy. A z nich naprawdę trudno coś wyciągnąć. Wystarczy już jedna nieznamoma twarz, żeby nie chcieli mówić.

Ta nieznamoma twarz to ja.

Przewidywałem rozmaite trudności. Przede wszystkim językowe. Większość uchodźców z Czeczenii nie mówi, albo mówi bardzo słabo, po polsku. Co prawda prawie wszyscy znają rosyjski, ale ja już sporo zapomniałem z mowy Puszkina. Moi przyjaciele także. Zresztą Fredek programowo nie uczył się języka Wielkiego Brata (w PRL-u częsty sposób okazywania postawy patriotycznej; jakże przyjemny dla leniwych uczniów). Zaś Antoś zna angielski i niemiecki, a z rosyjskiego zdążył poznać tylko podstawy. W jego liceum w 1990 roku dano uczniom możliwość decydowania, czy chcą kontynuować naukę tego języka. I choć rodzice mówili ponoć: „Ucz się synku dalej, to język naszego sąsiada, a geografia nie zmienia się tak jak polityka”, to Antoś, podobnie jak jego koledzy, z rosyjskiego przerzucił się na niemiecki. Też w końcu język sąsiada. Rozumiem go. W czasach pierwszej „Solidarności” jeszcze dziecko, w okresie stanu wojennego wciąż był za młody na cokolwiek, więc kiedy wreszcie mógł, chciał dokonać swego bohaterskiego wyboru.

- W najgorszym razie ściągniemy jakieś dziecko - powiedziała Agata.

- Dziecko?

- Ich dzieci uczą się błyskawicznie polskiego. A z rodzicami rozmawiają oczywiście w ich językach.

Zamyśliłem się, może zdrzemnąłem na sekundę w tym po mieszczańsku wygodnym meblu, a gdy otworzyłem oczy, one już były. One, bo były we dwie. Starsza siwa kobieta, czyli zapowiadana Matka Courage, a także młoda dziewczyna o ciemnych oczach i prawie czarnych włosach.

Przedstawiono mnie jako dziennikarza, który tak jak Antoś sympatyzuje z Czeczenami i chciałby zainteresować ich losem opinią publiczną w Polsce.

Ale zaraz potem Antoś szczerze powiedział:

- Dziś jednak musimy porozmawiać o czymś bardzo konkretnym. Obawiamy się, że dzieje się coś niedobrego, co mogłoby zaszkodzić sprawie czeczeńskiej.

Agata wróciła z kuchni z dzbankiem ze świeżą kawą, a także półmiskiem z ryżem na słodko. Dwie panie przyniosły („dla spróbowania”) czeczeńską potrawę. Pilaw, czyli ryż z rodzynkami. O ile wiem, może też być wariant słony albo mięsny.

Czeczenki rozmawiały przez chwilę między sobą w języku, którego nie rozumiałem. Chyba nawet spierały się. A potem ciemna dziewczyna oświadczyła zupełnie przyzwoitą polszczyzną:

- Będziemy odpowiadać na pytania.

I wtedy włączyła się Matka Courage. Mówiła po rosyjsku, ale tak wyraźnie i powoli, że rozumiałem doskonale.

- Żina waha się, ja uważam jednak, że trzeba wam powiedzieć. Też się boję. Nasi chłopcy kupują broń. Tu, w Polsce, i może gdzieś za granicą. Wiem, że jest tu już nasza mafia. Teraz włączyli się w to wszystko smarkacze. Mają po kilkanaście lat. Siedemnaście, osiemnaście. Ostatnio kilku gdzieś znikło. Oni nie mają rodziców, przyjechali ze swoimi krewnymi. To dzieci wojny. Nikt ich nie pilnuje, nie uczy zasad moralnych. Najpierw chcieli jechać dalej, do Niemiec. A teraz już tu się przyzwyczaili. Robią jakieś interesy, chyba też kradną. Nawet ściągają swoich kolegów z Niemiec. Bo tu jest dobry grunt do lewych interesów. Obawiam się, że szykują jakiś bardzo duży skok.

- Kiedy przyjechali ci niemieccy koledzy? - spytałem.

- Kilkanaście dni temu. Ja czuję, że oni przygotowują się do czegoś bardzo niebezpiecznego. Ci nasi chłopcy chodzą tacy dumni, jakby już byli bohaterami narodowymi.

- Czy wie pani coś o tym skoku?

- Nic.

Milczałem.

- Nas tu dobrze przyjęto. Polacy są gościnni. Sami nie są przecież bogaci, a dzielą się z nami. Niektórzy moi rodacy chcieli od razu dostać wszystko. To ja im mówię: zobaczcie, jak tu się niektórym ciężko żyje. A przecież Polacy dają nam dach nad głową i jedzenie.

- Dziękujemy za miłe słowa, ale wiemy, że nie wszyscy was traktują dobrze - powiedział Antoś. - W ośrodku w Dębaku...

- Nie mówmy o tym - poprosiła kobieta. - Nie dziś. Nam nie wolno narzekać. Co by powiedzieli o nas ci, którzy poginęli. My ocaliliśmy życie, żyjemy tu spokojnie. Nikt do nas nie strzela, nie zabija nas. Nie wolno nam doprowadzić do tego, żeby ten gościnny kraj uznał nas za ludzi niebezpiecznych.

To była mądra niewiasta.

- Kilka dni temu wydarzyło się coś dziwnego. Do Ziny przyszli dwaj chłopcy z pytaniem, czy potrafi napisać list po angielsku. Bo moja córeczka zna angielski.

Później Agata powiedziała mi, że Zina jest tylko przybraną córką Matki Courage. Dziewczyna straciła rodziców, nie wie, co stało się z jej siostrą i braćmi, więc Zulfija, której mąż i dzieci zginęli w czasie bombardowania Groźnego, zaopiekowała się sierotą. Razem przyjechały do Polski.

- Jaki list? - zapytałem z ciekawością.

- Nie mówili. Potem chyba o wszystkim zapomnieli. Albo pomógł im ktoś inny - wyjaśniła Zina.

- Może ten Kola? - Matka Courage spytała Zinę.

- Kto? - zawołaliśmy razem z Antosiem.

- Kola - zdziwiona naszymi okrzykami, powiedziała niepewnie Zulfija. - Rosjanin, który pomaga chłopcom. On mieszka od dawna w Polsce i jest inny od swoich rodaków, którzy przyjeżdżają w rosyjskich mundurach do naszego kraju.



Opisałem wygląd Mikołaja Adajewicza, tak jak zapamiętałem z naszych przelotnych kontaktów. Naprawdę przelotnych, bo on mi zaledwie migał przed oczami: raz na ciemnych schodach, a wcześniej w czasie ulicznej strzelaniny, gdy wystawił na pół sekundy głowę zza samochodu.

- Nigdy go nie widziałam - powiedziała Zulfija. - Tylko słyszę o nim od czasu do czasu.

„To typowe dla niego”, pomyślałem. „On jak Golem gdzieś tam może i jest, w zakazanych, mrocznych rewiarach. Ale wszyscy raczej o nim słyszeli, niż go widzieli na własne oczy”.

- Ja chyba raz go widziałam - przyznała Zina. - Przyszłam do mojego kolegi, a tam było jakieś zebranie. I tam był on. Ale chłopcy zaraz mnie wyrzucili. Powiedzieli, że to ściśle męskie spotkanie.

- Przyjrzałaś mu się? - zapytał Antoś.

- Nie za bardzo. Ale opis pasuje.

- Wróćmy na chwilę jeszcze do listu - poprosiłem. - Czy na pewno nie wiecie o nim nic więcej?

Zulfija pomyślała chwilę, a potem powiedziała:

- Ja dużo słyszę i widzę... Nauczyłam się w czasie wojny, że trzeba obserwować różne rzeczy, często z pozoru nieważne. Błysk w oknie spalonej kamienicy może oznaczać, że jest tam rosyjski snajper z lunetką na karabinie, w której odbiło się słońce. On może cię zastrzelić, gdy wyjdiesz na ulicę. Co z tego, że jesteś kobietą i niesiesz torbę lekarską? On się nudzi albo chce sprawdzić, czy nie utracił jeszcze umiejętności strzelania do poruszających się celów. A ty nie jesteś dla niego kobietą czy lekarzem, tylko ruchomym celem. To przecież większa satysfakcja dla dobrego snajpera trafić w cel ruchomy niż nieruchomy.

Słuchaliśmy w zupełnym milczeniu.

- Ja na wszystko zwracam uwagę i zastanawiam się, co może oznaczać. I czym może grozić. Powiem wam, co mi się wydaje na podstawie różnych moich obserwacji. Jest taki chłopak, Polak, który nas lubi, tak jak

Antoni. I to on przyszedł któregoś dnia do naszych. Dwa, może trzy tygodnie temu. I od tego momentu zaczął się ruch. Nie wiem, co im powiedział. Ale dla mnie te sprawy się łączą. Najpierw on przychodzi, a potem coś się zaczyna dziać.

- Jak on się nazywa?

Kobiety pogadały między sobą i Zina rzekła:

- To chyba Krystian. Znam go.

- Ja też - powiedziała Agata. - To historyk sztuki, pracuje na Wawelu.

- Gdzie? - wykrzyknąłem.

- No wiesz - uśmiechnęła się Agata - my tu w Krakowie mamy taki dość stary zamek. Kiedyś podobno Kraków był stolicą Polski i wtedy mieszkali w nim królowie. I ten właśnie zamek nazywa się Wawel. Myślałam, że w Warszawie uczą tej samej historii co u nas.

- O Wawelu nie uczą - postarałem się wejść w konwencję rozmowy. - Bo my mamy własny Zamek Królewski.

- Słyszałam... Podobno wybudowaliście go sobie niedawno. Dwadzieścia parę lat temu... Czy to prawda?

- Tak, ale według dawnych planów.

- Dajcie spokój - włączył się Antoś. - Może warto pogadać z tym Krystianem?

- O Wawelu? - zapytałem.

- Między innymi - rzekł Antoś.

- On mieszka dwa kroki stąd - poinformowała Agata.

- Może zadzwonię do niego i go zaproszę?

- Czy to dobry pomysł? A może poszłabyś do niego i go wypytała? - zaproponowałem.

- OK. Ale o co?

- Co powiedział Czeczenom.

- No dobrze, ale przynajmniej zadzwonię i uprzedzę go o wizycie.

Agata wróciła po chwili od telefonu i oznajmiła:

- Rozmawiałam z jego matką. Powiedziałam jej, że chodzi o sprawy czeczeńskie. Ona na to, że Krystian wyjechał służbowo. I że przecież powinnam wiedzieć. Może wzięła mnie za kogoś innego? W ogóle to była dziwna rozmowa.

- Myślę, że powinniście razem pójść do niej - powiedziałem do Antosia i Agaty.

- My też musimy już iść - stwierdziła Zulfija.

Stało więc na tym, że w razie potrzeby Antoś się z nimi skontaktuje, bo przecież wie, gdzie mieszkają. A gdyby one coś sobie przypomniały, albo o czymś ważnym się dowiedziały, zadzwonią do Agaty.

- To ty pij sobie kawę - powiedział Antoś - a my z Agatą odwiedzimy matkę Krystiana. I zaraz wrócimy.

Zgodziłem się z ochotą. Postanowiłem jednak nie próżnować w czasie tej przerwy. Zadzwoniłem najpierw do siostry Fredka i poprosiłem do telefonu Mariannę. Pomyślałem bowiem, że być może ma ona już telefon Jakuba, chłopaka od win. Przewidziałem trafnie.

- Za godzinę idę zobaczyć się z Krabem - oświadczyła - więc mogę coś przekazać Kubie.

No pięknie, nie mówiłem, że działanie przez psy jest skuteczne?

- Dziękuję, chodzi o drobiazg, więc sam zadzwonię do niego - powiedziałem wykrętnie. - Najwyżej dołączę do was, bo też chętnie zobaczę Kraba... Gdzie będziecie spacerować?

Nie była zachwycona moim pomysłem.

- Jeszcze nie wiem.

Następnie zadzwoniłem do Jakuba. Przypomniałem mu się, a potem rzekłem:

- Pan zna się na takich dziwnych rzeczach, jak działanie przez psy...

- To przecież pan mnie doprowadził do Kraba - przerwał mi.

- No tak, ale to była jednorazowa misja. Psy mogą wybrać każdego dla realizacji zadania i tym razem padło na mnie.

Gadałem jeszcze przez moment podobne głupstwa, aż w końcu zapytałem:

- A wie pan coś o czakramie na Wawelu?

- Pewnie tyle co wszyscy w Krakowie.

- To znaczy?

- Według hinduizmu w ludzkim ciele jest siedem punktów, w których gromadzi się energia. To czakry.

- Pewnie kiedyś o tym czytałem...

- Są też tacy, którzy twierdzą, że również na kuli ziemskiej są miejsca o nadzwyczajnej energii. Pochodzi ona z głębi ziemi, a także być może z kosmosu. I to są czakramy. Gruczoły Ziemi. Też jest ich siedem. Jeden z nich jest na Wawelu.

- Tak?

- Czakramy są też w Mekce, Rzymie, Delfach i Jerozolimie - wyliczył chłopak.

- Święte miasta. A Kraków chyba święty nie jest? - zażartowałem.

- Przede wszystkim to są miasta ważne dla historii świata - powiedział poważnie Jakub. - Są w nich święte miejsca, jak żydowska Świątynia w Jerozolimie albo Bazylika Świętego Piotra w Rzymie...

- Ma pan rację.

- Kto wierzy w czakramy może powiedzieć, że właśnie im te miasta zawdzięczają wielką rolę, jaką odegrały w historii świata. Bo w pobliżu źródeł energii wszystko lepiej się rozwija. Powstają silne ośrodki władzy, nowe systemy religijne...

- Wróćmy jeszcze na chwilę do Krakowa i na Wawel.

- Proszę bardzo - Jakub był uprzejmy. - Czytałem, że już w pierwszej połowie dwudziestego stulecia przyjeżdżali do Krakowa hindusi, aby nasycić się tutejszą energią. Od dawna znali to miejsce. Niektórzy nawet twier-

dzą, że jest ono opisane w świętych księgach indyjskich sprzed wielu wieków. Nie wiem, bo nie czytałem.

- Niezwykłe.

- Można też znaleźć bardziej europejskie interpretacje. Czytałem gdzieś, że w skale, na której opiera się Wawel, tkwi od tysiący lat wielki kamień, który spadł z kosmosu. I to on jest źródłem energii. Podobno jego moc znano już w czasach pogańskich.

- A współcześni Polacy?

- W Polsce to miejsce zrobiło się bardzo popularne chyba kilkanaście lat temu. Nie wiem dokładnie.

- No tak, pan jest za młody, żeby pamiętać.

- Przybywało tyłu zainteresowanych, że w końcu zamknięto dla zwiedzających kryptę świętego Gereona w zamkowych podziemiach, bo tam było ognisko energii.

- Więc teraz już nie można z niej korzystać?

- Można. Wystarczy przyłożyć rękę do ściany na dziedzińcu, nad kaplicą, albo nawet tylko tam stanąć. I od dołu do góry przejdzie przez ciało oczyszczająca energia. Usunie z człowieka wszelkie trucizny, wypełniając go czymś pozytywnym. W ten sposób można nawet leczyć choroby ciała. I oczywiście duszy.

- Bardzo ciekawe rzeczy pan mówi.

- Słyszałem, że prowadzono nowoczesne badania naukowe. I okazało się, że w tym miejscu rzeczywiście jest niezwykle wysoki poziom radiacji. Jedno jego źródło wykryto głęboko, ponad kilometr w głąb ziemi, a drugie, kilkaset metrów od powierzchni.

- Chyba pójdę się przekonać.

- Teraz jest najlepsza pora. Jesienią i zimą promieniowanie jest silniejsze o dwadzieścia procent. Niech pan pójdzie na ten piękny renesansowy dziedziniec i podejście do ściany od zachodniej strony. Tam w podziemiach była krypta świętego Gereona.

Podziękowałem mu za wyczerpujące informacje. Skończyłem rozmowę w momencie, gdy wrócili młodzi wywiadowcy, Agata i Antoś.

- Naprawdę dziwna sprawa - powiedział dziennikarz.  
- On się chyba ukrywa. Jego matka nie chciała wiele mówić, może przestraszyła się naszego zainteresowania synem? Ale, kurdemele, wydaje mi się, że on nie nocuje w domu.

- Może po prostu spędza noce z dziewczyną? Słyszałem, że takie rzeczy zdarzają się nawet w Krakowie - stwierdziłem.

- To możliwe - spokojnie rzekł Antoś.

- Myśmy też na to wpadli, mądry panie z Warszawy - dodała Agata. - I zapytaliśmy o narzeczoną Krystiana. Że niby ją znamy, ale nie wiemy, jak się z nią skontaktować. Lecz jego matka nie chciała nic powiedzieć. „On wyjechał i już - powtarzała. - Jak wróci, to sam się do was odezwie”.

- Agata zauważyła zdjęcie dziewczyny, które stało na regale. To pewnie ta narzeczona.

- Znam ją... Ona kiedyś przysła razem z Krystianem na spotkanie z Czeczenami. Potem ją widziałam na Uniwersytecie. Chyba studiuje filologię romańską.

- To może przez nią mogliśmy dotrzeć do Krystiana? - zapytałem. I dodałem: - Jesteś świetnym detektywem, Agato.

Zdaje się, że ta pochwała ociepliła nasze stosunki, odrobinę napięte z powodu konfliktu warszawsko-krakowskiego.

- Podzwonię - zapowiedziała dziewczyna i poszła do drugiego pokoju.

- Co robimy dalej? - zapytał Antoś. - I co w ogóle się dzieje? Bo mam wrażenie, kurdemele, że jesteś strasznie poważny. Ale powiedziałeś mi mało. A ja wietrzę tu coś innego - i potarł palcami koniec nosa.

- Czy was, to znaczy ciebie i Fredka, nie odwiedzali smutni panowie z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego?

- Nie. Przynajmniej mnie, bo Fredka od wczoraj nie widziałem.

„Czyli tylko na mnie złożono odpowiedzialność za losy świata”, pomyślałem. „Ładnie. I ja mam ją dźwigać na mych słabych barkach”.

- Mnie, niestety, odwiedzili. Nie wiem, czy powiedzieli mi całą prawdę, ale nawet na to, co ujawnili, nałożyli ściśle embargo.

- To w jaki sposób mamy ci pomóc?

Rzeczywiście, Antoni ma rację. Lecz nagle przysłała mi do głowy prosta myśl.

- Prowadźmy wspólnie śledztwo. Ja będę wam pod suwał tropy... Jeżeli czegoś się dowiemy, to będzie to już wiedza zdobyta przez nas. Czyli taka, na którą nie obowiązuje żadne embargo.

Antosiovi zaświeciły się oczy. Wykiwać ABW to radość dla każdego rasowego dziennikarza śledczego. Mnie jednak nie wolno myśleć o radościach. Ja muszę przede wszystkim pamiętać o odpowiedzialności za kraj, a być może za cały świat. Czy to nie za dużo, jak na człowieka, który przeżywa właśnie jesienne załamanie formy? Który ma listopadową chandrę, a kiedy tylko przypomni sobie, co powiedzieli mu Jarek i Marek, bliiski jest trzęsionki?

Zostawiłem Antosia u Agaty. Zamierzali razem odszukać dziewczyną Krystiana i przy jej pomocy dotrzeć do chłopaka. Prosiłem ich o pośpiech i stałe informowanie mnie o wynikach. Sam zaś wyszedłem na ponurą ulicę. Chociaż była niebrzydka pogoda, miałem wrażenie, że nad miasto nadciągają czarne chmury. Podobnie jak nad cały nasz biedny kraj. Czułem się znużonym wędrowcem, który po wielu dniach marszu stanął na rozdrożu. I nie wie, w którą stronę powinien się teraz udać. Już mu się nie chce iść, a przecież musi. Jeżeli zaś wybierze zły kierunek, może zaprzepaścić dotychczasowy trud wyprawy.

„Czas nagli”, pomyślałem „a ja nie mam pojęcia, co dalej robić. Zupełna pustka w mózgu”.

Zadzwoił mój telefon komórkowy. Spojrzałem na wyświetlacz: Fredek. „Gdybym mógł mu powiedzieć. Facet ma tyle inwencji i energii. Poza tym łatwiej wziąć odpowiedzialność za świat we dwóch niż samotnie”.

- Gdzie jesteś? - zapytał mój przyjaciel.
- Na krakowskiej ulicy...
- Muszę ci coś powiedzieć. Dobrze się czujesz?
- Co to za wstępy? Umarł ktoś, czy co?



- Zastrzelono Agnieszkę Trocheńko.

- Co? - wrzasnąłem, aż podskoczyła jakaś leciwa dama, przechodząca obok.

- Ależ ma pan manieri! - skarciła mnie. - Czy pan, młodzieńcze, wychował się w lesie?

Nic nie odpowiedziałem. „Może się przesłyszałem”, pomyślałem. Ale nie miałem już nadziei. W tym zwariowanym świecie, w którym za kilka dni rozpęta się nawałnica, jakiej jeszcze współcześni Polacy nie widzieli, to musi być prawda. Wszystko co najgorsze razem. Nieszczęścia chodzą parami. Myśli latały mi po głowie jak niespokojne ptaki przed burzą. „Boże, ja chyba zwariuję”.

- Dlaczego nic nie mówisz? - spytał zaniepokojony dziennikarz.

- Fredku - jęknąłem - to nie może być prawdą. Wczoraj odprowadzała mnie na pociąg do Warszawy. Żywa, piękna, inteligentna. Najcudowniejsza dziewczyna...

- To się stało wczoraj późnym wieczorem, a może w nocy. Jeszcze nie znam szczegółów. Najlepiej przyjdź do mnie.

- Dobrze.

Byłem kilkanaście minut piechotą od garsoniery Fredka. W Krakowie wszędzie jest blisko. Więc ruszyłem szybkim krokiem. Chciałem jak najprędzej poczuć obok siebie jakąś bratnią duszę.

- Kupiłem po drodze butelkę stocka. Upijmy się - poprosiłem przyjaciela, ledwo znalazłem się w jego mieszkaniu.

- Nie mogę. Dziś pracuję. Za dwie godziny muszę być znów w redakcji. Wyrwałem się tylko na chwilę.

- Wiesz, Agnieszka była w marnym nastroju... Też ją namawiałem na wspólne pijaństwo. Gdybyśmy tej nocy... Wszystko potoczyłoby się inaczej.

Teraz miałyby może jeszcze wielkiego kaca, ale byłyby żywa. Lepszy potężny ból głowy, nawet połączony z torsjami, niż kula. A mnie nie znaleźliby smutni

panowie z ABW. Może w ogóle cała ta historia miałyby inny przebieg? Jedno duże pijaństwo i żyłbym sobie spokojnie, jak dotychczas, nie wiedząc nic o zagrożeniu, które wisi nad światem.

- Uspokój się, szanowny - Fredek był zaniepokojony moim stanem. - Zaraz podzwonię i może uda mi się znaleźć

zastępstwo. Wtedy upijemy się razem.

- Jesteś prawdziwym przyjacielem - powiedziałem.

Fredek otworzył butelkę i nalał mi kieliszek. Troszczył się o mnie jak o małe dziecko. Chociaż sam też chyba był przejęty. Zginęła przecież Miss Krakowa i Polski, najpiękniejsza dziewczyna i chluba miasta.

Zatelefonował Antoś. Chciał poinformować Fredka o Agnieszce. Właśnie się dowiedział. Informacje rozchodziły się tutaj szybko. Pytał Fredka, czy ma zająć się tą sprawą. Bo to chyba powinna być jutro czołówka w gazecie.

- Oczywiście, rzucaj wszystko i...

- Stop! - krzyknąłem, aż Fredek spojrzał na mnie zdziwiony. - To, co robi Antoś, jest ważniejsze. Agnieszce już nie pomożemy, a tu chodzi o Polskę, a może o cały świat.

- Uspokój się, szanowny - cicho powtórzył Fredek. Brał pewnie mój wybuch za rezultat szoku, który przeżyłem.

- Gdzie ty jesteś? - zapytał Antosia. - Świetnie, to przyjedź do mnie. Naradzimy się wspólnie, co robić.

Antoś coś jeszcze mówił, ale Fredek mu przerwał:

- Nie trać czasu, przyjeżdżaj.

Wypiłem kolejny kieliszek i wtedy odezwał się mój głos wewnętrzny:

„Musisz im powiedzieć. Niech przysięgną na wszystkie świętości, że utrzymają sprawę w tajemnicy, lecz powiedz im... Nie możesz być romantycznym bohaterem, który sam zamierza ocalić świat. To już nie te czasy i nie te warunki. Dziś liczy się dobrze zorganizowane działanie zbiorowe”.

„Ale embargo...”.

„Wiesz, o co toczy się gra. Twoje słowo nie ma znaczenia, złam je, bo to może być ważne dla nas wszystkich”.

Nalałem sobie kolejny kieliszek brandy. Mój umysł wyraźnie zaczynał pracować. Widziałem sprawy jaśniej. On, ten mój wewnętrzny mentor, ma rację. Gdy chodzi o przyszłość świata, nie mogę kierować się głupimi zasadami honoru. Że dałem słowo? Przecież w tym nadwiślańskim smutnym kraju tysiące ludzi codziennie łamie słowo honoru. I nie dlatego, że troszczą się o los innych, lecz wprost przeciwnie. Robią to wyłącznie we własnym interesie.

- Musisz nam powiedzieć - Fredek niemal powtórzył za moim głosem wewnętrznym. Jakby go słyszał.

Spojrzałem na dziennikarza z podziwem. „To mądry facet”, pomyślałem. „Wcale nie wziął mojego wybuchu za wynik szoku. Od razu zrozumiał. Jego pomoc będzie nieoceniona”.

- Planowałem, że będę podsuwał wam tropy... Nie ujawnię żadnej tajemnicy, ale ułatwię śledztwo. Jednak nie ma już chyba czasu na pokrętne metody.

Wypiłem jeszcze jeden kieliszek.

- A może przeniesiemy się do redakcji? Stamtąd łatwiej nam będzie ogarnąć sytuację - spytał Fredek.

- Dobrze. Powiem wam, a potem pojedziemy do redakcji.

Fredek zapewne liczył, że przy swojej podzielności uwagi będzie mógł zajmować się kilkoma sprawami naraz. Jutrzejszym wydaniem gazety, śledztwem w sprawie morderstwa Agnieszki, o którym przecież też muszą jutro napisać, i wreszcie sprawą, o której miałem im powiedzieć.

- Najpierw musicie przyrzec, że nie napiszecie nic, do póki nie pozwolę - powiedziałem, gdy wpadł zdyszany Antoś.

Kiwnęli głowami.

- Kiwanie głowami nie wystarczy. Chcę. to usłyszeć. Proszę głośno i wyraźnie.

Ja właściwie wycofałem się z zawodu. Jednak oni to czynni dziennikarze. Zaś dziennikarzowi przyrzec, że nie będzie pisał o sensacyjnej sprawie (a ta przecież po moich wszystkich wstępach zapowiadała się na taką), jest równie trudno jak Don Juanowi, że nie uwiedzie kobiety. Lecz ja czekałem. Więc w końcu coś tam wyrzუსili. Nie miałem wyboru i musiałem im zaufać.

- Powiem wam krótko i niczego nie będę owijał w bawełnę. Za kilka dni do Pragi przyjeżdżają przywódcy wielu państw na szczyt NATO. Między innymi prezydent Bush z żoną Laurą.

- To przecież, kurdemele, wszyscy wiedzą.

- Tak. Nikt jednak nie wie, albo wiedzą naprawdę nieliczni, że Laura Bush ma incognito odwiedzić Kraków. Z Pragi do Krakowa jest przecież blisko. Przyleci tu na kilka godzin. Przewidziana jest kolacja na Wawelu z panią prezydentową Jolantą Kwaśniewską. Bez osób towarzyszących.

- Niemożliwe - zawołał Fredek. - I utrzymują to w tajemnicy?

- Tak. Bo to jest prywatna inicjatywa pani Bush. Dowiedziała się o czakramie na Wawelu i chce skorzystać z jego ożywczej energii. Sądzę, że prezydentowi Stanów Zjednoczonych ten pomysł bardzo się nie spodobał. Wyobraźcie sobie tylko, że światowa prasa to wyciągnie. Żona prezydenta najpotężniejszego mocarstwa wierzy w jakieś magiczne energie.

- Wiesz, zdaje się, że ten czakram naprawdę działa - powiedział poważnie Fredek. - My wciąż nie znamy wszystkich właściwości natury.

- Rozumiem, jest tajemnica, ale co my mamy tutaj do roboty? - zapytał Antoś.

- Domyślam się, że pani Bush jest chora. Czy tak? I zawiedli profesjonalni medycy. Więc nie widzi dla siebie innego ratunku niż energia z wawelskiego czakra-mu.

- Fredku, tego nie wiem. Ale to samo pomyślałem.

- I to jest ta wielka tajemnica?

- Nie. To są nasze domysły, być może prawdziwe, być może nie.

- Więc o co tu chodzi, szanowny?

- O to, że tajemnica wyciekła... Niestety. I jakiś fanatyk albo grupa fanatyków chce wykorzystać przyjazd pani Bush.

- Zaraz, zaraz, zaczynam się domyślać - wykrzyknął Antoś. - To dlatego chciałeś spotykać się z Czeczenami?

Fredek zaczął gapić się na nas, a Antoś mu wyjaśnił:

- Ustaliliśmy wcześniej, że spróbuję trochę pokręcić się, żeby zbadać ewentualne powiązania Koli z mafią czeczeńską. A tu dziś w nocy dzwoni Konrad i mówi, że on też chce rozmawiać z Czeczenami. I to już, kurde-mele. Więc pytam, czy w środku nocy?

Przerwałem tę opowieść.

- Z tego, co ujawnili mi oficerowie z ABW, wiem, że w jakiejś chorej głowie narodził się szalony pomysł. Ktoś ma zaatakować Laurę Bush. Tym ktosiem jest ponoć czeczeński uchodźca mieszkający w Polsce. ABW dowiedziała się o przygotowaniach, ale nie dotarła do szczegółów. Nie wiadomo więc, kto wykona zamach i w jaki sposób zostanie on przeprowadzony. Czy zamachowiec będzie strzelał, czy może na przykład wysadzi się razem z żoną prezydenta USA? Albo zrobi to jeszcze inaczej. I kiedy to się stanie? Czy nie podczas kolacji z prezydentową Kwaśniewską? Wtedy również nasza Jola byłaby narażona na niebezpieczeństwo. Oni mają tylko zdobytą operacyjnie ogólną informację...

Obydwa szanowni dziennikarze krakowscy wybałuszyli oczy (jeśli tak można o tych znacznych ludziach powiedzieć) i wpatrywali się tymi swoimi ślepiami

wysadzonymi prawie na zewnątrz czaszki. Wpatrywali, oczywiście, we mnie. Ja zaś zamilkłem.

Fredk pierwszy powrócił do normalnego wyglądu. Przeżuwał jakąś myśl.

- To jest bez sensu - powiedział wreszcie. - Cóż zyskają Czeczeni w wyniku takiego zamachu?

- Fredku, nie mam pojęcia, czym przekonano wykonawcę lub wykonawców. Może zaofiarowano mu wielkie wynagrodzenie, a może znaleziono fanatyka, który wierzy, że to jest ekspresowa droga do rajy? Wiesz, czym dla wielu wyznawców islamu jest święta wojna, dżihad.

- Czeczeni zostaną potępieni przez cały świat - zaniepokoił się Antoś.

- Domyślam się, że o to właśnie chodzi inicjatorom. Świat, który nie interesuje się zaledwie wojną na Kaukazie, traktując ją jako wewnętrzną sprawę Rosji, teraz zupełnie umyje ręce. Wypadki mogą rozwinąć się jeszcze gorzej. Stany Zjednoczone zażądają od Rosji zrobienia wreszcie porządku w odległej prowincji. I wtedy znów rozpoczną się regularne działania wojenne, znów zaczną kręcić się na wielką skalę interesy związane ze sprzedażą broni...

- To grozi nawet wojną światową! Co by się stało, gdyby prezydent Stanów Zjednoczonych postanowił sam zrobić porządek z terrorystami w Czeczeni? Przecież zabili mu żonę. Bush jest typem kowboja, który nie daruje takiej zniewagi. A Rosja powie: „*niet*” (Nasza to jurysdykcja i prosimy nie mieszać się do naszych wewnętrznych spraw).

- Widzę, że wreszcie do was dociera, jakiego to kalibru sprawa. Pomyślcie też, czym zagraża ona Polsce. Świat może uznać nasz kraj za szalenie niebezpieczny. Uciekną i tak już coraz mniej liczni inwestorzy. A jaka plama na naszym honorze! Gość specjalny, żona prezydenta USA, ginie w zamachu na Wawelu. W miejscu symbolicznym dla polskiej historii.

- Uff- westchnął Fredek. - Rozumiem, to jest większa sprawa niż morderstwo naszej Miss. Co my, dziennikarze prowincjonalnej w końcu gazety, możemy tu zdziałać, jeżeli nie może poradzić sobie Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego?

- A co robi Biuro Ochrony Rządu? - zapytał Antoś.  
- Jeżeli spodziewają się ataku, to powinni zastosować jakieś specjalne zabezpieczenia. Zresztą Bushową będą chyba ochraniać Amerykanie.

- Powiedziałem wam, co wiedziałem. Ci smutni faceci z ABW robią, co tylko mogą. Amerykańscy ochroniarze prezydentowej także. I na pewno stara się nasz BOR. Ale to rutyniarze. Jeżeli mamy do czynienia z fanatykiem, to konwencjonalne zabezpieczenia mogą zawieść. Dziś Amerykanie są gotowi zestrzelić nawet samolot z licznymi pasażerami na pokładzie, gdyby miał on zagrozić jakiemuś miastu albo wielkiemu budynkowi. Ale czy zrobiliby to przed atakiem na World Trade Center w Nowym Jorku?

- Masz rację, szanowny, to jest sprawa wymagająca nietypowego myślenia.

- Wariatowi trzeba przeciwstawić wariata. Bo tylko wariat może wczuć się w sposób myślenia wariata - powiedział Antoś.

„Ten facet mówi genialne rzeczy” - szepnął mi głos wewnętrzny. - „Wydaje mi się, że w takim razie ty najbardziej nadajesz się do rozwikłania zagadki”.

To było poniżej mojego poziomu. Nawet nie zamierzałem mu odpowiadać.

- Mózg wariata na scenie dziejów - skomentował Fredek. - My tu sobie gadamy, a trzeba nie tylko szybko myśleć, i to po wariacku, lecz i szybko działać.

- Też po wariacku - dodałem.

- OK. Tylko co mamy robić? Jesteśmy dziennikarzami i możemy najwyżej przeprowadzić sto, albo nawet tysiąc rozmów z osobami, które być może coś wiedzą. Być może, podkreślam. Jeżeli jednak nic z tych

rozmów nie wyniknie? Co wtedy, szanowni?

- Ja ćwiczyłem trochę karate - pochwalił się Antoś. Spojrzeliśmy na niego z mieszaniną podziwu i, niestety, politowania.

- Antoś, oni kupowali broń. Czy poradzisz sobie, nawet ze swoim karate, z przeciwnikiem uzbrojonym na przykład w pistolet maszynowy?

- Rozmawiałeś z facetami z ABW - przypomniał Fredek. - Dlaczego do ciebie przyszli? Czy zlecili ci jakieś zadanie?

- Myślę, że skojarzyli dwie rzeczy: moją podróż do Pragi niemal w przeddzień szczytu NATO i zainteresowanie Kola. I uznali, że prowadzę dziennikarskie śledztwo w tej samej sprawie, nad którą oni teraz pracują.

- Czyli znów wraca Kola - włączył się Antoś. - Oni go podejrzewają i my też powinniśmy. Po tym, co nam powiedziała Matka Courage, wydaje się, że on maczał palce w tej historii...

- Nie odpowiedziałeś jednak, czego od ciebie chce ABW?

- To się narodziło w trakcie rozmowy... Oni są w kropce. Wiedzą, że coś się szykuje, ale nie mają pojęcia co. Więc wymyślili, że mnie, jako dziennikarzowi, łatwiej będzie dogadać się z Czeczenami. Może nawet uda mi się ich przekonać, żeby nie robili głupstw. Albo żeby rozsądniejsi z nich wydali tego szaleńca czy szaleńców, którzy planują zamach.

- Prościutkie zadanie - rzekł Fredek.

Zwłaszcza na cztery dni przed atakiem - podsumował Antoś. - Od dwóch lat próbuję zdobyć zaufanie czeczeńskich uchodźców. I, zdaje się, ufa mi tylko Matka Courage. Oraz dzieci, którym zanoszę drobne prezenty.



## 18

- To chyba ten - powiedziała Agata.

Nie wysiadaliśmy jeszcze z samochodu, a silnik nadal pracował.

- Wygląda na pusty. Okiennice zamknięte, cisza, spokój. Zresztą zobacz, tam dalej jest bardzo podobny domek.

- Miał być pierwszy za mostkiem. Więc to musi być ten.

- Popatrzmy z bliska.

Agata zjechała z drogi i zaparkowała pod żywopłotem, który otaczał niewielką posiadłość. Zostawiliśmy samochód i podeszliśmy do furtki. Była zamknięta jedynie na skobel. Wsunąłem rękę między pręty i bez żadnego problemu otworzyłem ją.

- Ciemno i ponuro. Nikogo tu nie ma. Pewnie, tak jak mi powiedziała ta dziewczyna, używają go tylko w lecie.

- Weszliśmy już na cudzy teren, to sprawdźmy dokładnie. Może Adrian poszedł na spacer? - stwierdziłem.

- Nie Adrian tylko Krystian. Nie możesz zapamiętać?

- Nie wiem dlaczego, ale te imiona zawsze mi się mylą.

- Zaraz będzie padać. Chyba nie najlepsza pora na spacerowanie...

- Jak zacznie padać, to wróci.

Podeszliśmy do drewnianego domku. Był zadbane, choć skromny i niewielki. W środku drzwi, wyglądające na solidne, oraz po lewej i prawej ich stronie umieszczone symetrycznie dwa okna. Na dachu komin. Zapewne więc w domku jest piec albo kominek i od biedy można w nim mieszkać nawet w chłodnym listopadzie.

- Okiennice zabite na stałe - zauważyła Agata.

- Chyba już na zimę - powiedziałem. - Rzeczywiście, nie ma żywej duszy.

- To co, wracamy do Krakowa?

- O, coś dziwnego - wskazałem na garść trocin pod jednym z okien.

- Co takiego?

- Wyglądają na świeże. Jakby ktoś niedawno wiercił tu jakąś dziurę.

- Popatrz! Tu wywiercono otwór, w którym umieszczono ten hak. Przytrzymuje sztabę zamykającą okiennicę... Na zimę, sam mówiłeś.

- Ale zobacz, dziura jest stara, a trociny świeże.

- Wcale nie są świeże...

Nagle zobaczyłem. Dość wysoko, jakieś dwa metry nad ziemią, tuż koło okna wywiercono mały otwór. Musiał być głęboki, jeżeli wyspało się z niego aż tyle trocin. Prawdopodobnie przechodził przez ścianę domku na wylot. Z otworu wystawał cienki przewód, który przymocowano do okiennicy. Miał dobrze dobrany kolor i trudno go było od razu spostrzec.

- Co to może być? Alarm, który włączy się, gdyby ktoś chciał otworzyć okiennicę?

- Nic nie widzę - Agata przetarła szkła okularów.

- Tu - wskazałem jej palcem.

- Rzeczywiście.

- Zobaczmy drugie okno.

Ponieważ wiedziałem już, czego szukać, od razu wy-  
patrzyłem świeży otwór i przewód. Podeszedłem do  
drzwi. „Jeżeli tak zabezpieczono okna, to chyba również  
w drzwiach powinna być jakaś pułapka na złodzieja”,  
pomyślałem sobie. Nie mogłem jednak niczego doj-  
rzyć. Nawet przy pomocy latarki, którą Agata przynio-  
sła z samochodu, gdy zauważyła, z jaką uwagą badam  
centymetr po centymetrze.

- Wygląda na to, że właściciel zaufał zamkowi.

„Kto i dlaczego tak zabezpiecza mały letni domek?

A zresztą co może dać alarm na tym odludziu?”, za-  
stanawiałem się.

- Jakież to skarby ten Ad..., chciałem powiedzieć  
Krystian, trzyma tutaj?

- Może nie on, tylko jego matka?

- Wszystko jedno.

Agata zeszała z kamiennego schodka, który prowa-  
dził do drzwi, i schyliła się.

- Ale klucz jest... ogólnodostępny - wyciągnęła du-  
ży i raczej prosty klucz, który znajdował się w dziurze  
między schodkiem a ścianą domku. - Tu go zawsze  
podobno chowają.

- Nic z tego nie rozumiem. Chyba że są jeszcze do-  
datkowe zabezpieczenia...

- Sprawdźmy - powiedziała dziewczyna i przekreśli-  
ła klucz w zamku.

- To ja pierwszy - wykazałem się odwagą. I zrobi-  
łem krok do przodu.

Jedyne, co zapamiętałem, to był jakiś ruch nade  
mną, w górze. Potem dostałem potężnie w głowę i film  
mi się urwał.

- Konrad, Konrad - ktoś powtarzał moje imię.

- Co? Kto mnie woła, czego chce?

- Ty żyjesz?! - to była chyba Agata.

- Nie wiem... Potwornie boli mnie głowa, czy to oznacza, że żyję?

- Nad drzwiami umieszczona była belka, która spadła ci na głowę.

- Co? Jaka belka? Ten minister od podatków?

- Konrad, oprzytomnij. Na głowę spadła ci prawdziwa belka, a nie żaden minister...

- Ale tu śmierdzi, fuj.

- Też czujesz?

- I jest zupełnie ciemno.

- Nie ma prądu.

Agata włączyła latarkę i zrobiło się trochę jaśniej.

- Oszczędzam baterie - oznajmiła - nie wiem, na jak długo będą musiały wystarczyć.

- Co się stało?

- Już mówiłam. Dostałeś w głowę belką...

- Niespodzianka dla złodzieja?

- Na to wygląda.

- Raczej prymitywne.

- Ale skuteczne. Byłeś nieprzytomny dobry kwardrants.

- Otwórz te drzwi, będzie jaśniej. Belka już spadła i chyba nie ma drugiej.

- Próbowałam... Gdy weszłam do środka, żeby cię ratować, drzwi się zatrzasnęły i nie można ich otworzyć.

- To jesteśmy w pułapce. Ale co tu tak śmierdzi?

- Nie wiem, próbowałam cię ocucić. Nawet znalazłam wodę w garnku...

- Wolałbym coś mocniejszego.

- Koniaku nie mam - powiedziała jakby urażona.

- Agatko, dziękuję, chyba uratowałaś mi życie - postanowiłem docenić poświęcenie dziewczyny.

- Nie miałam czego ratować. Przeżyłeś, bo masz po prostu twardą głowę. I szczęście. Gdybyś nie pochylał się trochę, gdy wchodziłeś, to byś dostał w sam czubek głowy. A wtedy nie wiem...

- Nie zrobiłaś mi sztucznego oddychania? Metodą usta-usta?

Agata zgasiła przed chwilą latarkę i w ciemnościach, które zapanowały, brała mnie ochota na jakieś flirty. Zupełnie nie na miejscu. A może to był rezultat walnięcia w głowę i zmiany osobowości po tym wypadku? Z jesiennej na letnią?

- Przestań, bo powiem Antoniemu.

- Co ma do tego Antoni?

- To mój chłopak - oznajmiła.

- Wiesz, a może to śmierdzi jakiś rozkładający się trup? - zmieniłem temat. - Złodziej, który miał słabszą czaszkę od mojej?

- Przestań! Ja się boję - nowy temat też nie odpowiadał Agacie.

- Nie bój się. Trup leżałby koło drzwi, a nic nie widzę.

- Naprawdę przestań!

- Spróbujmy ruszyć któreś z okien. Okna są zabite i nie uda się ich zupełnie otworzyć. Ale jeśli do okiennic podłączony jest alarm, to może się włączy? - mocne uderzenie w głowę uruchomiło, jak widać, także moje szare komórki.

- I co z tego?

- Może ktoś przyjdzie nam pomóc.

- Tu wokół nie ma żywej duszy. Nikt nie usłyszy.

- Mimo wszystko spróbujmy.

- Nie wolno - usłyszeliśmy cichy głos z ciemnego kąta pokoju.

- Ratunku! - wrzasnęła Agata - tam ktoś jest.

- Ktoś ty? - zapytałem odważnie. Głośne wypowiedanie słów dodawało mi pewności siebie.

- To wy powiedzcie, kim jesteście i co tu robicie?

- Dlaczego my?

- Bo to mój dom - powiedział cicho głos z kąta.

- To ty jesteś Ad... chciałem powiedzieć Krystian?

- Tak - był zdziwiony. - Znamy się?

- Jeszcze nie, ale możemy się poznać. To jest Agata, a ja mam na imię Konrad.

- Co tu robicie? Czy przyszliście mnie zabić?

- Co? - wrzasnąłem teraz ja. - Dlaczego tak sądzisz?

- Nie wiem.

- Jeśli tu jesteś cały czas („a gdzie miałby być?” - to odzywka mojego głosu wewnętrznego), słyszałeś chyba...

- Nic nie słyszałem... Jestem bardzo słaby i dużo śpię... Najpierw myślałem, że mi się śnicie. Gdy się obudziłem, już tu byliście.

- Musisz nam powiedzieć wszystko od początku. Od jak dawna tu jesteś?

- Nie wiem. Jest ciągle ciemno i nie odróżniam, kiedy jest dzień, a kiedy noc.

- W jaki sposób się tu znalazłeś?

- To mój, to znaczy mojej mamy, dom. Przyjechałem tu z pewnym człowiekiem...

Zamilkł na chwilę.

- Chcesz wody? - zapytała Agata.

- Chcę.

Agata nalała do jakiegoś naczynia trochę wody z garnka i poszła w ciemny kąt. Nic prawie nie widziałem, bo to ona trzymała latarkę.

- Kazał mi tu zostać. Nie wolno mi wychodzić, aż on po mnie przyjedzie. Zabrał mi telefon komórkowy i wyłączył elektryczność.

- Nie próbowałeś się stąd wydostać? Przecież to twój dom i chyba wiesz, jak z niego wyjść.

- Powiedział, że do drzwi i okien podłączył ładunki wybuchowe. Jak będę próbował wyjść, to zginę.

- Co było dalej?

- Zostawił mi trochę jedzenia. Ale już dawno się skończyło. Jest za to woda, bo było jej dużo w zbiorniku. Chociaż chyba już trochę śmierdzi. Nie wiem, bo tu w ogóle śmierdzi. Musiałem tam obok, w drugim

pokoju, zrobić sobie toaletę.

- Słuchaj Krystian - powiedziałem - my przecież weszliśmy do środka i nic nie wybuchło. Dostałem w głowę, ale to nie była bomba, tylko prymitywna belka.

- Bo wejść można. Wybuchnie tylko wtedy, on powiedział, gdy spróbuję się stąd wydostać.

- Rozumiem.

Choć głowa bolała mnie potwornie i nie chciało mi się myśleć, zacząłem rozważać możliwe warianty. Zasadniczo są dwa. Pierwszy, Krystiana oszukano. Nie ma żadnej bomby, nic nie wybuchnie, chodziło jedynie o to, żeby jak najdłużej chłopaka przytrzymać w domku. Jednak sam widziałem przewody przymocowane do okiennic. Czyli prawdziwy jest wariant drugi. Dom został zaminowany. Można do niego wejść, ale nie można wyjść.

- Dlaczego ten człowiek cię tu uwięził?

- Dużo o tym myślałem... nie brakowało mi, wiecie, czasu...

„Jeżeli chłopak próbuje żartować, to nie jest z nim źle”, pomyślałem.

- I co wymyśliłeś?

- Wydaje mi się, że chodzi o to...

- O co? - zapytała Agata.

- Ja coś wiem, coś ważnego... Ale czy mogę wam zaufać?

- Musisz - powiedziałem stanowczo. - Po prostu musisz. To w twojej sytuacji jedyna szansa dla ciebie.

- Ja pracuję na Wawelu...

- To wiemy.

- Nic wam nie powiem, wyciągniecie ze mnie, co wiem, a potem mnie zabijecie - znów się wystraszył.

Nie wiedziałem, ile czasu chłopak spędził samotnie w ciemnym pomieszczeniu, ale wyglądało na to, że jest jednak w marnej kondycji psychicznej. Bał się, nie potrafił też logicznie rozumować. Chociaż kto wie? Może

jego obawy nie były bezpodstawne? Ktoś zostawił go w zaminowanym domku, żeby nie mógł wyjawić ważnej tajemnicy. A teraz sprawdza, czy Krystian potrafi dochować sekretu. Jeżeli nie, to zginie. Nas właśnie brał za zabójców. Od uwięzienia w domku i skazania na śmierć głodową do morderstwa droga jest właściwie prosta. Więc ma rację, że nie chce mówić.

- Krystian, nie obawiaj się, jesteśmy po twojej stronie - powiedziałem. - Myśmy przyjechali tu specjalnie, żeby cię odszukać.

- Ale przecież nikt nie wie, że tu jestem...

- Z wyjątkiem człowieka, który cię uwięził - palnąłem, zanim pomyślałem, że tym stwierdzeniem jeszcze bardziej wystraszę chłopaka. Jeżeli wie tylko jeden człowiek, to właśnie on nas musiał przysłać.

- To twoja dziewczyna, Bożena, powiedziała mi, że tu możesz być - wtrąciła przytomnie Agata.

- Nic jej nie mówiłem.

- Ale ona się domyśliła. Ona cię dobrze zna, chyba nawet lepiej od twojej matki.

- Mamie powiedziałem, że muszę wyjechać...

- Służbowo? - zapytałem.

- Skąd wiesz?

- Wiemy od niej. Agata z nią rozmawiała.

- Miałem się do niej odezwać... Bardzo się martwi?

- Chyba tak.

- Dałem mu słowo, że nic nie powiem. Myślałem, że sobie tu zamieszkam i będę dzwonił od czasu do czasu do domu. Powiem mamie, że jestem na delegacji w jakimś odległym muzeum...

Nie bardzo wiedziałem, jak poprowadzić rozmowę, żeby wzbudzić zaufanie chłopaka. Bał się mówić o Wawelu, nigdy nie użył też imienia albo nazwiska człowieka, który go uwięził. Więc o co go pytać, żeby się rozgadał?



- Powiedz, dlaczego musiałeś zniknąć?

- Bo... -zamilkł.

Chyba chciał nam powiedzieć. Dusił w sobie tajemnicę, żył z nią w samotności przez wiele dni. W ciemnościach mógł tylko rozmyślać. Ile razy już zastanawiał się nad tym, co się wydarzyło? Ile pytań zadał, na które mógł tylko sam sobie odpowiadać? I przecież nie wiedział, czy jego odpowiedzi są właściwe. Na pewno chciał o tym wszystkim porozmawiać, wyrzucić z siebie to, co go nurtowało.

- Czy mówisz sam do siebie? - zapytałem.

- Co? - Wyczułem jakiś ruch w jego kacie. Próbowaliśmy się podnieść.

- Pytam, czy mówisz sam do siebie. To raczej normalne, gdy człowiek przebywa długo sam ze sobą. Z kim ma wtedy pogadać?

- Tak, mówię sam do siebie...

- To wyobraź sobie, że nas tu nie ma. Albo że tylko ci się śnimy. I po prostu mów.

Chłopak ruszał się na swoim legowisku. Chyba układał się w wygodnej pozycji. Pociągnąłem Agatę w drugi kąt, w kierunku niskiej kanapki, którą wypatrzyłem, gdy dziewczyna włączyła przed kilkoma minutami latarkę.

- Im dalej od niego, tym lepiej. Niech zapomni o naszej obecności - szepnąłem.

Jeszcze trwała cisza. Coraz lepiej rozróżniałem w ciemnościach kształty i coraz więcej słyszałem szmerów.

„Właściwie mógłbym się przyzwyczaić”, pomyślałem.

„Do czego?” - zapytał mój głos wewnętrzny. - „Do ciemności i ciszy?”

„Jesteś?” - właściwie się ucieszyłem. - „Przetrwaleś to bolesne uderzenie w czaszkę?”

„Mnie nie bolało. Jestem tylko głosem, i niczym więcej.”

Nic nie powiedziałem. Ale pomyślałem sobie, że gdybym znalazł się w położeniu Krystiana, dobrze mówię, Krystiana, nie Adriana, moja sytuacja byłaby

komfortowa. Od pierwszej chwili w ciemnościach miałbym towarzysza. Mógłbym toczyć długie spory z głosem wewnętrznym, może nawet z czasem przyzwyczaiałbym się do jego złośliwej natury. Choć oczywiście mogłoby zdarzyć się i tak, że wyszlibyśmy z więzienia we dwóch: ja i on. Czyli ja, ale jako schizofrenik.

„Ty już jesteś chyba stuknięty...” - odezwał się ten, który był moją nadzieją i sposobem na przetrwanie ciemnej ciszy albo cichych ciemności. Przerwałem mu:

„Jakże mam nie być stuknięty, gdy walnęła mnie w głowę belka?!”.

„Jeszcze masz ochotę na głupie żarty. A ja na tej cuchnącej wodzie długo nie pociągnę. Więc nie licz na mądre dysputy ani nawet na zwykłe moje rady. Lepiej pomyśl, jak skombinować coś porządnego do picia!”.

Miał rację, ten mój mentor od siedmiu boleści, który wciąż i wszędzie podąża za mną jak ogon za psem. Bez kilku chociaż kropli czegoś mocniejszego nie przetrwamy.

- Pewnego dnia - zaczął powoli Krystian - podsłuchałem przypadkiem rozmowę. Zasiedziałem się w pracy...

Od tego wszystko się zaczęło...

Chłopak przerwał, ale my milczeliśmy.

- W sąsiednim pomieszczeniu jacyś ludzie dyskutowali z zastępcą dyrektora. Poznałem jego głos. Nie chciałem wychodzić, bo już było po godzinach pracy. Jakoś nie miałem ochoty, żeby mnie zobaczył ten dyrektor.

Znów krótka pauza. Agata kręciła się nerwowo.

- Na Wawelu jest wiele bezcennych skarbów i wciąż wprowadzane są nowe zabezpieczenia. A oni rozmawiali właśnie o bezpieczeństwie. Więc najpierw nie zwróciłem uwagi. Ale potem usłyszałem, że „ona chce zwiedzić kryptę świętego Gereona”. Jaka „ona”? Zaciekawilo mnie i zacząłem słuchać uważniej.

Zamilkł, a Agata - wyczułem - zamierzała coś powiedzieć. Złapałem ją za rękę i chyba zrozumiała, że ma siedzieć cicho.

- Tej krypty właściwie nie ma. To są tylko jakieś średniowieczne resztki w podziemiach... Sam dobrze nie wiem, co tam ocalało, bo ja zajmuję się renesansem... Natomiast znam legendę o czakramie, którego energia działa najmocniej w tym miejscu.

Znów zamilkł, ale z wolna się rozkręcał.

- Potem zastanawiano się, czy nie zabrać jej do krypty świętego Leonarda. To piękne wnętrze w stylu romańskim, które zachowało się w dużej części i w dobrym stanie. Aż wreszcie usłyszałem o jakiejś kolacji. Byłem głodny, bo od rana nic nie jadłem, więc tym bardziej zacząłem słuchać. A oni mówili, że wizyta będzie na tyle krótka, że kolację trzeba wydać na miejscu. To tylko kilka osób. Więc nie ma chyba problemu ze znalezieniem jakiejś ładnej salki w pobliżu. Ktoś zaczął wyliczać te osoby i wtedy usłyszałem nazwiska Laury Bush i Jolanty Kwaśniewskiej.

Przerwał, ale tylko dla złapania oddechu.

- Od dawna moi przyjaciele Czecheni zastanawiają się, w jaki sposób można przekazać list prezydentowi Stanów Zjednoczonych. I to tak, żeby dotarł do jego rąk. Chcą napisać o swojej sytuacji i prosić o pomoc. Gdy więc wieczorem przypomniałem sobie podsłuchaną rozmowę, od razu pomyślałem, że to znakomita okazja. O ile oczywiście wszystko dobrze zrozumiałem i rzeczywiście żona prezydenta Busha będzie na Wawelu. Zacząłem się rozglądać, trochę pytać kolegów i dowiedziałem się, że trwają mocno utajnione przygotowania. Komuś cofnięto urlop, część zamku zaczęto nagle remontować, chociaż remont był tam przewidziany dopiero za dwa lata. Potem dowiedziałem się, że przez dwa dni Zamek ma być zamknięty dla zwiedzających. Sprawdziłem w Internecie. Okazało się, że w te dni w Pradze czeskiej będzie szczyt NATO, na który przyjedzie Bush z małżonką.

„To już najbliższa środa i czwartek”, pomyślałem. „Jesteśmy w przededniu końca świata. A jeżeli ziemia nawet przetrwa ten kataklizm, to na pewno nie będzie już taka sama. Tak, jak po jedenastym wrześniu 2001 roku, świat jest inny”.

- Poszedłem do mych czeczeńskich przyjaciół i powiedziałem im o tym. Zaczęliśmy układać list. Znam angielski, nawet niezłe. Ktoś jednak stwierdził, że to musi być napisane po mistrzowsku. Pamiętacie, jak kiedyś Wałęsa przemawiał w amerykańskim Kongresie? Miał taki tekst, że ci Amerykańcy, którzy niejedno przecież słyszeli, ciągle mu klaskali i wciąż stawiali na baczność.

„Nie jest głupi ten Krystian”, oceniłem. „Jednak dał się w końcu podejść”.

- Wciąż szukaliśmy pomysłu. Jak napisać i kto może to zrobić najlepiej? Były różne propozycje... Niektóre takie sobie... Na przykład, żeby żona prezydenta Busha znalazła list zaadresowany do męża w podziemiach Zamku. Że to niby od jakiegoś ducha Wawelu. Kobieta, która wierzy w energię czakramu, chyba nie odrzuci listu od ducha. I przekaże adresatowi.

Siedzieliśmy z Agatą bez ruchu i słuchaliśmy uważnie. Nawet zapomniałem o smrodzie panującym w pomieszczeniu. Bo wyobraźcie sobie tylko: słyszycie w ciemnościach głos, który opowiada wam sensacyjną historię. I to taką, której jesteście poniekąd częścią.

- To też trudna sprawa. Jak wręczyć jej list? Bushowej będą pilnować i nie pozwolą nikomu zbliżyć się do niej. Kazali mi zdobywać plany różnych pomieszczeń zamkowych, pytali, czy nie wiem o tajnych przejściach. W pewnym momencie wydało mi się, że już nie mówię o liście, lecz że oni szykują coś innego. Gdy pytałem, milkli. Zacząłem się obawiać, czy nie powstał jakiś głupi plan. Taki, który może przynieść tylko szkody...

- I co? - wyrwało się Agacie.

Ale chłopak rozgadał się już na tyle, że nie zwrócił uwagi na to niepotrzebne pytanie.

- Ponieważ nie chcieli odpowiadać na moje wątpliwości, spróbowałem fortelu. Gdy o coś mnie prosili, dopytywałem się o różne szczegóły, że niby nie rozumiałem, o co im chodzi. I o nic więcej, aby nie wzbudzać podejrzeń. Zastanawiałem się też nad kolejnością tych pytań, które mi zadawali.

„Naprawdę mądry facet ten Krystian”, chłopak budził coraz większy mój podziw. „On radził sobie nie gorzej niż ci smutni z AB W”.

- Któregoś dnia stało się dla mnie jasne, że wszystko, o co mnie pytali, ma sens w jednym tylko przypadku.

Znów przerwał. Czy chodziło mu o wywołanie większego napięcia wśród słuchaczy? Chyba nie. Chłopak po prostu był już bardzo zmęczony.

- Oni po prostu zamierzają ją, czyli Laurę Bush, uwięzić... Albo obydwie prezydentowe. Przecież jeśli chcą wiedzieć, czy mury są grube albo ile jest wejść do jakiegoś pomieszczenia, to taka wiedza nie jest im wcale potrzebna do przekazania listu.

- Podziemia Wawelu zapewne świetnie nadają się do tego, żeby kogoś tam przetrzymywać - odezwałem się.

Chłopak rozkręcił się i byłem przekonany, że nie przestanie mówić. A poza tym powiedział już chyba najważniejsze.

- Tak. I żeby długo się bronić. Zresztą, czy ktokolwiek podejmie decyzję o ataku na porwaczy, którzy uwięzili żony dwóch prezydentów? Przecież któraś może zginąć podczas próby odbicia. Czy znajdzie się odważny, który zdecyduje się zrobić to na Wawelu? Przecież to zabytek klasy zerowej.

- Rzeczywiście, genialny plan. Ale ty tylko się tego domyślasz?

- Wszystkie elementy łamigłówek się zgadzają. Myślałem o tym sto razy i zawsze wychodzi mi to samo.

- No tak, miałeś czas na przemyślenia...

- Wiesz, co także świadczy o tym, że mam rację? To że mnie ten facet uwięził... Przecież gdyby chodziło tylko o wręczenie listu...

- No dobrze, ale co Czeczeni mogą osiągnąć, porywając Laurę Bush?

- Jeżeli nic jej nie zrobią, będą ją traktować z honorami, a zażądają tylko pomocy dla narodu czeczeńskiego, to może świat uzna ich determinację...

- Dobrze mówisz - powiedziała Agata. - To się musi udać.

- Nie macie racji - oświadczyłem. - Terror nigdy nie jest dobrym rozwiązaniem. Zadzwońię do moich znajomych w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Powiem im o tym wszystkim, a poza tym poproszę o pomoc dla nas. Oni na pewno mają specjalistów od ładunków wybuchowych. Więc nas stąd wyciągną. Mnie na szczęście nikt nie zabrał telefonu komórkowego.

Powiedziałem to chyba w złą godzinę.

- Ty wstrętny agencie! - wrzasnęła Agata i ugryzła mnie w rękę, w której trzymałem telefon.

- Aj - wrzasnąłem także, bo naprawdę mnie zabolęło. Niestety, nie utrzymałem komórki. Agata wyrwała mi telefon i z całej siły grzmotnęła nim o podłogę. Usłyszałem, jak części urządzenia rozsypują się po całym pokoju.

- Nigdzie już nie zadzwonisz! Nikomu nic nie powiesz - dochodził mnie jej złowrogi syk z jakichś bliskich ciemności.

- Czy ty wiesz, idiotko, co zrobiłaś? - zapytałem w miarę spokojnie. - My tu zginiemy. Nikt po nas nie przyjdzie. Oni skazali Krystiana na śmierć głodową, chociaż pomagali im, jak tylko potrafił.

- Przyjdą po nas, gdy wykonają zadanie. Za kilka dni. Musimy do tego czasu wytrzymać.

- Jesteś po prostu głupia - byłem wściekły jak nigdy w życiu.

„A więc to tak kończy się ta jesienna historia”, pomyślałem. „Z powodu jednej głupiej blondynki nie uratuję świata ani nie wykryję mordercy pięknej pani Miss. Umrę z głodu w smrodzie i w ciemnościach razem z dwójgim młodych fanatyków. A jeszcze wcześniej zamilknie mój wierny towarzysz życiowy, mój głos wewnętrzny, który nie przetrwa na cuchnącej wodzie”.

Gdy pomyślałem o nim, natychmiast się odezwał:

„Jeżeli jakimś cudem wyjdziemy z tej opresji, zapamiętaj sobie najważniejszą lekcję, która z niej płynie. Bo mądry człowiek każde zdarzenie, które mu się przytrafia, traktuje jak lekcję. Na własnych błędach można nauczyć się najszybciej i najwięcej”.

„Jakaż to lekcja płynie z przypadku pod tytułem »Chatka Ad... Krystiana«? - zapytałem.

„Taka oto, że na ważną akcję nie wolno wyruszać bez pełnej piersiówki”.

Zamilkł, a ja długo jeszcze rozważałem w ciemnej ciszy jego słowa.

## 19

Przysnąłem w kącie kanapy i śniły mi się koszmary. Ostatni miał twarz blondynki w wielkich okularach. Dziewczyna wyglądała w nich jak groźny owad. Nie chciała mnie użądlić, tylko syczała niby żmija.

Coś mnie nagle przebudziło. Dopiero po chwili sobie przypomniałem, gdzie się znajduję. W otaczającej ciszy usłyszałem ciche pochrapywanie Agaty. Była gdzieś w pobliżu. Zapewne w przeciwnym kącie tej samej kanapy. Może jej z kolei śniłem się ja, i to jako potwór? Czyli człowiek na usługach AB W, który przeszkadza jej ukochanym Czeczenom w pokojowej misji porwania żon dwóch prezydentów.

Otworzyłem oczy najszerszej, jak tylko potrafiłem. Podobno to dobry sposób na to, żeby dostrzec cokolwiek w ciemnościach. I wtedy - zamiast coś zobaczyć - usłyszałem cichy chrobot. Chyba dochodził zza drzwi.

„No tak”, pomyślałem „sprawdzają się najgorsze przewidywania Krystiana. Nadchodzą zabójcy albo zabójca. Za kilka dni akcja. Postanowili ostatecznie zlikwidować tych, którzy za dużo wiedzą”.



Wstałem i najciszej, jak potrafiłem, przesunąłem się w kierunku drzwi. Wróg czaił się nie tylko na zewnątrz. Miałem go również obok, a teraz - gdy się ruszyłem - za sobą. Nie wiedziałem przecież, co zrobi ta głupia blondynka.

„Gdzieś tu powinna być belka, którą dostałem w głowę”, macałem po podłodze. „Użyję jej jako broni”.

Wyczułem kawał drewna i podniosłem go z podłogi dokładnie w tym momencie, w którym ktoś próbował przekręcić klucz w drzwiach.

- Stój! - wrzasnąłem.

Zrobiłem to w ostatniej chwili. W lekko uchylonych drzwiach widziałem trochę rozmazaną twarz Antosia.

- Nie wolno ci tu wejść. Dom jest zaminowany - gorączkowo wyjaśniałem dziennikarzowi. - I nie otwieraj szerzej drzwi. Mogą być jeszcze jakieś pułapki. Ja dostałem w głowę tym solidnym kawałkiem drewna.

- Agata też jest z tobą? - zapytał Antoś przez szparę.

- Jestem - powiedziała dziewczyna. Już, jak widać, a raczej słyhać, przebudziła się. - On kłamie, bo jest agentem ABW. Możesz wejść i zatrasnąć drzwi.

- Nie rób tego! - znów wrzasnąłem. - To Agata kłamie.

Przed ładnym dylematem postawiliśmy Antosia. Komu uwierzy? Swojej dziewczynie, ślicznej Agacie, czy też koleźce dziennikarzowi, z którym prowadzi śledztwo?

- Do domu zawsze możesz wejść. To tylko jeden, dwa kroki. Ale mogą one okazać się ostatnimi. Więc najpierw posłuchaj mnie - przekonywałem Antosia.

- On kłamie, kłamie - Agata była bliska hysterii. I nagle wpadła na pomysł: - Zobacz, co mi zrobił.

To było znakomite posunięcie. Antoś, jak każdy zakochany mężczyzna, natychmiast chciał ruszyć na pomoc swej skrzywdzonej damie. W tym celu musiał wejść do środka. A na dodatek we mnie widział już wroga, który uczynił coś złego jego wybrance.

Zastawiłem przejście belką i powiedziałem najspokojniej, jak tylko umiałem:

- Agata jest cała i zdrowa. Przynajmniej na ciele. Bo z głową u niej jest coś nie w porządku. Będiesz mógł sam się przekonać. Jeżeli zaś mnie nie wierzysz, jest tu jeszcze Adrian, pardon, chciałem powiedzieć Krystian. On tam leży w kącie i nie bardzo może się ruszać. To ci, dla których Agata gotowa jest poświęcić nasze życie, zostawili tu chłopaka na powolne umieranie z głodu. Oni też zaminowali chatę. Można do niej wejść. Gdy jednak ktoś spróbuje wyjść, wszystko trafi szlag.

Sporo ryzykowałem. A jeżeli Krystian potwierdzi wersję Agaty? On też przecież jest fanatykiem. Gdy będę miał dwa głosy przeciwko sobie, przegram. Mój spokój zrobił jednak wrażenie na Antosiu.

- Przecież otworzyłem drzwi i nic, kurdemele, się nie stało - powiedział.

„Jest dobrze”, pomyślałem. „Rozmawia ze mną. Zaczynają ważyć argumenty, a nie emocje, jak chciałaby Agata”.

- Myśmy też weszli do środka i, nie licząc potężnego guza, który mam na głowie, wszystko wydaje się być w porządku. Ale obejrzyj dokładnie okna. Do każdego podłączono cienki przewód...

- Tu coś tyka - odezwał się cichy głos z kąta.

- Co? - krzyknąłem.

- To musiało się teraz włączyć, bo przedtem nie słyzałem - dodał Krystian.

- Otwierając drzwi, zapewne włączyłeś jakiś zegar - wyjaśniłem Antosiu.

- To uciekajcie stamtąd, przecież drzwi są otwarte - krzyknął zdenerwowany brodac.

- Są tylko lekko uchylone. A jeżeli w momencie szerszego ich otwarcia nastąpi natychmiast wybuch? Uratuje się najwyżej jedna osoba, która będzie pierwsza

wychodzić.

- To co robić?

- Skąd słyszysz tykanie? - zapytał Krystiana.

- To jest gdzieś blisko. Tuż obok mojego legowiska.

- Daj mi natychmiast latarkę - rozkazałem Agacie.

Chyba ją również przeraziła nowa sytuacja, bo bez słowa wyciągnęła latarkę w moją stronę. Podeszedłem do kąta, w którym leżał Krystian. Pod ścianą leżało niewielkie czarne pudełko, z którego wychodziły dwa przewody. Na wierzchu pojawiały się nieduże czerwone cyferki. 57.06, 57.05, a za chwilę 57.04.

- Jeżeli jest tak jak w filmach - oznajmiłem - to zostało do wybuchu pięćdziesiąt siedem minut.

- Co mam robić? - zapytał Antoś.

- Przychodzą mi dwie rzeczy do głowy. Po pierwsze, możesz zamknąć drzwi. A nuż to diabelstwo się wtedy wyłączy? Albo, co także możliwe, właśnie wybuchnie. Trudno zgadnąć! Może to zrobione jest tak, że, otwierając drzwi, uruchamia się urządzenie? Bomba, jak to się mówi, zostaje uzbrojona. Gdy zaś delikwent zamyka drzwi za sobą, zadowolony, że już czmychnął i jest na zewnątrz, następuje wielkie bum.

- „Po pierwsze” nie podoba mi się. A co jest „po drugie”?

- Możemy spróbować sami to wyłączyć. Bo chyba nie ma już czasu, aby zdążyła tu pomoc.

- A może zadzwonisz do tych swoich znajomych z ABW?

- Tosiek, to ty też wiedziałeś, że on jest agentem? - zdziwiła się Agata.

- Niestety, nie mogę. Miałem ich numer zapisany w mojej komórce. A pani Agata łaskawa była rzucić nią o ziemię. Nie sądzę, żeby działała. Oczywiście komórka, nie Agata. Bo Agata działa, chociaż głupio.

- Miałeś numer zapisany w samym telefonie czy na karcie? - zapytał Antoś.

- Nie rozróżniam takich rzeczy. To twoje pokolenie zna się na telefonach komórkowych. Ja tylko z nich korzystam.

- Więc poszukaj telefonu...

- Jest, zdaje się, w kawałkach...

- Poszukaj, Konrad...

Schyliłem się i zacząłem zbierać z podłogi kawałki mego telefonu. Tęskniłem nieraz (zwłaszcza w rozmówkach z panienkami, przed którymi się wymądrzałem) do czasów przedkomórkowych, które sprzyjały głębszym ludzkim więziom. Ale dzisiejszego wieczoru to małe urządzonek wydawało mi się najważniejszym wynalazkiem w dziejach.

Zbierałem telefoniczne resztki, zaś Antoś, jak słyszałem, rozmawiał przez telefon z Fredkiem.

- Ktoś musi go wsadzić do samochodu i przywieźć tu taj. Nie będzie chciał? Musi chcieć. A czy jest Grzegorz? Tak, ktoś taki. I to jak najszybciej. Mamy jeszcze pięćdziesiąt jeden minut.

Chwilę słuchał, a potem znów nadawał:

- Jest niedziela, nie ma korków. Zresztą zadzwoń do Kropłowy, niech załatwi przejazd przez miasto. To naprawdę sprawa życia i śmierci.

- To wszystko, co znalazłem - podałem Antosiowi przez szparę w drzwiach żalosne szczątki tego, co jeszcze kilka godzin temu było moim osobistym telefonem komórkowym.

Po kilkunastu sekundach wręczył mi cały telefon.

- To mój, ale włożyłem twoją kartę. Możesz dzwonić. Wpisałem imię „Jarek” i okazało się, że numer jest.

- Czy pan Jarek? ... Cieszę się, że mnie pan poznaje. W kilkudziesięciu słowach powiedziałem, co się stało.

Jarek zapisał adres.

- Proszę czekać. Dam panu znać...

- Oddaj mi telefon. Teraz ja muszę zadzwonić - po wiedział Antoś.

Usłyszałem, jak mówi:

- Świetnie... Nie rozmawiajcie z nim wcale. Do worka i dostarczyć na miejsce. Jadą po Stempla - zwrócił się do mnie. - Fredek i Grzegorz. Wiesz, Grzegorz to były zapaśnik. Ze sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi. Pracuje w dziale sportowym.

- Dobrze, ale teraz znów musisz zmienić kartę, bo ja czekam na telefon z ABW - powiedziałem.

- Nie ma sprawy.

Podał mi aparat. Czekając, uciałem sobie z nim przez szparę w drzwiach pogawędkę.

- Jak nas właściwie znalazłeś? - zapytałem.

- Niepokoiłem się. Twój telefon nie odpowiadał i Agata nie odzywała się. A umówiliśmy się, że zadzwoni, jak tylko znajdziecie letni dom Krystiana. Na jej stoliku (bo poszedłem do niej zobaczyć, co się dzieje) znalazłem numer telefonu do Bożeny. Zadzwoniłem i, kurdemele, dowiedziałem się, gdzie jest ten domek. Pożyłem samochód i przyjechałem. Gdy zobaczyłem przed chatą moje polo, wiedziałem od razu, że jesteście gdzieś w pobliżu. Potem spostrzegłem klucz w drzwiach. Nawet nie musiałem go przekręcać, bo właściwie drzwi były otwarte. Wystarczyło, kurdemele, nacisnąć klamkę.

- Niepokoiłeś się o swój samochód - powiedziała Agata.

- Przede wszystkim o ciebie i Konrada. A ponieważ jesteś tylko niedzielnym kierowcą, bałem się rzeczywiście, czy nie przytrafiło się wam coś w drodze.

- Oto mężczyzna, tylko mu w głowie samochód - Agata była dziś obrażona na cały świat, który ją zawodził. Antoś wierzył raczej mnie niż jej, więc też stawał się wrogiem.

- Jesteś niesprawiedliwa - powiedział tylko brodac.  
I zamilkł.

Zadzwoił telefon.

- Za chwilę wyleci śmigłowcem dwóch pirotechników - oznajmił mi Jarek. - Powinni być na miejscu za kilkanaście minut.

Podszedłem do tykającego urządzenia i spojrzałem.

- To znakomicie. Mamy jeszcze trzydzieści dziewięć minut do wybuchu.

- Proszę czekać na mój kolejny telefon.

Wróciłem do szpary z Antosiem w tle i zapytałem:

- Czy nie możesz tak zrobić, żebyśmy mogli korzystać z jednego telefonu, bez ciągłej wymiany tych kart?

- Oczywiście, wklepię twoje ważne telefony na moją kartę. Tylko musisz poinformować tych facetów z AB W, że teraz mają dzwonić na mój numer.

Antoś usiadł na kamiennym schodku i zabrał się do roboty. Ledwo widziałem przez uchylone drzwi jego długie włosy. Świat ciemniał i zacierały się różnice między tym, co na zewnątrz, i w środku domku. Wszędzie był podobny mrok.

- Proszę, zrobione - podał mi komórkę. - Zatelefonuj do swojego człowieka i powiedz mu, żeby od tej chwili używał numeru, z którego teraz dzwonisz.

Zadzwoiłem i wyjaśniłem sprawę. Dowiedziałem się, że śmigłowiec za chwilę wystartuje.

- Były pewne trudności techniczne, ale podobno już je pokonano.

Znów przeszedłem się w ką i przekazałem memu rozmówcy:

- Wylucimy w powietrze za trzydzieści jeden minut.

- Poganiam ich, jak tylko mogę - powiedział Jarek.

Usiadłem na podłodze w pobliżu Krystiana i czekałem.

- Chciałbym jeszcze kiedyś spróbować dobrego wina, zjeść grecką sałatkę, a potem wypić kieliszek koniaku - powiedziałem właściwie do siebie.

- Byłem tu, w tym domku, przez dwa tygodnie wakacji z Bożeną. Naprawdę było fajnie - równie cicho odezwał się Krystian. - To wspomnienie pomagało mi przetrwać, kiedy wydawało mi się, że zwiariuję w tych ciemnościach.

I tak sobie gadaliśmy, a właściwie monologowaliśmy. On wspominał, ja marzyłem. Każdy na swój sposób próbował odsunąć od siebie myśl o tym, co nieuchronnie nadchodziło. Jeżeli ktoś wam powie, że sytuacja ostatecznego zagrożenia zbliża ludzi, nie wiercie mu. Ja czułem się strasznie samotny. Ta tykająca bomba, która precyzyjnie wyliczała minuty i sekundy, jakie nam jeszcze zostały, wcale nie zbliżała mnie do Adriana czy Krystiana. Było mi wszystko jedno, nie tylko jak on ma na imię, ale i czy zginie razem ze mną czy osobno.

Znów spojrzałem na cyferki odmierzające czas na szatańskim urządzeniu w kącie: 26.53.

- Krystian, jesteś inteligentnym facetem, spojrzysz na to diabelstwo. Może wymyślisz, jak to zatrzymać?

- Jestem historykiem sztuki. Żebym był chociaż inżynierem...

- Ale bardzo sprawnie posługujesz się mózgiem. Jeżeli to ustrojstwo ma wysłać sygnał do bomby, to może wystarczy przeciąć przewód? Nie będzie sygnału, to nie będzie też wybuchu.

- W filmach, które widziałem, przecięcie niewłaściwego przewodu powoduje natychmiastowy wybuch.

- No tak, ja chyba widziałem te same filmy. Szkoda, że tak mało chodzę do kina.

- Coś słyszysz! - zawołał przez szparę w drzwiach Antos.

Teraz i ja usłyszałem daleki klakson samochodu. Ktoś pędził, trzymając właściwie całą czas rękę na sygnale.

- Jedzie pomoc - powiedziałem.

- Pokażę im się, łatwiej trafią - zawołał Antoś i pobiegł, jak usłyszałem, w kierunku furtki.

W tej chwili telefon, którego nie wypuszczałem z ręki, zadzwonił.

- Antoś? - usłyszałem głos Fredka. - Jesteśmy już chyba blisko...

- Nie Antoś... Czy to wy zawiadamiacie świat o tym, że jedziecie? Tak? Już was słyszać, więc musicie być niedaleko...

- Jak tam w ogóle? Trzymacie się jakoś?

- Oczywiście. Mamy jeszcze przed sobą - rzuciłem okiem w kąt - dwadzieścia dwie minuty i pięć, nie, już tylko cztery sekundy życia. To dużo czasu.

- Widzę Antosia, zaraz będziemy - oznajmił Fredek.

Po chwili już słyszałem go za drzwiami. Antoś coś im mówił, zdaje się, pokazywał przewody przymocowane do okiennic.

- Wiesz - usłyszałem głos Stempla - to chyba proste.

Podszedł do drzwi i zaczął konferencję ze mną. Gdy mu powiedziałem, że zostało dwadzieścia jeden minut, zaśmiał się:

- Dużo czasu, zdążymy zwać przed wybuchem.

- Ja ci zwięję - rzucił groźnie Antoś.

Stempel wypytywał mnie o kształt i wielkość urządzenia. Powiedział, żebym podniósł je do góry i opisał od spodu. Chciał wiedzieć, skąd wychodzą przewody i jakiego są koloru.

- Ja bym przeciął czerwony - oznajmił wreszcie.

- Dajesz głowę? - zapytał go Antoś.

- W tych sprawach nigdy, wiesz, nie można dać głowy - odpowiedział i znów wrócił do rozmowy ze mną: - Mamy sporo czasu, więc zobacz, dokąd prowadzą.

- Przewody? — upewniłem się.

- No...

- Jeden znika w ścianie...



- Koło okna?
- Tak.
- A drugi?
- Pod łóżkiem Krystiana.
- To odsuńcie łóżko.

Krystian zwał się z legowiska i nawet próbował mi pomóc w jego odciążeniu.

- Przewód jest dołączony do metalowej tulejki...
- Opisz dokładnie, jak wygląda, no wiesz.

Podaliśmy mu jej długość, kolor, średnicę.

- Chodź tutaj, dam ci mocniejszą latarkę - powiedział Stempel.

Podszedłem do drzwi i Stempel wręczył mi wielką latarkę. A także lupę. Wyglądało, że nosi to podstawowe wyposażenie saperskie stale ze sobą.

- Obejrzyj dokładnie tulejkę i przeczytaj mi, wiesz, wszystkie napisy, jakie znajdziesz.

- Znalazłem tylko poziomą ósemkę.

- Znajoma robota - przyznał. - Tnij czerwony przewód, blisko tulejki, wiesz.

- Ale czym?

- Podejdz, dam ci kombinerki...

Gdy podszedłem do drzwi, usłyszałem: nadlatywał śmigłowiec.

- Dajcie im znać, że to tu - zawołałem do Fredka i Antosia. - Zapalcie ognisko albo przynajmniej włączcie reflektory w samochodach.

- Konkurencja? - zapytał Stempel. - To ja się zmywam.

- Poczekaj - poprosiłem. - Może skonsultujecie swoje oceny sytuacji?

- Nie ma już czasu, wiesz, na konsultacje - powiedział. - Zostało tylko sześć minut.

Był naprawdę dobry, nawet kontrolował czas.

- To mam ciąć?

- Tnij. Widzisz, że stoję obok drzwi i też ryzykuję.  
- Krystian, idź na drugą stronę, do Agaty - rozkazałem.

- Zastaniasz mi świat i nic nie widzę.

Odczekałem, aż chłopak się oddalił. Spojrzałem na migające cyferki. 4.56.

„To prawie pięć minut życia”, pomyślałem. „Sporo. Może jeszcze je jakoś wykorzystać?”.

Ale nie miałem żadnego dobrego pomysłu na zagospodarowanie tych pięciu, nie, już tylko czterech minut z kilkoma sekundami. Chwyciłem mocnym ruchem kombinerki i nachyliłem się nad tulejką. Wcale nie pociełem się, ani nie drżały mi ręce, jak u bohaterów podobnych scen w filmach. Widziałem wyraźnie w świetle latarki dwa przewody.

- Obydwa są czerwone! - krzyknąłem. - Stempel, obydwie są czerwone!

- A to skurwysyn! Podmienił przewody.

- Co mam zrobić? - wrzeszczałem. - Zostały trzy minuty i dwadzieścia sekund.

- Zróbcie tak - Stempel powiedział spokojnie i powoli.

- Ty weź tę tulejkę, a chłopak tykające urządzenie. I powoli przynieście je tutaj. Przewody są pewno długie, powinny wystarczyć. Tylko nie szarpacie, wiesz.

- Ale chłopak ledwo się rusza...

- Ja to wezmę - oznajmiła Agata.

Podeszła i stanęła przy tykającym diabelstwie. Położyłem na łóżku Krystiana dużą latarkę w taki sposób, żeby oświetlała nam drogę do drzwi. Zaś mniejszą po prostu chwyciłem w zęby.

- Podnosimy na trzy - powiedziałem do Agaty.

Każde z nas nachyliło się nad swoim... przeznaczeniem.

- Dwa i... trzy - wzięliśmy w ręce te straszne urządzenia i delikatnie niby niemowlaki ponieśliśmy je Stempelowi. To było zaledwie kilka kroków.

- Daj latarkę - poprosił Stempel i wyciągnął mi ją z ust. - I kombinerki.

Popatrzyłem na cyferki: 0.59.

Teraz Stempel chwycił zębami latarkę. Podniósł delikatnie tulejkę i powoli ją sobie obejrzał. Coś mruknął, ale trudno go było zrozumieć. Usta miał przecież zajęte. Przytrzymał tulejkę prawą ręką, w której miał tylko dwa palce, zaś lewą przeciął przewód.

Tykanie ustało. Dopiero teraz, gdy usłyszałem ciszę (czy można usłyszeć ciszę?), uświadomiłem sobie, że choć nie było głośne, to przez ostatnie minuty cały czas je słyszałem. Spojrzałem na cyferki. Nie migają. Milczące już urządzenie pokazywało 0.21.

...Wygrał pan od losu dwadzieścia jeden dodatkowych sekund. W jaki sposób zamierza je pan spożytkować? Proszę mówić, zainteresowana publiczność czeka na pańską odpowiedź! Co? Nie wie pan? No tak, jak zwykle wygrane trafiają nie do tych, co na nie zasługują. Los działa po omacku. Niech więc pan już idzie i nie zawraca nam głowy. Zapytamy tę panią, która się zbliża. Pani Agato, wygrała pani...

Za drzwiami zrobił się rumor. To pirotechnicy, przysłani przez Jarka, stawiali się do roboty.

- Możecie wyjść! Chodźcie! - zawołał Antoś.

Otworzyliśmy szeroko drzwi i wyszliśmy z chaty. Najpierw Agata, potem ja z Krystianem uczeptionym mego ramienia.

- Jak pięknie pachnie mokra ziemia - powiedział ci cho chłopak.

Pirotechnicy weszli do środka, żeby wszystko sprawdzić. Zza najbliższych drzew słyszałem głosy Antosia i Agaty. On chyba, zamiast cieszyć się, że los oddał mu dziewczynę w jednym kawałku, gniewał się za coś.

- Gdzie jest Stempel? - zapytałem Fredka, gdy już mnie wyściskał i prawie wyciął. - Chciałbym mu podziękować.

- Nie widzę go nigdzie. Chyba, szanowny, zmył się, gdy zobaczył konkurencję, wiesz.

Roześmieliśmy się obydwaj.

- A ten słynny zapaśnik, o którym wspominał Antos?

- On mi tylko pomógł przekonać Stempla... Został w Krakowie. Uznałem, że stanowi za duże obciążenie dla samochodu. A domyślasz się chyba, szanowny, że dziś trochę mi się spieszyło.

- Rzeczywiście przyjechałeś bardzo szybko. Nawet szybciej niż przyleciał śmigłowiec.

- Jechałem na skróty - zażartował Fredek - a oni chyba trzymali się głównej drogi. Mówiąc prawdę, jeszcze nigdy w życiu nie złamałem tylu przepisów drogowych. Gdyby mnie podliczyła drogówka, to chyba przez rok nie zarobiłbym na mandaty.

- I co teraz?

- Ja powinienem do redakcji... Numer czeka. Gazeta musi się przecież jutro ukazać.

- Kto odwiezie Krystiana do domu? - zapytałem. - Chyba powinien go jak najszybciej zobaczyć lekarz.

- Może ja? - zaproponowała Agata. - Są trzy samochody, więc i tak muszę jednym pojechać. Czy mi pozwolisz, jako niedzielnemu kierowcy? - zwróciła się do Antosia.

- I to kierowcy po przejściach - dodał Fredek. Antos milczał.

- Ostatecznie jest niedziela - oświadczyłem. - A kiedy właściwie mają jeździć niedzielni kierowcy jak nie w niedzielę? Zaś po przejściach jesteśmy chyba wszyscy.

- Dobrze - zgodził się wreszcie Antos. - Jedź powoli i ostrożnie.

- To dziś jest niedziela? - zapytał Krystian.

- Tak - odrzekłem - a jutro będzie poniedziałek.

- Czy to w tym tygodniu? - zapytał znów chłopak.

Nie musiał mówić więcej. Wszyscy wiedzieliśmy, o co mu chodzi.

- Tak, ale dzisiaj już o tym nie myśl. Odpocznij, wyśpij się, może nawet coś zjedz, choć z tym raczej nie przesadzaj. A jutro skontaktuję cię z ludźmi z ABW... Dobrze? Opowiesz im wszystko, co wiesz, i to wszystko, co wymyśliłeś tutaj, w czasie tych ciemnych, milczących dni.

- Zgoda - powiedział cicho. A potem już głośniejszym głosem zwrócił się do jednego z pirotechników, który w świetle dużego reflektora badał przewody przymocowane do okiennicy: - Jak skończycie panowie, zamknijcie chatę i włóżcie klucz pod ten kamienny schodek. Bombę możecie sobie zabrać.

Fredek zamknął drzwi do swojej redakcyjnej kanciapy, czego w zasadzie nigdy nie robił, i wyciągnął butelkę francuskiej brandy.

- Uczynię dla ciebie dzisiaj wyjątek, przyjacielu - oznajmił, po czym nalał mi kieliszek. - Bo generalnie potępiam picie alkoholu w redakcji.

- A ty nie napijesz się?

- Może później, po robocie. Teraz muszę się pośpieszyć.

Siedzieliśmy więc sobie we dwóch, ja z kieliszkiem lekko ukrytym za stosem papierów (a nuż ktoś wejdzie), zaś Fredek z kubkiem kawy. On przeglądał kolumny poniedziałkowego wydania gazety, a ja próbowałem myśleć.

- Wiesz co - powiedziałem - nalej mi do kubka. Nie będę musiał się kryć jak uczeń.

Mój przyjaciel szanowny spojrzał na mnie z rezygnacją. Dzisiaj nie był w stanie niczego mi odmówić.

Siedzieliśmy więc sobie nadal we dwóch, tyle że teraz obydwaj z kubkami przed sobą. Antosia nie było, gdyż został wysłany „w miasto”, aby zbierać materiały do artykułu o zabójstwie Agnieszki. Nie może przecież zabraknąć w gazecie tego tematu. Bo dla redaktora

Kłonicy liczą się fakty. Że zbliża się koniec świata? „Jak nadejdzie, na pewno o nim napiszemy - powiedziałby zapewne Fredek, gdybym go o to zapytał. - Ale dopiero nazajutrz. Bo przecież nie możemy wyprzedzać zdarzeń. My nie kreujemy rzeczywistości. My ją tylko opisujemy”. Wyobraziłem sobie ten tekst: „Nasi dziennikarze uzyskali potwierdzenie z dwóch niezależnych źródeł, że koniec świata istotnie miał miejsce w dniu wczorajszym w późnych godzinach popołudniowych. Świat już nie istnieje. W kolejnych wydaniach gazety nasi korespondenci będą informować o dalszym przebiegu wypadków”. Po prostu doskonała robota dziennikarska, z zachowaniem wszelkich reguł sztuki.

- Spędziłeś, zdaje się, z Agnieszką Trocheńko ostatnie godziny jej życia? - spytał nagle Fredek.

Niby wpatrywał się w jutrzejsze wydanie gazety, ale wydało mi się, że czeka niecierpliwie na moją odpowiedź.

- Nie wiem, czy ostatnie. Odprowadziła mnie na pociąg do Warszawy. Nie mam pojęcia, gdzie potem poszła, co robiła, z kim się spotkała.

- Odtworzenie tego wszystkiego może mieć kapitalne znaczenie.

- Antoś na pewno wie to doskonale. I policja - sądzę - również.

- A ty podejrzewasz kogoś?

Było to trudne pytanie. Przez moment zdawało mi się, że Fredek podejrzewa właśnie mnie. Wystarczyło, że byłem blisko Agnieszki na kilka godzin przed jej śmiercią. Łatwo więc kogoś oskarżyć tylko dlatego, że znalazł się przypadkiem w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie.

- Znam kilka osób, które mógłbym podejrzewać. Ale na pewno jest sto albo więcej osób, o których nic nie wiem, a które mogą być podejrzane przynajmniej w takim samym stopniu. Przecież to była bardzo aktywna dziewczyna, prowadziła mnóstwo interesów. Miała,

zdaje się, kontakty z mafią, komuś zalegała z pieniędzmi. Poznałem mężczyznę, który ją szaleńczo kochał, a ona tylko śmiała się z tej miłości. Czy zazdrość może być motywem morderstwa? Podobno tak. Czytałem o takich przypadkach w powieściach i widziałem je w filmach.

Fredek milczał, więc dodałem jeszcze:

- Nie można też wykluczyć jakiegoś psychopaty. To była przecież Miss Polski, najpiękniejsza dziewczyna. Powinna mieć goryli, stale uważać na siebie. A ona tylko ukrywała urodę. Taka była jej ochrona.

- Może natknąłeś się na coś zastanawiającego, odbiegającego od normy?

- Fredku, wokół tej dziewczyny niemal wszystko było dziwne. A i ona sama... Wystarczy przypomnieć kilka godzin, które spędziłem z nią w piątek. Najpierw włamanie do szantażysty, w czym jej trochę pomogłem, a potem tajemniczy trup w krakowskim mieszkaniu.

- Antoś musi to posprawdzać. Bo ty nie chcesz zajmować się w tej chwili dziennikarskim śledztwem?

„Dlatego mnie podejrzewasz, że nie wykazuję dostatecznego zainteresowania morderstwem pani Miss?” - zadałem w myślach pytanie Fredkowi.

- Chciałbym, ale nie mogę. Z prostej przyczyny. Uważam, że w tej chwili najważniejsza jest sprawa czecheńskich terrorystów. Oczywiście, że trzeba odnaleźć mordercę Agnieszki. Nie mam jednak tak podzielnej uwagi jak ty. Nie potrafię zajmować się wszystkim naraz.

- Ja muszę. W takiej gazecie jak nasza, z małym zespołem...

Fredek tłumaczył coś tam nadal, ale ja już nie słuchałem. Dobrze go rozumiem. Gazeta musi napisać o morderstwie krakowskiej i ogólnopolskiej Miss. Sprawą będzie jutro żył Kraków i zapewne cała Polska. Zresztą nie tylko jutro. Również pojutrze i popojutrze. Do momentu kolejnej wielkiej sensacji. Wiedziałem, jaka



będzie ta następna sensacja. Niestety.

Choć miałem wciąż nadzieję, że mimo wszystko tej nowej sensacji nie będzie. Gazecie Fredka potrzebne są dziennikarskie bomby. Ale dla mnie ważniejszy od interesu gazety, w której mój przyjaciel ma jeden i ćwierć procenta udziałów, jest interes tego biednego, nękanego wciąż przez rozmaite nieszczęścia kraju. I osobiście dosyć mam bomb, bomb każdego rodzaju.

Czy w ogóle ta opowieść nie staje się z wolna bombową historią? Przyznaję, że trochę martwi mnie przebieg tego, co opowiadam. Terroryzm światowy i morderstwo Miss Polski - czy to nie za wiele jak na jedną książkę? A teraz jeszcze dwa równoległe dochodzenia. Czy czytelnicy szanowni nie pogubią się w tym wszystkim? Przecież nie każdy ma tak podzielną uwagę jak redaktor Alfred Kłonica.

Drzwi się otworzyły i wsunął się Antoś. Włos jak zwykle rozwichrzony, broda podobnie. Widać było, że jest w ferworze śledztwa.

- Miałem po drodze - powiedział, jakby musiał się tłumaczyć, że zachodzi do redakcji, w której pracuje na pełnym etacie.

- Coś nowego, szanowny?

- Rozmawiałem z Kroplową. Nie chce, kurdemele, nic powiedzieć, odsyła do rzecznika prasowego.

- Z rzecznikiem to rozmawiają wszyscy. W każdej polskiej gazecie będą te same informacje - stwierdził Fredek.

- Ale przy okazji trafiła mi się, kurdemele, gratka. Zaciekał nas.

- Przesłuchują człowieka, który podobno widział mordercę. Trwa to już wiele godzin. Jest bardzo niezadowolony z policji. Sam się zgłosił, a oni go traktują - zdaje się - jako podejrzanego. Udało mi się, kurdemele, poszeptać z nim na korytarzu. Obiecałem pomoc redakcji za opowieść o tym, co widział. Mam jego namiary.

- A jeżeli go zapudłują? - spytał Fredek.  
- Poczekamy, zobaczymy.  
- Coś zanadto filozoficznie jesteś dzisiaj usposobiony - rzekł Fredek. - Jak nie dziennikarz śledczy, któremu powinno się śpieszyć, ale Sokrates jakiś albo świętej pamięci ksiądz Tischner. Ja potrzebuję artykułu. Trzymam dla niego miejsce na pierwszej stronie. Nie zostało ci dużo czasu.

- Jeszcze coś wiem.

Znów udało mu się nas zaciekawić.

- Poszedłem tropem szantażysty.

Dałem wcześniej Antosiewi wizytówkę właściciela sklepu z winami. Niech go dopadnie i pomęczy. Jeżeli rzeczywiście szantażował Agnieszkę, a ta zabrała mu dokumenty, które służyły łajdakowi do niecnego procederu, to... No właśnie, co? Szantażyści rzadko posuwają się do mokrej roboty. To są tchórze, a morderstwo wymaga jednak swoistej odwagi.

- Najpierw popytałem trochę, co to za facet. Mam w tej branży dobrze zorientowanego człowieka - opowiadał Antoś. - I wiecie, co mi wychodzi?

Oczywiście nie wiedzieliśmy.

- Że ten facet jest tak samo podstawiony jak właściciel hurtowni win. Podobno ten elegancki sklep z alkoholem należy do... no, zgadnijcie!

- Do Mikołaja Adajewicza zapewne - powiedziałem spokojnie i pociągnąłem łyżeczek z kubka.

- Proszę, jaki domyślny. Masz rację, tak wynika z informacji, które mi przekazano.

- A wiecie - oznajmiłem - w tym sklepie zdawało mi się, że właściciel przypomina poznanego wcześniej pensjonariusza Domu Brata Alberta. Tego niby właściciela hurtowni. Facet ze sklepu był lepszego sortu, może dlatego objął bardziej elegancki interes, ale jest w nich niewątpliwie podobieństwo.

- Zadzwoiłem do człowieka - mówił dalej Antoś - i dałem mu do zrozumienia, że dużo o nim wiem. Więc zgodził się porozmawiać. Chociaż mocno się opierał.

- Ty masz dar przekonywania - powiedziałem. - Pamiętam twoje rozmówki ze Stemplem.

- Umówił się ze mną na takim placyku... Nie chciał w domu ani w knajpie. Zastanawiałem się, dlaczego. Czegoś się boi, kurdemele? Rzeczywiście, wybrał ciemne miejsce, do najbliższej latarni trzydzieści metrów. Może nie chciał, żeby nas ktoś zobaczył razem? Podczas całej rozmowy jakoś dziwnie się kręcił, odwracał ode mnie, zasłaniał twarz. I wiecie co?

Oczywiście znów nie wiedzieliśmy.

- Facet był mocno poobijany. Dostał nielicho po mordzie. Być może nie tylko po mordzie, ale sekcji całych włók nie przeprowadzałem.

- Któż go tak nieuprzejmie potraktował? - zapytał Fredek.

- Najpierw myślałem, że jeżeli facet zarabia na szantażu, to może raz trafił na kogoś, kto mu spuścił łomot. Ale gdy zacząłem delikatnie go podprowadzać, zauważyłem, że nic nie chwyta. Nie ta droga, pomyślałem.

- Czyli to bujda z tym szantażem? - zapytałem.

- Na to wygląda. W każdym razie nie ten facet jest szantażystą.

- Czy jest w ogóle jakiś szantażysta?

- Skojarzyłem dwa fakty: to, co mówił Konrad o tym szantażu, i to, czego ja się dowiedziałem. Więc go pytam, czy dostał baty za to, że dał sobie wykraść papiery. Nie powiedziałem, jakie ani czyje. Wykręcał się, nie chciał mówić, ale go podpuściłem A on, niechętnie co prawda, lecz w końcu potwierdził.

- Czyje to były papiery? - zapytałem.

- Oczywiście Koli. I on pobił swego człowieka, że dał się okraść.

- Agnieszka twierdziła, że nic nie znalazła. Dlatego poszliśmy w to drugie miejsce, gdzie czekał na nas cierpliwie, bo nie mógł już nigdzie powędrować, dżentelmen w dżinsowym ubranku.

- Facet mówi, że nie wie, co to było, ale rzeczywiście Kola coś u niego przechowywał. On w ogóle się do tego nie mieszał. W końcu to Adajewicz był prawdziwym właścicielem sklepu. Kola trzymał swoje rzeczy w zamkniętej szufladzie...

- Jak u Marianny - zauważyłem.

- Facet nie wie, kiedy to coś znikło. Nie kojarzy tego z twoją wizytą w sklepie...

- Pytałeś go o mnie? - przestraszyłem się trochę.

- Żartujesz! Oczywiście, że nie.

- To może inny złodziej to tajemnicze coś ukradł wcześniej i Agnieszka rzeczywiście nic nie znalazła? - rzekłem.

- On powiedział mi tylko tyle, że wczoraj, czyli w sobotę po południu, przyszedł Kola, zajrzał do szuflady i cholernie się wkurzył.

- Wszystko pięknie, ale co ty szanowny napiszesz? Przecież to są same przypuszczenia - zaniepokoił się Fredek.

- Zaraz siadam do komputera i napiszę to, co jest w miarę pewne. Gdzie, kiedy, że zastrzelona i że jest świadek. To, zdaje się, tajemnica policji i nikt więcej o tym nie wspomni.

- Ja nie wiem, gdzie i kiedy. Powiedz - poprosiłem.

- Późnym sobotnim wieczorem. W hurtowni win, w której byliście z Fredkiem.

- Co ona tam robiła? - zawałałem. - Przecież hurtownia była chyba zamknięta o tej porze.

- Policja szuka właściciela hurtowni, tego formalnego, bo o Koli chyba nie wiedzą...

- Teraz szybko odkryją ten układ. To jest sprawa o morderstwo - powiedział Fredek. Znów dziwnie na mnie spojrział. On naprawdę umieścił mnie na liście podejrzanych.

- Policja szuka też taksówkarza, który podobno przywiózł Agnieszkę.

- Napisz o tym. Może się zgłosi? - zasugerował Fredek.

- To dobry pomysł - zgodził się Antoś.

- Czy nie za późno na telefon do twojej siostry i ewentualne wyciągnięcie Marianny na krótki spacer? - zapytałem Fredka.

- Skąd ci przyszła nagle do głowy Marianna?

- Dobrze określiłeś, przyszła mi nagle do głowy. Chciałbym ją o coś zapytać.

Fredek sam zadzwonił do siostry.

- Ty się martwisz, czy właściwa pora na telefon, a dziewczyny jeszcze nie ma. Wyszła na spacer i nie wraca.

- Z psem?

- Nie, psa przecież zabrał właściciel.

- Rzeczywiście, zapomniałem. To może umówiła się z Jakubem?

- Jakim Jakubem? Widzę, że wiesz o niej wszystko.

- Wszystkiego nie, nawet myślę, że wiem o niej bardzo mało. A Jakub to właśnie właściciel Kraba.

- Kraba? - Fredek był chyba na etapie Aleksa.

- Tak naprawdę nazywa się pies.

- Aha. A Marianna podobno lubi wracać późnym wieczorem. Tak było również wczoraj.

- Czyli w dniu morderstwa - stwierdziłem.

- Czy coś sugerujesz, szanowny? Bo nie nadążam.

- Też niestety nie nadążam - powiedziałem. - A w ogóle to padam na pysk. Jakbym to ja, a nie Adrian, wyszedł dziś po wielu dniach spędzonych na głodniaku (i bez kropli wiadomo czego) w ciemnej chacie.

- Chyba masz na myśli Krystiana? - zapytał Antoś.

- No widzisz, ja już błędę we wszystkim, nawet imiona mi się mylą.

- To może nie czekaj na mnie, szanowny, tylko jedź do garsoniery. Masz tu klucze. Ja przyjadę, jak zamknę numer.

Spojrzałem na niego z wdzięcznością i zarazem z podziwem. Z wdzięcznością, bo rzeczywiście byłem potwornie zmęczony. Zaś z podziwem dla jego odwagi. Nie bał się zaprosić mnie na noc, choć podejrzewał o morderstwo. Może sądził, że morduję tylko piękne kobiety, co najmniej z tytułem Miss? A on się przecież do takich na pewno nie zaliczał.

## 21

Jak nie leje, to pada. Jak nie pada, to mży. Jak nie mży, to czarne chmury wiszące nad miastem zapowiadają, że deszczowy cykl zacznie się zaraz od początku: znów będzie lało, padało, mżyło.

Szedłem przez mokre Planty i narastało we mnie głębokie przekonanie, że nie jest to pogoda, przy której mogę coś zdziałać. Nawet w lecie, gdy świeci słońce, nie jestem typem szczególnie aktywnym. Zaś jesień i zimę - pamiętałem dobrze radę Jadzi - powinienem po prostu przesypiać jak niedźwiedź.

Już z daleka zobaczyłem charakterystyczną postać księcia Augusta w płaszczu do ziemi i czarnym kapeluszu. Umówiliśmy się w tym samym miejscu, w którym przedwczoraj - tak, to było zaledwie dwa dni temu, trudno wprost uwierzyć - go zaczepiłem. Zadzwonił do mnie przed godziną. Dziś dopiero dowiedział się o Agnieszce. Z gazety, bo telewizora nie ma i telewizji programowo nie ogląda. Nie bardzo mógł mówić, słyszałem w telefonie jęki i piski, jakie wydaje zraniony ptak.

Podaliśmy mu rękę na przywitanie, ale w chwilę potem spontanicznie, choć niezręcznie, objęliśmy się i uściskali.

- Nie uratowałem jej, nie uratowałem - jęczał książę.

Jego oczy płonęły jak przy czterdziestu stopniach gorączki. Ja zaś milczałem. Bo cóż można powiedzieć w takiej chwili.

- Auguście - odezwałem się wreszcie - chodźmy na courvoisiera. Dzisiaj ja stawiam.

Kiwnął głową na zgodę.

Usiedliśmy w znajomej kawiarence nad kieliszkami znakomitego trunku i raczej milczeliśmy. I choć była tak samo wczesna pora, jak dwa dni temu, August pił koniak bez żadnych oporów. „Więc wszystko zależy od okoliczności, a nie od pory dnia”, zrozumiałem. I od razu wymyśliłem złotą myśl. „Kiedy masz ochotę napić się, nie czekaj z tym do zachodu słońca. Bo zachodu możesz nie doczekać”. Złota to może ona nie była, ale srebrna na pewno.

Książę wydał znów jakiś ptasi dźwięk. Koniak jednak zadziałał i teraz wyglądał, jakby gorączka obniżyła mu się do trzydziestu ośmiu z kreskami.

- Wariuję - powiedział wreszcie. - Biję głową w mur, że nie zrobiłem czegoś więcej, żeby ją ratować. Trzeba było związać ją i siłą zawieść gdzieś na wieś. Trzymać pod kluczem i nie wypuszczać. Ale bałem się, że mnie wyśmieje. Gdy mówiłem jej o mojej miłości, ona najczęściej śmiała się tylko.

Pomachałem do pani za bufetem, żeby dołała księciu koniak. Ja zaś postanowiłem przepuścić jedną kolejkę. (Nie poznajecie mnie? To naprawdę ja, wasz autor. Braliście mnie może za pijusa, alkoholika, moczymordę? Widzicie więc, szanowni, że to nieprawda. Ja potrafię powstrzymać się, kiedy trzeba. Przyznaję, w nocy dokończyliśmy z Fredkiem butelkę stocka. Byłem potwornie zmęczony, lecz nie usnąłem aż do jego powrotu z redakcji. Wypiliśmy po dwa kieliszki. Statystycznie. To znaczy ja cztery, a on w ogóle odpuścił. Teraz wciąż szumiały mi w głowie resztki alkoholu. Za wcześniej



wstałem. Pijąc stocka, upijesz się w sztuk. Ale od courvoisiera też może wziąć cię cholera).

Nie byłem pijany, o nie. Tylko wciąż zmęczony. Patrzyłem jednak zupełnie trzeźwo na księcia Augusta i snułem PLAN. Potrzebny nam wariat. I to wariat nie udawany, wariat najprawdziwszy. Taki, który swoim wariackim umysłem odgadnie zamiary czeczeńskich szaleńców. Czy książę nie nadaje się najlepiej do tej roli? Jest bez wątplenia zwariowany. Sam się do tego przyznaje. Nieważne, czy oszalał z miłości do Agnieszki, czy też zarazki obłędu otrzymał od swych arystokratycznych przodków wraz z błękitną krwią.

- Auguście - zacząłem - za kilka dni stanie się coś strasznego.

- Nic strasniejszego już stać się nie może... Moje życie straciło sens, ja nie chcę żyć kilku dni. Chcę umrzeć, najlepiej dziś, zaraz.

- Umrzeć zawsze zdążysz - powiedziałem. - Nie znam nikogo, kto spóźnił się na własny pogrzeb.

Jakub, właściciel Kraba, i, zdaje się, miłośnik Szekspira, uznałby zapewne tę myśl za godną autora Hamleta.

- A teraz wypij tego courvoisiera, to zamówię ci jeszcze jedną lampkę. Ja też, jak widzisz, mam pusty kieliszek - namawiałem go.

- Próbujesz mnie upić...

- Skądże, jesteś mi potrzebny trzeźwy...

- Potrzebny? Do czego, mój panie?

- Twoi przodkowie wielokrotnie wyżej od prywaty stawiali sprawy ogółu. Czy nie tak?

- Różnie z tym bywało. Częściej raczej na odwrót.

- No wiesz, chyba nie zamierzasz oczerniać swego rodu?

- Jestem z wykształcenia historykiem - powiedział zupełnie normalnym już głosem August - i cenię prawdziwy obraz dawnych czasów. Niestety, prawda o moich przodkach nie zawsze jest przyjemna.

Nie ma specjalnie czym się chwalić.

Musiałem mu przerwać, bo rozmowa potoczyła się nie tak, jak zamierzałem, a i on sam coś za bardzo mi normalniał. Ja przecież potrzebuję wariata.

„Chyba to ty oszalałeś” - odezwał się mój głos wewnętrzny. - „Ze cała ta historia jest zwariowana, nieprawdopodobna i nierzeczywista, to fakt. Ale to nie znaczy, że jedyną receptą pozostaje wariat”.

„A widzisz jakieś inne rozwiązanie?” - zapytałem. I dodałem: - „Przecież nawet smutni faceci z ABW zwątpili w normalne, poważne sposoby. Oni przyszedli po pomoc do mnie, czyli byłego dziennikarza, i to przeżywającego jesienny kryzys. W tym biednym kraju, gdzie nie działają należycie prokuratura, sądy i policja, ostatnią nadzieją coraz częściej stają się dziennikarze. Nawet tacy jak ja. To my musimy rozwiązywać większość kryminalnych zagadek, ujawniać mafijne struktury, podsuwać policji tropy”.

„Kompletnie się już upiłeś (jednym kieliszkiem!) i bredzisz od rzeczy. Albo uderzyła ci do głowy tak zwana czwarta władza, którą podobno jesteście”.

„Skończmy tę rozmowę, bo muszę popracować jeszcze nad księciem. Powiem ci tylko jedno, co zresztą mówiłem już w Pradze. Bo tam, w nierzeczywistym mieście, zaczęła się naprawdę ta nierzeczywista historia. A ty nie chciałeś mi uwierzyć, że to wszystko jest takie właśnie...”.

„Pamiętam doskonale, co ci odpowiedziałem... Jeżeli chcesz działać na wariata, to naprawdę wchodzisz w rejony grafomanii”.

„A Gombrowicz i jego Opętani! Przypominasz sobie szalonego księcia z Mysłoczy? Czy to też grafo-mania?”.

„Ta powieść dla kucharek jest twoim wzorem? To ja dziękuję, nie chcę brać w tym udziału. Już mnie nie ma. Milczę do końca”.

Moglibyśmy zapewne długo jeszcze tak dialogować, ku kompletnemu znudzeniu P.T. Czytelników, ale na szczęście poddał się i zamilkł. Ten mój głos wewnętrzny niekiedy przydaje się jako doradca i mentor, nie będę zaprzeczał, ale bywają też chwile, gdy mam go serdecznie dość. Zresztą chyba również czytelnicy, którzy oczekują zapewne rozwoju akcji, sensacyjnych wydarzeń, a i rozwiązania zagadek tej historii. I świat przecież też czeka w wielkim niepokoju, co zrobię, żeby go ratować.

Książę dopił koniak i powstrzymał zdecydowanym gestem panią z bufetu, która już gotowa była do startu w naszym kierunku.

- Nie będę więcej pił. A czy ty powiesz wreszcie, o co chodzi?

- Potrafisz dotrzymać tajemnicy? Chciałbym, żebyś złożył przysięgę.

August spojrział na mnie chłodno. Nie miał już śladu gorączki, może nawet temperatura jego ciała spadła poniżej przepisowych trzydziestu sześciu stopni z kreskami.

- Musi ci wystarczyć moje słowo. W mojej rodzinie nikt nigdy nie przysięgał.

Mam jakiś herb po mamie, i, zdaje się, drugi po tacie, więc jestem niby równy temu pysznemu księciu, bo tak miało być w szlacheckiej demokracji. Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Tym bardziej chyba wszyscy równi jesteśmy w demokracji dzisiejszej, mocno jeszcze przeżartej wzorami niedawnej niby demokracji niby ludowej, gdzie pochodzenie chłopskie albo robotnicze w wyższej cenie było niż szlacheckie. Jednak gdy August patrzył na mnie oczami, które wydawały się być wyróżnione z kawałków lodu, czułem się jak drobny sztachetka wobec wielkiego feudała.

Zanim odpowiedziałem, zadzwonił telefon. Bo mam znów komórkę. Otrzymałem wczoraj od Fredka jakiś rezerwowy aparat redakcyjny, do którego Antoś włożył moją kartę. Nadal więc jestem uwiązany na tej, jak to się

mawia, smyczy.

- Dzień dobry, mówi Jakub - usłyszałem.

- Witam, panie Jakubie - powiedziałem.

- To dziwna sprawa... Ale ponieważ pan mnie doprowadził do Kraba, pomyślałem sobie...

Zaciekawił mnie.

- Niech pan mówi.

- To też jest związane z Krabem. Wczoraj poszedłem z nim na spacer...

- I z Marianną, jeśli wolno spytać?

- Nie - odpowiedział zdziwiony. - Byłem sam, to znaczy tylko z psem.

- I co się zdarzyło?

- Krab gdzieś mi zniknął w krzakach. Wie pan, ja go znów spuszczałem ze smyczy, ale on się teraz bardzo pilnuje. Czekam na mnie na każdym zakręcie i ogląda się za siebie, gdy dłużej nie nadchodzę. Chyba pamięta, że się zgubił.

- Znów zginął? I liczy pan na mnie?

- Nie, nie. Przepraszam, ja tak nieudolnie opowiadam. Krab zapodział się na kilka minut. Najwyżej. Gwizdałem i wołałem, nic. Ale potem, gdy wystraszyłem się już, że znów mi zginął, sam przybiegł. A do obroży miał przywiązany czerwony sznureczek.

- Co?

- Czerwony sznureczek. Pomyślałem sobie, że podbiegł do jakiegoś dziecka, żeby się pobawić. Jest bardzo towarzyski i lubi dzieci. Może to dziecko mu zawiązało?

- Domyślam się, że to nie wszystko. Przecież nie dzwoniłby pan, żeby mi opowiedzieć...

- Oczywiście, że nie. I tak czuję się nie w porządku, że zabieram panu czas.

- Proszę się nie czuć, tylko opowiedzieć dalszy ciąg.

- Kiedy wróciliśmy do domu, na klamce mojego mieszkania był zawiązany taki sam czerwony sznurek.

- To jakaś absurdalna historia!  
- Wiem, że to, co powiem, jest niezbyt mądre... Myślałam, że to jest związane z działaniem przez psy. To jakieś znaki. Oznaczony został pies, odnaleziony dzięki działaniu przez psy, potem mieszkanie, w którym ten pies żyje...

- Panie Jakubie, jest pan dziś w sklepie?

- Tak, nie ma ruchu, jak zawsze w poniedziałek, więc mogę dzwonić.

- Zajrzę może do pana i zastanowimy się wspólnie, o co w tym wszystkim chodzi.

„Dosyć absurdów”, pomyślałem, „na mnie przecież czeka poważne zadanie do wykonania. Mam, bagatelka, uratować świat! A tu mi zawracają głowę czerwonymi sznureczkami”.

Księżę spokojnie czekał. Gdy ja rozmawiałem z Jakubem, on zamówił dla nas obydwóch kawę. Wyglądał, jakby opadło z niego całe wariactwo.

- Miałeś mi coś powiedzieć, o coś mnie poprosić.

- Widzisz... - zacząłem ostrożnie.

Potem się jednak rozpędziłem i wszystko mu opowiedziałem. Gdyby smutni z AB W wiedzieli, jak ja przestrzegam tajemnicy, zamknęliby mnie w bardziej smrodliwej norze niż letni domek Krystiana. August to była już bodaj trzecia osoba, wobec której złamałem embargo. Zapoznałem księcia z koncepcją zamachu na prezydentową Bushową, a także z wizją Krystiana, wymyśloną podczas jego długich godzin samotności w ciemnej chacie.

- Druga wersja jest bardziej sensowna - orzekł August. - Zamach nic Czeczenom nie daje.

- Ale daje tym, którzy pociągają za sznurki.

Powiedziałem mu, że - jak myślę - akcja jest zapewne prowokacją. Tylko kto ją przygotował?

- Jednego nie rozumiem. Dlaczego to mnie o tym wszystkim opowiadasz? Jaka rolę dla mnie przewidziałeś?

Znalazłem się w trudnej sytuacji. Powiedzieć temu chłodnemu i opanowanemu człowiekowi, że widziałem go przed chwilą w roli wariata?

- Chyba na chwilę ogarnęło mnie szaleństwo - zacząłem wreszcie - i wyobraziłem sobie ciebie, wiesz, arystokrata, okopy Świętej Trójcy, posłannictwo, przywództwo narodu - plotłem i z każdym kolejnym słowem wikłałem się coraz bardziej - jako zbawcę, kogoś...

- Nic z tego nie rozumiem, naprawdę. Ja jestem dzisiejszy, a nie z romantycznego dramatu.

- Może to dlatego, że naprawdę się boję tego, co ma się stać...

- Ależ nie stanie się nic według scenariusza, który przedstawiasz. To zbyt literackie. Czytam sensacyjne powieści i to, co opowiedziałeś, przypomina mi niektóre z nich. Ale raczej te gorsze.

- Dlaczego? - oburzyłem się.

- Nie obrażaj się, przecież nie ty to wszystko wymyśliłeś. Jednak nie wydaje mi się, żeby twoja historia była prawdopodobna.

- Nie moja. Tych smutnych facetów z ABW. I jednego takiego chłopaka, który pracuje na Wawelu.

- Oni byli na pewno z Agencji? Sprawdziłeś ich?

- Mieli legitymacje...

- To można podrobić. Rozpoznałbyś fałszywą?

- No dobrze, ale po co ktoś miałby mi coś takiego opowiadać? W jakim celu?

- No a po co ty mnie to opowiadasz?

Zbaraniałem. To było świetne pytanie. Ja szukałem wariata. Czyżby oni też?

- Mam kolegę ze studiów - powiedział August - który pracuje w krakowskiej delegaturze ABW. Podaj mi nazwiska tych smutnych facetów, to poproszę go o sprawozdanie. Może zrobi to po dawnej przyjaźni.

- Nazwisk nie znam...

- Żartujesz! Mówiłeś, że mieli legitymacje.
- Zapamiętałem tylko imiona. Jarek i Marek.

August popatrzył na mnie jak na człowieka niespełna rozumu. Sytuacja zupełnie się odwróciła. Teraz to ja byłem wariatem. Przynajmniej w oczach księcia.

„Sam tego chciałeś, ja cię przestrzegałem” - odezwał się mój głos wewnętrzny. A miał przecież milczeć. -  
”Wczuj się tylko w sytuację twego rozmówcy. Poznałeś człowieka dwa dni temu i rozmawiasz z nim drugi raz w życiu. I ten właściwie nieznamy, który zatrzymał cię na ulicy, twierdzi, że zajmuje się, jako niezależny dziennikarz, przygotowywanym największym aktem terroru w Polsce, a może w Europie. Opowiada ci historię bardziej nieprawdopodobną od opisywanych w powieściach sensacyjnych. Nie wzięłbyś go za wariata?”

Co miałem mu odpowiedzieć? Miał znów, bestia, rację.

Książę zaczął się żegnać. No tak, zrozumiałem, ma mnie dość. Zapłaciłem więc i razem wyszliśmy.

- A ja chciałem z panem porozmawiać o Agnieszce - rzekł już na ulicy August, przechodząc z powrotem na pan.

- Widziałem się z nią na kilka godzin przed... - nie musiałem kończyć, on wiedział przed czym.

- Ta dziewczyna ją zabiła - wyrzucił nagle z siebie - jeżeli będzie pan prowadził dziennikarskie śledztwo, proszę iść tym tropem.

- Jaka dziewczyna?

- O tym wszyscy wiedzą.

- Ja nie...

- Kochanka szefa mafii, niejakiego Gangreny. Podobno Agnieszka ją rozkochała w sobie.

- Co?

- To pan naprawdę nic nie wie? - dziwił się książę.

- Słyszałem, ale myślałem, że to głupie plotki. Wiesz, że o znanych osobach wymyślają różne niestworzone historie. A tu Miss Polski i skłonności do... panienek.

- Ona kochała życie. Lubiła mężczyzn i kobiety.

Miłość, mawia się, jest ślepa. August był najlepszym dowodem, że tak jest w istocie. Rozumiał i akceptował wszystko, co robiła jego Agnieszka. Jego? Gdzież tam. Ale on potrafił wybaczyć nawet to, że zamiast niego wołała kochankę Gangreny.



Sofę, na której być może odpoczywał kiedyś zmęczony Józef Piłsudski, okupowało teraz troje młodych ludzi. Dwóch chłopaków i dziewczyna. Na twarzach mieli kominiarki, które pozwalały widzieć tylko ich oczy.

„Na tej starej kanapie powtarza się historia”, pomyślałem. „Znów wysiadują ją rewolucjoniści, którzy walczą o niepodległość swego kraju”.

Czasy się jednak zmieniły. Sprowadzeni przez Agatę i Krystiana młodzi Czeczeni, gdy mnie zobaczyli, nie chcieli uwierzyć, że jestem dziennikarzem, który ma z nimi porozmawiać.

- A gdzie kamera? - zapytał jeden z nich.

Oni byli tylko zainteresowani wywiadem dla telewizji. Jak niemal wszyscy dzisiaj, chcieli pokazać się na małych ekranach w milionach domów. A dziennikarz to dla nich facet, który podsuwa rozmówcy mikrofon, gdy z odległości kilku kroków filmuje go kamera.

Potem okazało się, że nie mam też mikrofonu ani magnetofonu i że nawet nie jestem pewien, czy to, co mi powiedzą, gdzieś opublikuję. Siedzieli więc obrażeni i niechętnie słuchali mej przemowy. „Po co nas tu sprowadzono?” - mówiły ich pozy. A ja tłumaczyłem

im ze swojego fotela (historycznego bez żadnych wątpliwości: przyszedł Naczelnik Państwa w nim siedział, gdy układał pasjansa), że akcja, którą oni, albo ich kole-dzy, zaplanowali na Wawelu, przyniesie zdecydowanie więcej szkody niż pożytku. Im, Czeczenom.

Próbował ich przekonywać Krystian i próbowała Agata. Szczególnie zdziwiła mnie dziewczyna. Nie poznawałem jej. Krystian przeszedł swoje w ciągu wielu dni w ciemnej, zaminowanej chacie. Ona odebrała krótszą lekcję. Okazała się jednak bardzo pojętną uczennicą. Ta głupia, jak mi się wczoraj wydawało, blondynka, wiele zrozumiała. Wystarczyło, że chwilę pottrzymała w rękach - jak to nazwałem? - swoje przeznaczenie, swój los, zamknięty w niewielkim diabelstwie, które może rozerwać człowieka na wiele kawałków.

- To nie jest dobry sposób - tłumaczyła swym rówieśnikom w kominiarkach. - Nic nie osiągnięcie na drodze terroru.

Oni wydawali się tego nie rozumieć. I to nie z powodu trudności językowych, czy dlatego, że byli nieprzemakalni na argumenty. Uświadomiłem sobie w którymś momencie, że oni po prostu niewiele wiedzą.

- To nie oni - powiedziałem do Agaty i Krystiana.

- Z nimi rozmawiałem o liście do Busha - bronił się Krystian.

- Potem ich podmieniono. Gdy sprawa stała się poważniejsza, poszukano odpowiedniejszych ludzi.

- Czy wiecie coś o waszych kolegach, którzy przyjechali niedawno z Niemiec? - zapytałem kominiarki.

Poszeptali między sobą i myślałem już, że nic nie powiedzą, ale w końcu jeden z chłopców rzekł:

- Podobno mafia. Bardzo sprawni, dobrze strzelają i w ogóle mają przeszkolenie. Jeszcze z wojny u nas w kraju.

Chyba im zazdrościł.

- Wiecie, co tu robią?  
- Gdzieś teraz poznikali. Ale słyszałem, że są ciągle w Polsce.

Szepnąłem do Agaty i Krystiana:

- To niestety tylko pionki. Musimy dotrzeć do tych, którzy decydują.

Jeszcze raz zwróciłem się do kominiarek:

- Z kim rozmawialiście o liście do prezydenta Buscha? Prócz Ad..., to znaczy Krystiana.

Właściwie gadali między sobą, ale coś można było z tego wyłowić. Wydawało mi się, że usłyszałem imię „Kola”. Może się przesłyszałem?

- Kola? - zapytałem. - Czy on wam doradzał?

Udawali, że nie rozumieją, albo naprawdę nie wiedzieli, o co chodzi.

- Dziękuję za zorganizowanie tego spotkania - powiedziałem do Agaty i Krystiana, gdy wyraźnie rozczarowani Czeczeni już sobie poszli. Liczyli przecież na pięć minut w telewizji.

- Zdaje się, że nie dowiedziałeś się zbyt wiele? - spytał chłopak.

- Próbujcie dalej - rzekłem. - Jak ty się czujesz? Wydaje mi się, że błyskawicznie wracasz do formy.

- Chyba tak. Dostałem ogromną ilość witamin, będę je łykał przez całe lata. Mama o mnie dba, a także kobiety.

- Kobiety?

- Bożena i - zarumienił się chyba - Agata.

- A co z twoją randką z ABW? Mam cię umówić na spowiedź?

- Już się sami odezwali. Uważają, że wczoraj mnie uratowali od śmierci i choćby dlatego mam wobec nich zobowiązania.

- Poważnie? Ciekaw jestem, co powiedziałaby na to Stempel?

- Chyba nic. On przecież nie chciał się wcale podpisać pod swoim dziełem.

- To niedzisiejszy facet. Nie lubi kamer ani jupiterów, woli działać w cieniu - oeniłem.

- Chyba tak.

Już żegnaliśmy się, gdy Agata nagle zwróciła się do mnie:

- Przepraszam, panie dziennikarzu z Warszawy.

- Nie ma za co - odpowiedziałem - krakowska blondynko.

Spotkaliśmy się na Plantach i szliśmy sobie powoli. Czułem w powietrzu wilgoć, którą przesiąknięte też były liście pokrywające aleję. Ale nie padało, a może nawet - czyżby tylko mi się wydawało? - na chwilę wyrzało słońce. Zresztą i chmur było mniej niż przed kilkoma godzinami. Marianna kichała.

- Złapałaś katarek?

Potwierdziła.

- Za dużo spacerów z Jakubem?

- Skądże. Tylko u pani Eli jest tak ciepło. A ja przyzwyczaiałam się wcześniej do chłodnych mieszkań.

- Co słyhać, Marianno? - spytałem. - Jak sobie radzisz?

- Dobrze. Jakub mi załatwia pracę. W jednym takim sklepie, na tej samej ulicy, na której on pracuje.

- Świetnie. Bardzo się cieszę.

- Kola mnie odnalazł - powiedziała nagle.

- Co?

- Wysłałam któregoś dnia z domu, a on po prostu pojawił się obok mnie. Zapytał tak jak ty: „Co słyhać, Marianno?”.

- I co?

- Powiedziałaś mu, że już nie chcę być z nim. A on, że dobrze, ale pod warunkiem, że jeszcze raz się z nim spotkam. Tylko żeby porozmawiać.

- Zgodziłaś się?

- Tak. Boję się go.

Milczałem.

- On wie o tobie - oznajmiła.

- Tak? A cóż takiego wie o mnie?

- On wie wszystko. O tobie i o panu Alfredzie. Powiedział, że pan Alfred wystawił go mafii.

- To nieprawda. Mafia go sama namierzyła.

Teraz ona milczała.

- A ty masz z nim jakiś kontakt? Zostawił ci może numer telefonu? - zapytałem.

- Nie. Powiedział, że zawsze się pojawi, gdy będę go potrzebowała.

- Nie mówisz mi wszystkiego.

- Nie - przyznała spokojnie - ale tak jest o wiele lepiej.

- To mi jeszcze tylko powiedz coś o Agnieszce Trochełko... Wiesz chyba, że ona nie żyje?

- Wiem.

- Gdy chciałem prosić ją o pomoc dla ciebie, bardzo zaprotestowałaś. Dlaczego?

- Bo jej nie lubiłam.

- Dlaczego jej nie lubiłaś?

- Muszę mówić? Ona przecież nie żyje.

- Powiedz, proszę cię - powiedziałem delikatnie.

- Bo ona była zboczona.

- Co? Co to znaczy?

- No wiesz, ona chciała ze mną...

- Przepraszam, że cię o to jeszcze zapytam. Czy ty się zgodziłaś?

Nie musiała odpowiadać. Widziałem po jej wyrazie twarzy, że tak.

Wszędzie w Krakowie jest blisko, więc po odprowadzeniu Marianny do domu, zajrzałem do sklepu z winami. Jakub siedział i czytał książkę. Klientów nie było.

- Przyszedł pan w sprawie beaujolais? Czy czerwonych sznureczków?

Przyznam, że zapomniałem już o stu co najmniej butelkach wina, które zamierzałem przecież kupić w sklepie. A, zdaje się, umówiłem się właśnie na dziś.

- Niestety, nic z tego zakupu nie będzie - powiedziałem, nie wdając się w szczegóły - przyszedłem w sprawie sznureczków.

- Wiem, że pan nie pracuje we francuskiej firmie. Pan jest dziennikarzem.

- Marianna panu powiedziała?

- Tak.

Zamierzałem w pierwszym momencie coś zabajerować, opowiedzieć na przykład o jakimś artykule, który piszę na temat handlu winami, ale mi się nie chciało.

- Skupmy się na sznureczkach. To mnie naprawdę za interesowało.

Chłopaka chyba też, bo zaczął jeszcze raz opowiadać całą historię.

- Panie Jakubie, odejdźmy na chwilę od sznureczków. Czy nie zdarzyło się nic innego, co pana zaniepokoiło? Albo zastanowiło?

Jeżeli coś go zastanowiło, to chyba dopiero moje pytania.

- Co pan ma na myśli?

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że dwoje dzieci bawi się czerwonym sznurkiem i że jedno przywiązuje go do obroży pańskiego psa, a drugie do klamki pańskiego mieszkania? Jak pan myśli? - odpowiedziałem pytaniem.

- Chyba nieduże.

- Bardzo małe.

- A jeżeli to jedno dziecko? I ono wie, że ja tam mieszkam i że mam psa?

- Bardzo dobrze - oceniłem. - Ktoś przekazał panu informację: wiem, gdzie mieszkasz, i wiem, że masz psa, którego bardzo lubisz. I ten ktoś nie był chyba dzieckiem.

- To brzmi jak groźba.

- Bo mi się wydaje, że to jest groźba. Bardzo subtelna, ale nie wiem, czy przez to nie groźniejsza.

- Dlaczego?

- Bo jest w niej coś chorego. Gdyby ktoś powiedział, że pana obije, byłoby to normalne, ale sznureczki? Mnie aż ciarki przechodzą, gdy sobie to wyobrażam.

- Dlaczego ktoś miałby mi grozić?

- Tego nie wiem. Może przychodzi panu coś do głowy?

- Nie.

- To wygląda tak, jakby ktoś panu mówił: „uważaj, mam cię na oku i mogę zrobić krzywdę tobie albo twojemu psu”. To jest ostrzeżenie.

- Marianna powiedziała tak samo.

- Opowiedział jej pan o tym?

- Tak. Była zmartwiona, ale potem powiedziała, że-  
bym się nie bał. Bo ona załatwi, co trzeba. Albo coś w tym rodzaju.

Siedzieliśmy we trzech w ciasnym pokoju Fredka i jedliśmy zakupione w pobliskiej knajpce azjatyckie dania. Jeżeli zbliża się koniec świata, to trzeba mieć dosyć sił, żeby jakoś go przeżyć. Trzeba więc jeść. No i muszę postarać się wreszcie o pełną piersiówkę.

- Rozmawiałem z tym świadkiem - oznajmił Antoś.

- W nocy, zaraz po tym, jak go wypuścili.

Fredek odłożył pałeczki (on jeden ich używał) i spytał:

- Coś ciekawego?

- Mam rysopis mordercy. Facet średniego wzrostu, przed czterdziestką, krótkie włosy, dwudniowy zarost...

- Gdzie on go widział? - znów zapytał redaktor Kłonica.

- Przed hurtownią... Morderca wszedł do środka, a potem świadek usłyszał strzał. Więc, kurdeleme, przestraszył się i uciekł.

- Zawiadomił policję?

- Nie. Ale gdy usłyszał w radio o morderstwie, zgłosił się.

- Słuchałem przez całą niedzielę radia. Różnych stacji. Od momentu kiedy pierwszy raz powiedzieli o tej zbrodni. I nie pamiętam, żeby mówili, gdzie to się stało. Ja się dowiedziałem od policji.

Antoś zapatrzył się w sekretarza redakcji, który znów z pałeczkami w dłoni ruszył dzielnie na cielięcine z warzywami i grzybkami mun.

- O co ci chodzi? - spytał wreszcie.

- Ten świadek wydaje mi się niewiarygodny...

- Dlaczego?

- Mój nos, szanowny... Albo dobrze, powiem prawdę. Mam przecieki z policji. Świadek nie zrobił na nich dobrego wrażenia. Wypuścili go w środku nocy i zamierzali trochę za nim pochodzić. Wodził ich kilka godzin za sobą, posiedział w jakiejś knajpie, a potem pojechał do otwartego dwadzieścia cztery godziny na dobę supermarketu, wszedł tam do otwartego już salonu fryzjerskiego i znikł. Może przebrał się i wyszedł na przykład jako kobieta? Nie wiadomo jak, ale zgubił ogon z taką łatwością, jakby robił to co dnia.

- Może to oni byli nieudolni?

- Możliwe. Lecz gdy pojechali pod adres, który miał w dowodzie, dowiedzieli się, że mieszkanie stoi puste od kilku miesięcy. Właściciel nie pokazuje się.



- Nie rozumiem, po co to wszystko... Jeżeli ktoś wysłał fałszywego świadka, to chyba takiego, który jest wiarygodny.

- Też nie rozumiem, szanowny. Mówię tylko, żebyś uważał i nie wpakował się w jakąś science fiction. Bo i ten rysopis jest dość nijaki. On przecież może pasować do wielu. Może nie do mnie, bo jestem prawie łysy, ani do ciebie, bo masz charakterystyczną fryzurę i brodę. Ale już do Konrada pasuje jak ulał.

Antoś spojrzął na mnie z nieukrywaną ciekawością.

- Rzeczywiście - powiedział. - Chyba zacznę cię podejrzewać.

- To nie jest dobry żart, szanowny - rzekł poważnie Fredek.

- Wszelki duch... - zawołałem.

Na progu kanciapy Fredka pojawiło się rude zjawisko. W spódniczce mini i długich butach, aż za kolana, z teczką w rękę i z torbą przewieszoną przez ramię. Ubrana jak na randkę, przygotowana do pracy. Po prostu redaktor Dorota Szopa. Dla licznych przyjaciół Kasia.

- Witam, panowie - powiedziała. - Jestem przejazdem w Krakowie, wpadłam na chwilę.

- Cześć Kasiu - Fredek rzucił się szykować jakieś wygodne krzesło. - Przywiozłaś ładną pogodę.

Rzeczywiście, dzień był wyjątkowy, jak na listopad. Chmury poznikwały i pokazywało się słońce. Choć tak było dwie godziny temu. Teraz znów się ściemniało.

- Chcesz kropelkę? - zapytałem, wskazując na mój kubek. - Jeszcze jest trochę brandy.

- Ten zawsze swoje - rzuciła zniecierpliwiona. - Ale kawy bym się napiła.

- Oczywiście, już ci robię - Fredek kręcił się żwawo, aż jego łysina zaczęła błyszczeć podejrzenie. Czyżby tak działała na niego ta kobieta?

- Co u ciebie, Konrad? - zapytała. - Podobno pomogłeś Mariannie.

- To raczej Fredek jej pomógł - rzekłem. - Aktualnie mieszka u jego siostry.

- Przyjechałaś na pewno w związku z morderstwem... - powiedział Fredek.

- No tak - przyznała niechętnie - też muszę coś na ten temat napisać.

- Nie jesteśmy konkurencją. Ty piszesz dla swoich czytelników, my - dla naszych.

- Właściwie masz rację. W moim mieście nikt nie zna waszej gazety.

Nie było to uprzejme, ale Fredek jakby nic nie zauważył. A przecież mógł łatwo się odciąć. Gazeta Kasia miała mniejszy nakład i zasięg.

- To może podzielimy się informacjami? - złożył jej propozycję.

- A wy w ogóle coś wiecie? Konrad, też bierzesz w tym udział?

- Z konieczności. Poznałem Agnieszkę, rozmawiałem z nią na kilka godzin przed śmiercią... Nawet gdybym nie chciał i tak siedzę w tym po uszy.

- I nie korci cię, żeby odnaleźć mordercę?

- Konrad uważa, że ma ważniejsze zadanie w tej chwili - wyręczył mnie Fredek.

- Tak? A jakie? - była wyraźnie zaciekawiona.

- Może jej powiesz?

Złamałem embargo już tyle razy, że nie miało chyba znaczenia, czy dopuszczę do tajemnicy kolejną osobę. Kasia jest bystrą dziewczyną, która sporo wie o różnych sprawach. Może przyda się nam jej pomoc?

- Dobrze, ale to nie jest do publikacji. Musisz przyrzec, że póki nie zwolnię cię z tajemnicy, nie napiszesz ani słowa.

W jej zielonych oczach pojawiły się jakieś światełka. To była chyba oznaka najwyższego zainteresowania.

- Nie lubię takich obietnic, ale trudno, niech będzie.

- Dajesz słowo?

- Tak, tak - niecierpliwiła się coraz bardziej.

Opowiedziałem jej w skrócie całą historię. Od Pragi, w której widziałem demonstrację, a raczej próbę generalną demonstracji antyglobalistów, przez wizytę smutnych panów z ABW, aż do upiornych godzin w domku Krystiana. Nawet wspomniałem o dzisiejszym spotkaniu z kominiarkami, o którym Fredek jeszcze nie wiedział. Chyba że już zdobył o nim informację własnymi kanałami. To znaczy od Antosia, który mógł z kolei mieć cynk od Agaty.

Gdy tak opowiadałem, uświadomiłem sobie, że wszystko zaczęło się właściwie od Kasi. Gdyby ona nie poleciała mnie do przygotowywanego przez Miss programu telewizyjnego, nie poznałbym Agnieszki, nie pojechał do Pragi i zapewne nie przeczytał książki o Golemie...

- To jest literatura. I to marna - powiedziała Dorota czyli Kasia, jakby cytując księcia Augusta. - Zawsze miałeś skłonności do konfabulacji, ale tym razem przeszedłeś sam siebie. Czy ty piszesz powieść?

- Kasiu - rzekłem - bardzo bym chciał, żeby to była powieść. Żeby to wszystko tylko roilo się w mojej głowie. Domek jednak był zaminowany naprawdę. Widział to Fredek i jego kolega Antoś, w tej chwili nieobecny. O tym, że Bushowa ma przyjechać na Wawel, słyszeliśmy od Adriana, to znaczy Krystiana, tego chłopaka, który dowiedział się o wszystkim, a potem został uwięziony we własnym domu.

- On podsłuchał jakąś niewyraźną rozmówkę... Może się przesłyszał? Albo usłyszał to, co chciał usłyszeć? To przecież fanatyk, sam wspomniałeś.

- To dlaczego go uwięziono?

- No tak, ten domek jest mocnym punktem...

- Mocnym? Wręcz bombowym.

- No, ale dlaczego oficerowie z ABW przyszedli właśnie do ciebie? - Popatrzyła na mnie, a ja wiedziałem, że wybór smutnych panów był dla niej zupełnie niezrozumiały.

- Też mnie to zaskoczyło, ja się zupełnie nie nadaję do takiej roboty - przyznałem. - Zwłaszcza jesienią, kiedy przeżywam spadek formy.

- No właśnie - powiedziała tylko.

A już myślałem, że wygłosi ogólniejszą opinię na mój temat. Na przykład zada mi pytanie: „Czy jest pora roku, w czasie której nadajesz się do czegokolwiek?”.

Zapadło króciutkie milczenie, które przerwał Fredek.

- Zostaniesz dłużej?

- Najwyżej na jutro. Strasznie dużo pracy - wyjaśniła. I, jakby sobie przypomniała, że przecież musi cały czas pracować, zapytała:

- No a co wy wiecie w sprawie morderstwa?

- Kręcimy się po omacku - odrzekł mój szanowny przyjaciel. - Ona miała tyle kontaktów, ostatnio coraz bardziej podejrzanych...

- Podobno jest świadek, który widział mordercę. I mają jego odciski palców - oznajmiła.

- Co? O tym nic nie wiem.

- O świadku czy o odciskach?

- Świadek jest niewiarygodny. Zresztą ukrył się gdzieś.

- Może policja go ukryła?

- Nie - powiedział Fredek. - On próbował skierować śledztwo na fałszywy trop.

- Skąd taka pewność?

- Mam nosa - redaktor Kłonica powtórzył odzywkę, którą już chyba dziś słyszałem.

- To prawda, twój nos jest słynny, tak samo jak intuicja Konrada.

„Jaka miła”, pomyślałem. „Wchodzi w fazę wyciągania z nas informacji”.

Fredek, który nie znał jej tak dobrze jak ja, rozjaśnił się cały. Wcześniej, gdy wbijała mu igielki, udawał, że nic nie czuje. Teraz wystarczyło, że go lekko pogłaskała,

i już szczyrzył radośnie zęby.

- Powiedz jeszcze coś o odciskach palców - włączyłem się.

Jak już wyciśnie z nas wszystko, wyrzuci każdego ni-by skórkę od cytryny i pójdzie sobie. Nie ma co liczyć na jej wzajemność. Trzeba więc wcześniej dowiedzieć się jak najwięcej.

- Podobno znaleziono wyraźne odciski na pistolecie, z którego została zastrzelona Agnieszka. Szukają właściciela. Co może potrwać, bo - jak pewnie wiecie - archiwum odcisków wciąż nie jest skomputeryzowane. No i oczywiście może tych odcisków nie być w archiwum.

- Mogą pobierać je od każdego podejrzanego i porównywać - powiedziałem.

- Najpierw trzeba mieć podejrzanych.

Rozmawiałem spokojnie z Kasią. Nic mnie nie tknęło, nie zastanowiło. Nie pamiętałem o pistolecie, który trzymałem przez chwilę w ręku. Nie dała mi do myślenia sprawa fałszywego świadka, który podał policji rysopis mordercy. Ten rysopis powinienem dobrze znać, bo bardzo przypominał mój własny.

A tymczasem mecz już trwał. Mecz, w którym gra toczyła się o moje życie. Ja niestety nie byłem graczem, tylko najwyższej piłką. Ktoś ustawił już zawodników i kazał im wkopać piłkę do bramki, nad którą wywieszono wielki napis MORDERCA.

- Trochełko obracała się ostatnio w sferach, które często mają kontakt z policją - rzekł Fredek. - Ich odciski są zapewne w archiwum.

- Ale wcale nie jest pewne, że to z tej strony padł strzał.

- Dlaczego tak uważasz?

- Nic jeszcze nie uważam - oświadczyła ruda dziennikarka. - A jeżeli nawet zastrzelono ją z polecenia mafii, to zapewne zrobił to jakiś sprowadzony spoza Krakowa pro fesjonalny zabójca. Przecież musieli zdawać

sobie sprawę z tego, że morderstwo Miss Polski wywoła burzę.

- Słusznie. Tak się zawsze robi - Fredek popisał się znajomością zwyczajów mafii w dziedzinie rozwiązywania trudnych problemów personalnych.

- Profesjonalni zabójcy nie zostawiają odcisków palców - powiedziałem, bo też chciałem wykazać się znajomością rzeczy.

- Mam dla was ofertę.

Obydwoj nadstawiliśmy ucha.

- Zdobyłam kiedyś tu, w Krakowie, bardzo dobry kontakt. Właśnie w mafii. Nazywają go Aptekarzem. Z pewnych względów nie chcę jednak z niego korzystać.

„Cóż ona znowu kombinuje?”, pomyślałam.

- Nie patrz na mnie podejrzliwie - Kasia jakby czytała w moich myślach. - Po prostu facet gotów jest wszystko zrobić dla mnie, ale oczekuje natychmiastowej zapłaty. Rozumiesz?

- Chyba tak.

- Więc poproszę go o rozmowę z którymś z was. Z jednym, bo on nigdy nie zgadza się na dwóch dziennikarzy naraz. Niby dzwonię spoza Krakowa i nie mogę teraz przyjechać. Powiem, że rozmówca pracuje dla mnie.

- Pójdzie na to?

- Coś mu obiecuję. Niech się ludzi, że kiedyś otrzyma nagrodę.

To wyglądało nieźle. Może jednak fałszywie ją oceniłem?

- Oczywiście liczę, że rzeczywiście dowiem się potem wszystkiego.

- To jest uczciwa propozycja - oświadczył Fredek.

- Jeżeli możesz się urwać z redakcji, to idź - zaproponowałam.

Mój przyjaciel palił się do udziału w śledztwie. No i przecież był bardzo dobry w te klocki.

- Pod warunkiem, że nie będę musiał odwdzięczać mu się natychmiast - zażartował.

- On lubi tylko kobiety - powiedziała Kasia. - Bardzo lubi. Szczególnie, jak mi mówił, rude.

Kasia wykonała niezbędny telefon i uzyskała natychmiast audiencję dla Fredka w nieodległej knajpie. A on wyglądał trochę jak owo rozdarte drzewo z powieści klasyka. Chciał odegrać swoją rolę w dochodzeniu, ale żał mu było zostawiać piękną Kasię. Zwłaszcza w moim towarzystwie.

Nie miał się czego obawiać. Bywały może kiedyś chwile, gdy czułem lekką skłonność ku Kasi. A ona, tak przynajmniej wtedy oceniałem, też była gotowa na jakiś romansik, a może nawet coś większego. Jednak wszystko szybko się rozpuściło w gorących czerwcowych pogodach. Bo rzecz działa się w porze, w której ja czuję się najlepiej. Jeżeli wówczas nie wyszło, to jesienią nie miało żadnych szans.

Zostaliśmy we dwoje.

- Kasiu - rzekłem - ty znałaś Agnieszkę i znasz Mariannę. One kiedyś się spotkały...

- Może to nawet ja zaproponowałam Agnieszce przyjęcie do pracy Marianny? Nie pamiętam.

- To tak jak mnie... Często podszyłaś jej swoich protegowanych?

- Chyba nie... Ale o co ci chodzi?

- Nie, nie, interesuje mnie relacja między Agnieszką i Marianną. Powiedz mi jeszcze, czy dobrze znałaś Agnieszkę?

- Bo ja wiem, czy można to nazwać dobrą znajomością... Poznałam ją w czasie konkursu na Miss Polski. Wiesz, że ja od początku na nią stawiałam? Po jednej rozmowie. Nie widziałam nawet jeszcze wszystkich finalistek. Ale Agnieszka miała w sobie takie coś...

- To zadziwiające. Już ktoś mi mówił podobne rzeczy.

- A potem zrobiłam z nią raz czy drugi wywiad. Bo wiesz, jak to jest w prowincjonalnej gazecie. Człowiek



musi być omnibusem i pisać wszystko. I jakoś się polubiłyśmy.

- Ona też ciebie lubiła?

- Konrad, do czego ty zmierzasz?

- No wiesz, krążą...

- Tak? Że ona wołała od was, chłopów, dziewczyny? Im was lepiej poznaje, tym mniej jej się dziwię. Mimo wszystko osobiście wyżej stawiam związki heteroseksualne...

Nic nie powiedziałem na to wyznanie. Kasia chyba opacznie zrozumiała moje milczenie.

- Nie bój się, nie zamierzam ciągnąć cię do łóżka.

- Ależ nie boję się... Ja jestem dość odważny. Przy najmniej w tych sprawach - oświadczyłem.

No, no, w dziwnym kierunku potoczyła się nasza rozmowa. Nie wiem, jaki byłby (i czy byłby w ogóle) dalszy ciąg, gdyż w tej chwili zadzwoniły dwa telefony komórkowe. Najpierw jeden w torbie Kasi. Pani redaktor wykonała gorączkowe przeszukanie torby, połączone z wyrzucaniem wielu rozmaitych przedmiotów na biurko Fredka. Wreszcie znalazła komórkę i odebrała połączenie. Ktoś z jej redakcji pytał o coś... O co ją pytał, oczywiście nie mogłem wiedzieć, a odpowiedzi nie usłyszałem, bo zadzwonił z kolei mój telefon.

- Nie pomyślał pan o takiej możliwości, że ci dwaj faceci z ABW działają na własną rękę? - zapytał księżę August.

- Co?

- Możemy swobodnie rozmawiać? Nie obawiasz się podsłuchu?

Jeszcze minutę temu byłem w innym świecie. Dłuższą chwilę trwało, zanim zrozumiałem, kto i o co mnie pyta. Wreszcie powiedziałem, że nikt mnie chyba nie podsłuchuje, ale takich rzeczy nigdy nie można być pewnym w stu procentach.

- Historia, którą mi pan opowiedział, przypomina fabuły sensacyjnych powieści. A w nich często w służbach specjalnych są jakieś frakcje, które się nie znoszą, a nawet walczą ze sobą.

- Widzę, że poruszyła pana moja opowieść.

- Może nie poruszyła, ale dała do myślenia.

Poprosiłem księcia, żeby myślał nadal. W tym, co powiedział, była niegłupia idea. Nie wiedziałem tylko, co z niej miałyby wynikać dla sprawy czeczeńskiego spisku.

- Wyobraź sobie - książę mówił mi raz na pan, a raz na ty - że kierownictwo ABW uznało tę sprawę za wytwór chorej fantazji. W Polsce już tak jest. Premier nie wierzy w istnienie korupcji, ministrowie ufają bezgranicznie swoim urzędnikom, choć wszystkie media opisują afery z ich udziałem. Więc dlaczego w Agencji miałyby być inaczej? Ważny szef ocenił: „to jakaś horrendalna bzdura”. I już.

- No ale w tym przypadku chodzi o coś innego. Zagrożone jest bezpieczeństwo dwóch pierwszych dam...

- To prawda. Lecz jest jeszcze filozofia kelnera...

- Co takiego?

- Nie pamiętasz z czasów PRL-u? Gdy wołałeś w restauracji kelnera, on mówił, że w tym rewirze obsługuje...

- Kolega!

- Właśnie. Więc tym z ABW wydaje się, że wystarczy BOR. Niech sprawą zajmują się koledzy. Nam się nie chce. A poza tym jest zawsze ryzyko, że coś się nie uda. Niech ryzyko też wezmą na siebie inni. W razie czego „nas przy tym nie było”.

- A ci dwaj, którzy przyszli do mnie?

- Zawsze trafiają się tacy, którym wydaje się, że jednak muszą. Że to jest ważne, bo chodzi o interes kraju. Honor, służba... Wiesz, takie różne dyrdymały.

- Auguście, nie poznaję cię. To nie są dyrdymały, naprawdę zagrożona jest przyszłość kraju i może świata...

- Dobrze, dobrze... Wiem, że ty też się przejmujesz takimi rzeczami. Potraktuj przez moment to, co mówię, jako czystą spekulację. Zastanawiamy się jedynie,

co jest możliwe, a co nie. Oceny moralne i wzruszające kazania dla dorastającej młodzieży zostawmy na później.

- Tak nie umiem. Myślisz, że chciałoby mi się zrobić cokolwiek, gdybym nie wierzył, że to mój obowiązek?

- Zaraz wrócisz do swoich obowiązków. Najpierw mnie wysłuchaj. To, co mówię, może ci się przydać.

Milczałem. A książkę August kontynuował:

- Jest jeszcze gorszy wariant. Że w Polsce też komuś zależy, żeby doszło do tej czeczeńskiej akcji...

- Co ty mówisz? To jest dopiero bzdura...

- A jeżeli ktoś liczy, że ta afera skompromituje władze, że zaszkodzi premierowi lub prezydentowi, może nawet doprowadzi do upadku rządu?

Milczałem, bo cóż mogłem powiedzieć na takie *dic-tum*.

- Łatwo wyobrazić sobie jeszcze i taką ewentualność, że steruje tym Moskwa. Oni przecież mogą mieć swoje wtyczki w ABW.

- To ty powinienes pisać powieści...

- Wiesz, że zastanawiam się nad tym? Przecież dzisiaj wszyscy piszą powieści. Więc mógłbym i ja.

Uświadomiłem sobie, że sprawa czeczeńskiego spisku miała właściwie dobry wpływ na Augusta. Zajął umysł spekulacjami, które pozwoliły mu zapomnieć o śmierci Agnieszki. Przy okazji odsłonił przede mną niespodziewaną stronę osobowości. Wcześniej wydawał mi się sentymentalnym kochankiem, który po śmierci ukochanej prawie jest gotów popełnić samobójstwo. Teraz zobaczyłem, że potrafi być na dystans i w każdej sytuacji dostrzega wiele możliwości. Naprawdę zaskakujące połączenie. Chyba że jedno z tych jego wcieleń było nieprawdziwe. Tylko które? I po co książkę miałby odgrywać komedię?

Ja zaś się miotalem. Między śledztwem w sprawie morderstwa pani Miss, którym zajmowali się moi przyjaciele, a nieporadnymi próbami znalezienia klucza do diabelnie niebezpiecznego spisku. Coraz lepiej

rozumiałem, że nie mam szans. Każdy z wariantów wskazanych przez Augusta mnie przerastał. Rywalizacja frakcji w służbach specjalnych, walka o władzę w państwie, czy gra prowadzona przez obcy wywiad - gdzież w tym wszystkim ja? Co ja mogę? Szukać wariata? To był mój jedyny twórczy pomysł.

Może Jarek i Marek przyszli do mnie, bo wcześniej zrozumieli, że nie poradzą jakiejś sile, której nawet nie umiem nazwać? Ich wizyta wynikała po prostu z ostatecznej frustracji i desperacji?

„A wiesz, co sobie pomyślałem?” - zapytał mnie głos wewnętrzny. - „Że ci smutni faceci, choć z obowiązku żądali od ciebie zachowania tajemnicy, liczyli na to, że właśnie ujawnisz sprawę. Bo jedynym sposobem na niedopuszczenie do tragedii jest trąbienie o spisku na prawo i lewo. Trzeba o nim pisać i mówić. Dla tego wybrali dziennikarza”.

## 24

- Jak ma się mafia? - zapytałem Fredka, gdy wpadł do swego pokoju po prawie dwóch godzinach nieobecności.

- Chyba nieźle. Ale rozmowa taka sobie. Facet jest trudny. Więcej się domyśliłem, niż mi powiedział.

- Z tego, co słyszałem, w mafii obowiązuje zasada daleko posuniętej dyskrecji.

- A gdzie to nasza szanowna ruda koleżanka?

- Wskoczyła na chwilę, aby rzucić okiem na miejsce zbrodni. Dziwne zainteresowania, prawda? Powiedziałem jej, gdzie jest ta hurtownia, zresztą zamierzała pojechać taksówką.

- A ty nie miałeś ochoty pojechać razem z nią?

O co mu właściwie chodzi? Czy o to, że nie chciało mi się z Kasią (jemu by się chciało na pewno), czy o to, że nie chciałem oglądać tego miejsca? A to by znaczyło, że nadal snuje na mój temat jakieś podejrzenia. Choć podobno to właśnie mordercę ciągnie tam, gdzie zabił.

- Już widziałem tę hurtownię. A Kasia kazała telefonować natychmiast, gdy tylko się zjawisz.

- Słuchaj, muszę teraz godzinę poświęcić redakcji. Inaczej nie wyjdzie jutrzejszy numer.

Trudno było protestować. Dzień bez gazety Fredka byłby dla świata trudnym do wyobrażenia nieszczęściem.

- Umówmy się więc może za trzy, cztery kwadransy we czwórkę - wymyślił redaktor Kłonica - bo ściągę jeszcze Antosia, w knajpie, tu obok. Tam gdzie świętowaliśmy zwycięstwo Wisły. Ja zapraszam.

- Jakaś premia ci wpadła?

- Skądże. Ale Kasię wypada zaprosić, a stan twoich finansów znam. Pamiętam o zaliczce dla ciebie, szanowny, pamiętam. Może jutro załatwię... Wtedy będziesz miał okazję do rewanżu.

Propozycja była sympatyczna, więc zaoferowałem nawet pomoc w organizowaniu towarzystwa, aby znakomity sekretarz redakcji miał więcej czasu dla ukochanej gazety. Zadzwoniłem do Kasi i do Antosia i powiedziałem im, w czym rzecz. Zgodzili się ze mną, że Fredk to człowiek z dobrymi pomysłami.

A potem zostawiłem redaktora Kłonicę nad kolumnami jutrzejszego wydania, zaś sam poszedłem do knajpy, zamówiłem czerwone wino i spróbowałem, póki inni nie dotrą, dokonać rekapitulacji. Oczywiście dochodzenia w sprawie morderstwa. Tylko ta sprawa interesowała naprawdę moich przyjaciół i - jak przewidywałem - nią będą się zajmować podczas kolacji. Czezeński spiszek odstępowali w całości mnie: „Masz tu, kochany, świetny temat na wyłączność. I wykorzystaj go szybko, póki nie zainteresuje się nim cały świat. Albo nie wyleci na nim, jak na minie, w powietrze”.

Kto więc zabił piękną panią Miss? Komu podpadła pełna wewnętrzznego światła dziewczyna, którą tajemnicza energia wciąż gnała do przodu? Czy w tym pędzie Agnieszka nadepnęła zbyt mocno na odcisk któremuś z możliwych III RP? Czy popełniła jakąś gafę, której nie wybaczył nawet tak pięknej istocie? Albo dowiedziała się czegoś, czego wiedzieć nie powinna?

Tytuł Miss był najlepszą kartą klubową; pozwalał bez przeszkód poruszać się w każdej sferze: biznesu, polityki, kultury. Lecz ona zawędrowała w ciemne regiony zorganizowanej przestępczości.

Jako najpiękniejsza Polka mogła mieć każdego mężczyznę. Młodego lub starego. Ładnego lub - jak mówią kobiety - o ciekawej urodzie. Mogła przebierać wśród najbogatszych, najbardziej utalentowanych i najprzystojniejszych. A ona, zdaje się, wybierała kobiety.

Czyli istota dziwna, pełna sprzeczności. Z każdym dniem dowiadywałem się o niej czegoś nowego. Rozmawialiśmy zaledwie kilka razy i choć, pochlebiam sobie, polubiła mnie i od razu niezłe się rozumieliśmy, to przecież wcale dobrze jej nie znałem. Wielu rzeczy tylko mogę się domyślać.

Kto jednak, do cholery, ją zabił? Wyrwałem kartkę z notesu i wzorem niektórych książkowych detektywów zacząłem spisywać moje typy.

1. Szef krakowskiej mafii, czyli Gangrena. Oczywiście nie musiał tego robić własnymi rękami. Człowiek prowadzi duży interes i ma kompetentnych ludzi do każdej roboty. Motyw? Agnieszka nie wywiązała się z finansowych zobowiązań. Czy mafia stosuje w tych sprawach taryfę ulgową dla missek? Książę August uważał, że nie, i widział z tej strony największe zagrożenie dla Agnieszki. Chociaż ostatnio zmienił zdanie i zaczął podejrzewać mój numer dwa, czyli:

2. Kochankę Gangreny. Czy zabiła z zemsty, bo przez Agnieszkę straciła swą pozycję pierwszej damy? Ten motyw pasował również do Gangreny. Jeżeli rzeczywiście Agnieszka uwiodła mu kochankę, mógł uznać to za niewybaczalny afront. Mentalność szefa gangu to jednak dla mnie ziemia nieznana.

3. Marianna? Postawiłem przy jej imieniu znak zapytania, bo nie mieściło mi się w głowie, że dziewczynadziecko mogłaby zabić. Ale dowiedziałem się przecież,

że była w zakładzie poprawczym. Za jakie przestępstwo? Bardzo interesuje mnie odpowiedź. Czy mogła być kochanką szefa mafii? Nieraz wydawało mi się, że tak. A może zrobiła to z zemsty, za uwiedzenie? Może nakazywał takie postępowanie kodeks honorowy wychowanków domu poprawczego? Kiedyś czytałem o git-ludziach czy kimś podobnym. Może Marianna była nie tyle dziewczyną-dzieckiem, co git-dziewczyną? I, według jej zasad honorowych, powinna była uśmiercić Agnieszkę? Po namyśle uznałem jednak to wszystko za raczej mętne i odrzuciłem kandydaturę Marianny na morderczynię.

4. Szantażysta. Morderstwo nie pasuje mi do szantażysty. Może jednak nie było zamierzone? Wyobraźmy sobie, że szantażysta poszedł odebrać Agnieszce dokumenty, które mu wykradła. Zwłaszcza jeżeli znalazła i zabrała cały jego dorobek, czyli materiały również na temat innych osób. Chciał ją postraszyć pistoletem i zmusić do oddania dokumentów. Broń wystrzeliła i... Są tu jednak niezbyt jasne punkty. W jaki sposób szantażysta zwabił Miss do odległej od centrum hurtowni? No i oczywiście pytanie zasadnicze: kto jest szantażystą? Kola?

5. Książę August. Bardzo niebezpieczne połączenie: szaleństwo i chłodna precyzja rozumowania. On potrafiłby zaplanować zbrodnię w mistrzowski sposób. Choć mógł też zastrzelić Agnieszkę w afekcie. Wyobrażam sobie taką scenę. On jej prawi morały, namawia do ucieczki, a ona droczy się z nim. On wzywa, żeby ratowała się i mówi o swojej miłości, a ona wybucha śmiechem. Więc jego błękitna krew zaczyna wrzeć, ogarnia go szal, nie panuje przez chwilę nad sobą, sięga po broń i strzela.

6. Nieznany psychopata. Sprawa dość oczywista. Miss Polski, jako osoba znana i piękna kobieta, mogła przyciągnąć jakiś chory umysł. Co się roi w takim umyśle i dlaczego prowadzi to do zbrodni?



To pytania do psychiatrów, nie do mnie.

Zastanawiało mnie miejsce, w którym Agnieszka została zamordowana. Co tam robiła? Z kim mogła umówić się w hurtowni? Chyba że jej ciało podrzucono. Może właśnie rolę fałszywego świadka było przekonać policję, że wszystko odbyło się w hurtowni, a nie w zupełnie innym miejscu? Czy w takim razie odkrycie prawdziwego miejsca zbrodni nie jest kluczem do zagadki?

No i ten fałszywy świadek. Czy łatwo znaleźć takiego świadka? Potrzebne są chyba szerokie kontakty we właściwym środowisku. Czy na przykład potrafiłby to zrobić tak szybko August? Raczej nie. Natomiast Gangurena - bez żadnych problemów.

Zamawiałem drugą karafkę wina, gdy zjawili się Fredek i Antoś, a w chwilę później wparowała Dorota czyli Kasia. Najpierw wszyscy gadali niemal równocześnie, czego nie da się przekazać na piśmie. Chyba żebym spróbował pisać w trzech równoległych kolumnach. Potem jednak nastąpiło skupione wybieranie dań z karty, zamawianie banalnych bezalkoholowych napitków (nie udało mi się nikogo namówić, żeby skusił się przynajmniej na wino) i wreszcie morze emocji uspokoiło się, a nawet na chwilę zapanowała słynna cisza morską.

Spojrzałem na Kasię i powiedziałem:

- Fredku szanowny, widzisz, że dama czeka z wielką niecierpliwością...

- Nie mów za mnie - oburzyła się.

- Też jestem ciekaw wielce - próbowałem naprawić gafę.

- Już wspomniałem Konradowi, że rozmowa była taka sobie... Może tobie powiedziałaby więcej, jeżeli jest tak czuły na wdzięki niewieście.

- Panowie, jest równouprawnienie i macie takie same prawa.

- Facet chyba dużo wie...

- To przecież prawa ręka Gangreny - przypomniiała Kasia.

- No dobrze, niech będzie, że nie udało mi się... Może on mnie podprowadzał, a ja nie chwyciłem do czego? Jeżeli nazywają go Aptekarzem, to chyba słusznie, bo on mi serwował wszystko w malutkich dawkach. Jak pigułki. Jakieś aluzje, przypuszczenia...

- Fredku - oświadczyłem z przekonaniem - jesteś mistrzem w takich rozmowach. Jeżeli tobie nie wyszło, to każdemu z nas poszłoby jeszcze gorzej.

- Dziękuję za wysokie miejsce w rankingu...

- Czy to nagrałeś?

- Skądże. On mnie na początku wręcz obszukał. „Żadnych magnetofonów” - powiedział.

- Mów wreszcie, co ci powiedział - Kasia naprawdę nie mogła już wytrzymać.

- Cały czas próbuję to poskładać. Czytałem kolumny jutrzejszej gazety i cały czas myślałem, jaki obrazek wyłoni się po dopasowaniu wszystkich kawałków puzzli.

Niemal widziałem, jak nasze zaciekawione milczenie zamienia się w wielki znak zapytania wiszący nad stołem.

- Wydaje mi się, że sprawą pewną jest jedno: Trochełko dostała pieniądze od mafii i ich nie oddała. Resztę układałam z samych domysłów. Moja wersja jest taka: Miss powiedziała Gangrenie, że przekazuje całą kasę Koli, bo sama nie potrafi pieniędzmi obrócić w sposób, który przyniesie pożądane zyski. Albo coś w tym stylu. I Gangrena to kupił. Ale naprawdę nie dała szmalu Adajewiczowi lub co najwyżej dała mu jakąś niewielką część. Może większość zmarnowała? Wiemy przecież, że interesy jej raczej nie wychodziły.

Fredek przerwał, aby zjeść kawałek kotleta i popić wodą mineralną.

- Któregoś dnia Gangrena zażądał od Koli rozliczenia. Nie uwierzył w wersję Adajewicza, że Agnieszka nic mu nie dała. Z jednej strony piękna i subtelna kobieta, a z drugiej człowiek, który od dawna prowadzi raczej podejrzane interesy. Komu więc mógł zaufać Gangrena? To raczej pytanie retoryczne.

- Nigdy nie wierz kobiecie - oznajmił Antoś.

Spojrzałem ze zdziwieniem na młodego brodacza.

Co mu się stało? Czyżby jakieś nieporozumienie z Agatą?

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że szef mafii kieruje się kodeksem etycznym członka Business Centre Club? On chyba nie skreśla partnerów dlatego, że są, żeby tak rzec, niezupełnie uczciwi? - zapytałem.

- Nie. Ale pożyczka dla Miss to był jeden z kierunków nowego otwarcia. Na legalne czy prawie legalne przedsięwzięcia. Tak przynajmniej twierdzi Aptekarz.

- Pocieszasz mnie. Bo już myślałem, że Agnieszka postanowiła zająć się narkotykami albo handlem żywym towarem.

- To nie, ale czyściutkich rączek to ona nie miała.

- Panowie, ta dziewczyna nie żyje - przypomniała nam Kasia.

- Ale my prowadzimy śledztwo - powiedział jakoś twardo Fredek. Wyglądało na to, że nie żywił nadmiernej sympatii do Miss. Zwłaszcza takiej, jaka wyłaniała się ze zbieranych kawałków puzzli.

- Co się działo dalej? - zapytałem.

- Rozpoczęło się polowanie na Kołę. Nie chce łobuz oddać pieniędzy, to wiadomo, co mu trzeba zrobić.

- To raczej już nie przypomina metod działania biznesmena z BCC.

- Wiesz, im się jeszcze wszystko płacze. Za dwa, trzy pokolenia, w czasach wnuków albo prawnuków Gangreny, to już będzie interes prowadzony po

katolicku. Czyli zgodnie z dekalogiem.

- Znów mnie pocieszyłeś - powiedziałem.

- Jak wiemy, polowanie na chwilę zawieszono, bo w świat poszła plotka, że nasz lis zginął w wypadku. Gdy jednak odnalazł się wśród żywych i powrócił do Krakowa, myśliwi ponownie wyciągnęli strzelby.

Nastąpiła kolejna przerwa na kotleta. Ale nie czekałszy długo na dalszy ciąg.

- Którego dnia odbyła się rozmowa Koli z Gangreną. Dlaczego szef mafii zgodził się rozmawiać z człowiekiem, którego umieścił wcześniej na liście zwierząt łownych, to dla mego rozmówcy zagadka. W każdym bądź razie Kola tym razem przekonał Gangrenę. Aptekarz słyszał, jak jego szef mówił do kogoś, że nasza wspaniała Miss to bardzo cwana dziewczyna, która oszukała nie tylko jego, ale i Kołę.

- Co?

- Tak. Bo ona podobno rzeczywiście weszła w finansowe związki z Adajewiczem. Tyle tylko, że zamiast dać mu pieniądze, to je pożyczyła od niego.

- I też je zmarnowała?

- Nie wiem. Może na przykład przeznaczała je na odpłacanie się szantażyście, o którym wspominałeś?

- Albo na cele charytatywne - włączył się Antoś. Czyżby on również miał coś przeciw Miss? Mam nadzieję, że nie zainwestował w jakiś prowadzony przez nią interes.

- Ładny galimatias.

- Domyślam się jeszcze jednego. Gangrena dała dziewczynie pieniądze bez żadnych zabezpieczeń. On przyzwyczaił się, że ludzie go nie oszukują przy rozliczeniach.

- No proszę. Miałem rację, że facet dobiera wyłącznie uczciwych partnerów.

- Natomiast Kola dostał od Miss jakieś potwierdzenie. Miał ją w garści.

- Czy z tego wszystkiego nie wynika, że to jednak Gangrena wydał wyrok na Agnieszkę? Kiedy się dowiedział, że ona go oszukiwała?

- Rozmowa Adajewicza z Gangreną odbyła się bardzo niedawno. To by znaczyło, że wyrok zapadł natychmiast i bardzo szybko został wykonany.

- Kola potrafił unikać myśliwych i zręcznie się bronić. Ale Agnieszka nie...

Fredek kończył kotlet, wszyscy milczeli a ja, nie wiem czemu, odczuwałem głęboki smutek. Czyżby tak działało na mnie czerwone wino? Może w porze jesienno-zimowej stosowniejsze byłyby mocniejsze trunki?

- Kawa, koniak? - zapytał Fredek.

- Ja tylko herbatę - powiedziała Kasia.

Popatrzyłem z nadzieją na Antosia. Może on zamówi koniak? Bo inaczej mi chyba nie wypada.

- Ja wypiję koniak - oznajmił Fredek.

- To ja też - rzekłem.

- Próbowałem jeszcze wypytać Aptekarza o kochankę Gangreny. Nie umiał mi powiedzieć za wiele o relacjach męsko-damskich w tym związku, ale przynajmniej opisał mi, jak dziewczyna wyglądała. Podobno Gangrenę bardzo pociągają dzierłatki, dziewczyny o wyglądzie dziecka. I ta też taka była.

- Co? - zawołałem.

- Też się tym przejąłem.

„Marianna, jednak Marianna”, kołatało mi w głowie. „Czyżby ona była zabójczynią?”.

Już po przyjęciu w knajpie, gdy odprowadziliśmy z Fredkiem Kasię do hotelu i we dwóch wracaliśmy pieszo do domu, wspomniał mi od niechcenia, że odwiedził siostrę.

- Kiedy? - zapytałem.

- Po rozmowie z Aptekarzem. Miałem po drodze, a ponieważ obiecałem jej podrzucić pewną książkę...

Oczywiście pojechał zobaczyć Mariannę. Oraz zadać jej kilka pytań.

- I co? - przerwałem.

- Na mojego nosa to nie ona. - Wiedziałem, że mówi o Mariannie.

- Twój nos jest słynny, zdaniem pewnej pani redaktor - przypominałem. - Ale co nie ona?

- Nie była kochanką Gangreny ani nie zamordowała. Ona coś ukrywa, ale to nie jest takie poważne.

- Mam nadzieję. W ogóle dziwny jest ten świat...

- Nie bądź taki Niemen.

- Więc też coś ci opowiem. To historyjka z dziecięcej bajki albo z sennego koszmaru. Interpretacja należy do ciebie.

I zanim doszliśmy do garsoniery Fredka, opowiedziałem przyjacielowi o czerwonych sznureczkach, które znalazł Jakub.

Fredek nagle zatrzymał się jak wryty.

- Co się stało? - spytałem.

- W pokoju Marianny widziałem na stole kłębek czerwonego sznurka.

Pociąg o malarskiej nazwie „Matejko” przyjechał do Warszawy punktualnie i miałem szansę zdążyć na audiencję w samo południe. Gdzie? W pewnym bardzo ważnym miejscu na Krakowskim Przedmieściu.

Pomysł narodził się wczoraj, gdy zostałem sam na sam z Dorotą czyli Kasią, bo Fredek udał się na spotkanie z Aptekarzem. Gadaliśmy sobie, gdy nagle moja piękna koleżanka oznajmiła:

- Jeżeli twoja historia jest prawdziwa, to trzeba dotrzeć do osób, które są najbardziej zagrożone.

- Czyli Laury Bush...

- To może być trudne, ale zrobimy coś innego. I mi powiedziała.

- Jesteś genialna! - wykrzyknąłem.

- Wreszcie mnie właściwie oceniłeś.

Był już wieczór, biura nie pracują, ale pani redaktor Szopa usiadła przy redakcyjnym telefonie i z łatwością, jakby zamawiała pizzę, umówiła mnie na dzisiaj.

Nie miałem czasu pojechać do domu, aby przebrać się i ewentualnie włożyć krawat, ale liczyłem, że zostanie mi to wybaczone ze względu na powagę sprawy.

Złapałem taksówkę i pojechałem prosto pod kościół sióstr Wizytek. Bywalcy już wiedzą: od tej strony jest boczne, nieoficjalne wejście do Pałacu Prezydenckiego. Oczywiście także strzeżone, z bramką, jak na lotnisku, i z całą procedurą sprawdzającą.

Wziąłem przepustkę, oficer pilnujący wejścia poinformował mnie, jak dojść do biura pana, który już mnie oczekiwał.

- Co słysząc u naszej pięknej wspólnej znajomej? - zapytał mnie zaraz po powitaniu.

- Ma się dobrze, panie ministrze - odpowiedziałem. - Dorota jest pełna energii, pracuje od świtu do nocy, ale ponieważ to lubi, więc czuje się w tym kołowrocie wymienicie.

- No tak, wciąż praca i praca, znam to dobrze - zasmucił się minister. Był mniej więcej w moim wieku, miał bardzo elegancki garnitur i modny krawat w dyskretne i niezbyt liczne paski.

Weszła sekretarka i wniosła tacę pełną filiżanek, dzbanuszków, szklaneczek i buteleczek. Przeszliśmy przez rytuał ważnych wyborów („kawa czy herbata”, „a może woda albo sok”) i już mogliśmy zacząć rozmawiać. Minister został wprowadzony w sprawę przez Kasię, więc nie były potrzebne wstępy. Przypomniałem jedynie, czego dowiedziałem się od oficerów AB W, przyznałem się, że naruszyłem już kilkakrotnie embargo, i wreszcie powiedziałem to, co powiedzieć chciałem i musiałem:

- Dziś jest wtorek. Żona amerykańskiego prezydenta ma się pojawić na Wawelu we czwartek, a ja straciłem już nadzieję, że uda mi się dotrzeć do spiskowców. Zapadli się pod ziemię. Są za dobrzy dla mnie. Wydaje mi się, że dla bezpieczeństwa pani Bush i pani Jolanty Kwaśniewskiej spotkanie trzeba odwołać. Trzeba wydać sygnał: „Lauro, nie przyjeżdżaj! Przynajmniej nie



teraz. Zaprosimy panią w najbliższym dogodnym terminie”. Pan się krzywi?

- Nie, nie...

- Wiem, co pomyślał sobie nasi amerykańscy sojusznicy. Że we własnym kraju nie jesteśmy w stanie zapewnić bezpieczeństwa żonom dwóch prezydentów. Niech sobie myślą, co chcą. Ważniejsze jest, żeby nic się nie stało pani Laurze i naszej pani Joli.

Minister uśmiechnął się, więc zapytałem:

- Razi pana, że mówię tak poufale?

- Skądże panie redaktorze. W zaufaniu panu powiem, że my mówimy o niej tak samo. Po prostu „Jola”. Oczywiście nie w sytuacjach oficjalnych.

Pomilczeliśmy chwilę, po czym minister rzekł:

- Bardzo panu dziękuję... Razem z prezydentem już drugą kadencję pracuję, a nie zdarzyło mi się jeszcze, żeby ktoś przyszedł w takiej sprawie. Dziennikarze pojawiają się najczęściej wtedy, gdy mają do nas pretenzje... My oczywiście cenimy bardzo prasę, pan prezydent sam był niegdyś dziennikarzem...

- Panie ministrze - przerwałem - czy pan jest w stanie spowodować odwołanie czwartkowego spotkania? I czy to w ogóle możliwe? Proszę o szczerą odpowiedź.

- Od razu muszę powiedzieć, że nie czwartkowe, ale środowe. Tak. Spotkanie było planowane na środowy wieczór. Bushowie już od rana będą w Pradze. Zaś termin czwartkowy podawaliśmy - jak to się mówi - dla zmylenia przeciwnika.

- Było planowane? Zostało przełożone?

- Mogę panu powiedzieć - i naprawdę proszę o dyskrecję - że tak. I to przez stronę amerykańską. Pani Bush przyjedzie na Wawel w innym terminie. Być może zresztą z mężem. Amerykańscy specjaliści od wizerunku prezydenta uznali, że renesansowy dziedziniec zamku wawelskiego mógłby stanowić wspaniałą oprawę dla jakiegoś ważnego wystąpienia Busha. A my oczywiście

taką ideę poparliśmy. Nie należy jednak oczekiwać, że wizyta nastąpi szybko. Jak pan wie, redaktorze, prezydent już u nas był. Czy jeszcze w tej kadencji przyjedzie? Raczej wątpię.

- Czy jest pan pewien, że wizyty pani Bush nie będzie? Czy też może to kolejna zasłona dymna, jak z terminem czwartkowym?

- Jestem pewien. Naprawdę proszę się niczego nie obawiać. I niech mi pan zostawi wizytówkę. Odezwę się w spokojniejszym czasie i umówimy się na dłuższą rozmowę. Chciałbym przedyskutować z panem redaktorem kilka spraw. Ale dziś bardzo zajęty jestem. Nasz prezydent też wyjeżdża do Pragi na szczyt NATO i mam w związku z tym jeszcze mnóstwo pracy.

Wyszedłem z Pałacu, idę sobie powoli do domu i rozmyślam. Przypuszczam, że teraz niejeden z czytelników puka się znacząco w głowę. „Ten Konrad to idiota”, uważa. „Poszedł do prezydenckiego ministra z jakimiś bzdurami, zachował się, jak pierwsza naiwna (w polityce) i jeszcze chciałby, żeby uwierzyć w to, co pisze o tym spotkaniu. Po pierwsze, do ministra trudno się dostać. Po wtóre, ministrowie tak się nie zachowują. Po trzecie, stale przecenia swoją rolę. Przecież o bezpieczeństwo w państwie dba wiele instytucji. Cóż z tego, że redaktorek nie dotarł do spiskowców. Być może dawno ich zwinięto i dlatego do nich nie dotarł. Nie ma już żadnego niebezpieczeństwa, a ten naiwniak sieje panikę”.

Na te wątpliwości muszę odpowiedzieć. Jeżeli minister wziął mnie za idiotę, to trudno. Warto dla dobra sprawy trochę się ośmieszyć. Niech mnie mają za osła, byle Polska w siłę rosła. Ale nie chciałbym, żeby fałszywie oceniali mnie czytelnicy. Na ich opinii szczerze mi zależy.

Ja naprawdę, nie jestem idiotą, choć niektórzy mnie za takiego biorą. To tylko maska, albo lepiej rola, którą gram, gdy mi się może do czegoś przydać. Przed ministrem też odegrałem idiotę. A co miałem zrobić? Miałem pójść i przedstawić mu scenariusze księcia? Powiedzieć, że to walka frakcji w służbach specjalnych albo że za sprawą kryje się próba obalenia rządu? Być może zostałbym uznany za człowieka wybitnie inteligentnego, ale na tym by się skończyło. Pogadaliśmy sobie i każdy wraca do swoich zajęć. Tak przecież wygląda życie polityków w naszym kraju: dużo gadania, różnych projektów, a mało efektów.

A ja osiągnąłem to, co zamierzałem. Powiedziałem wprost, o co chodzi, i uzyskałem jasną odpowiedź. Może to jest też recepta dla polityków? Nie bójcie się zagrać od czasu do czasu prostolinięgo idioty. Człowieka, który mówi wprost to, co wie i widzi. Że popsujecie sobie nieco opinię? No, jeśli nawet. Może dla sprawy warto? Który więc gotów jest powtórzyć za mną: „Niech mnie mają za osła, byle Polska w siłę rosła?”. Który?

„Teraz, gdy rzecz się wyjaśniła, do domu, prysznic, kawa i luz”, pomyślałem sobie. „Zaś we czwartek nastawię sobie telewizor i obejrzę spokojnie informacje z Pragi. Może przy okazji pokażą jakiś fajny film o tym nierzeczywistym mieście?”.

„Zapomniałeś o zamordowanej Agnieszce? Dziewczynie, która tak ci się podobała? Powinieneś kolegom z Krakowa pomóc w dziennikarskim dochodzeniu. Znaleźć mordercę. I przy okazji zarobić wreszcie trochę pieniędzy” - rzucił mój głos wewnętrzny.

„Zachowujesz się jak żona, a nie głos wewnętrzny” - powiedziałem. - „Tylko pieniądze i pieniądze. Chcesz sobie kupić nową kieckę?”.

„Głupie żarty”.

Ot, taka nasza prawie codzienna rozmówka. Rzeczywiście, jak w starym małżeństwie.

I już byłem w domu, i już otwierałem drzwi mieszkania, gdy (wiecie oczywiście, bo poznaliście jej zwyczaj) wyjrzała moja sąsiadka i powiedziała w sposób, który wydawał się jej najbardziej tajemniczy:

- Policja! Szuka cię policja!

- A nie gangsterzy przypadkiem? Gdy bierzesz ludzi za gangsterów, to okazują się oficerami służb specjalnych...

- Nie, to była policja. Byli też u mnie i pytali o ciebie. Gdzie jesteś i kiedy wrócisz.

- I co im powiedziałaś?

- Że nie wiem, ale ostatnio najczęściej jeździsz do Krakowa.

- To i dobrze, bo to prawda. Teraz wybacz, muszę wziąć prysznic i trochę odpocząć. Może zajrzę do ciebie wieczorem, jeżeli nie masz nic lepszego do roboty od wysłuchiwania moich historyjek. Chcesz?

Jadzia potwierdziła z wystarczającym zapałem, więc jeszcze raz obiecałem zapukać do niej wieczorem.

Byli u mnie pięć minut później. Musieli mieć pod domem czujną brygadę, która czekała na mnie. Przedstawili się, a jakże, mnie też wy pytali o personalia, a potem jeden oświadczył:

- Jest pan zatrzymany.

- Co? - wrzasnąłem, bo sytuacja wydała mi się zupełnie absurdalna. Mój wrzask zastanowił być może przedstawiciela prawa, bo zadał mi jeszcze jedno pytanie:

- Skąd pan wraca?

- W tej chwili z Pałacu Prezydenckiego - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Co? - teraz on był zdziwiony, choć obyło się bez wrzasku.

- Rozmawiałem z ministrem... - i tu wymieniłem nazwisko.

- A gdzie był pan w sobotę? - zapytał.
  - W Krakowie, ale wieczorem wróciłem do Warszawy.
  - O której wieczorem? To ważne.
  - O co mnie podejrzewacie? O zмовę z Czeczenami? Facet zbaraniał. Może i on zaczął mnie brać za idiotą?
  - Proszę odpowiedzieć na pytanie.
  - Już sobie przypominam... Byłem przed ósmą na Centralnym. Widziałem w dworcowym telewizorze fragment „Wiadomości”.
  - Czy ktoś może to potwierdzić?
  - Wie pan, na dworzec w Krakowie odprowadzała mnie pani Agnieszka Trochełko, lecz ona nie żyje...
  - Jednak muszę pana zabrać - oświadczył policjant. - Być może to nieporozumienie, musimy jednak pana przesłuchać.
- Nie włożyli mi kajdanek (może nie robią tego rozmówcom prezydenckich ministrów; widziałem, jakie wrażenie zrobiła na policjancie moja wzmianka o wizycie w Pałacu), ale ustawili się tak, żebym nie mógł czmychnąć. Gdy wychodziliśmy, Jadzia oczywiście była na posterunku, w drzwiach swojego mieszkania.
- Zabierają mnie i nie wiem, czy nie zamkną - powiedziałem mojej miłej sąsiadce.
- Milczała, chyba przerażona. Ale gdy już schodziliśmy po schodach, usłyszałem jak woła z góry:
- Poruszę wszystkie siły.
- „Dzięki, Jadziu”, pomyślałem.

Przesłuchiwali mnie najpierw w Warszawie, a potem powieźli do Krakowa. Odbywało się to w dość przyzwoitej atmosferze, dawali mi kawę i nawet poczęstowali kolacją, ale cóż z tego, gdy narastało we mnie poczucie absurdu.

Przez kilkanaście godzin prawie nie istniałem. Nie miałem ochoty, żeby pomyśleć, czy porozmawiać z głosem wewnętrznym. On zresztą milczał, zaszokowany zapewne sytuacją.

Nie istniałem, a jednak broda mi rosła. Stwierdziłem to rano, już w środę, gdy zobaczyłem, jaki mam zarost. Ale może to nic dziwnego, skoro paznokcie rosną ponoć nawet nieboszczykom.

Wciąż zadawali mi te same pytania. Byli przekonani, że zabiłem Agnieszkę. Na miejscu zbrodni znaleziono pistolet. Z tego pistoletu zastrzelono Miss. Bez żadnych wątpliwości. Na pistolecie były odciski palców jednej osoby. Tą osobą okazałem sieja.

Kiedyś w moim mieszkaniu zabito policjanta. I żeby odróżnić ślady palców zabójcy (jeżeli je zostawił), pobrano odciski ode mnie. Zostały w kartotece. Łatwo było więc do mnie trafić. Do tego doszedł rysopis mordercy. Podany przez wątpliwego świadka, który zniknął na

dodatek, ledwo go wypuszczono po przesłuchaniu, ale był. Innego rysopisu nie mieli.

Prowadzący śledztwo wykonali więc proste działania matematyczne, na poziomie pierwszej klasy szkoły podstawowej. Dodali odciski do rysopisu i wyszło, że mają mordercę. Wszystko im pasowało. Nietuzinkowe morderstwo (Miss Polski) i nietuzinkowy morderca (dziennikarz śledczy). Jakie to medialne! Zaś policji sukcesy, które można dobrze sprzedać w mediach, są potrzebne jak producentowi szamponu reklamy w czasie największej oglądalności. Nie mieli motywu, ale ten ostatecznie się znajdzie. Może na przykład wymyślą, że zabiłem Trochełko z zemsty za to, że nie dała mi okazji do wystąpienia w telewizji w roli eksperta od win?

Mniej więcej po godzinie przesłuchań uświadomiłem sobie, że mam świetne alibi. Przecież wieczorem w sobotę odwiedzili mnie Jarek i Marek. Czy można wymyślić lepszych świadków od oficerów ABW? Oni potwierdzą, że byłem w Warszawie w czasie, gdy popełniono morderstwo. Nawet jeśli zastrzelono Miss godzinę czy dwie po naszej rozmowie, musiałbym chyba dysponować prywatnym samolotem albo śmigłowcem, żeby zdążyć na czas zbrodni do byłej stolicy. Nie znałem niestety nazwisk oficerów. Ale miałem w telefonie komórkowym zapisany numer Jarka. Podałem go jednemu z przesłuchujących policjantów. Wyszedł dzwonić do drugiego pokoju i wrócił jakiś zasmucony. Czyżby kontakt ze smutnymi facetami z ABW był zaraźliwy? Jednak nie. Stwierdził, że były problemy z połączeniem, a potem numer przestał odpowiadać.

- Panowie - zawołałem - trochę dobrej woli. Popróbujcie jeszcze. Przecież prowadzicie śledztwo w sprawie o morderstwo.

Wyglądali na zdziwionych. Może nie wiedzieli, czym się zajmują?

- Niech pan da ten telefon - powiedział jeden.
- Obejrzał moją komórkę.
- To jest karta z innej sieci - stwierdził. - Bo ci chyba nie sprzedawali aparatów tej marki.
  - Co to ma do rzeczy?! - wrzasnąłem.
  - Skąd ma pan ten telefon?
  - Nawet jeśli go ukradłem, nie ma to w tej chwili znaczenia...
  - Pan go ukradł?
  - Zwariuję, to przecież Kafka.
  - Proszę powiedzieć, skąd ma pan ten telefon!
- Zrozumiałem, że najlepiej mówić tylko „tak” lub „nie”.
- Żadnych bardziej skomplikowanych myśli. Logika jedynie dwuwartościowa albo (jeśli wolicie określenie nowocześniejsze) system zero-jedynkowy.
- Dostałem go z redakcji, dla której pracuję.
  - Trzeba było tak od razu.
  - Dobrze, ale niech pan spróbuje odszukać tych oficerów z ABW.
  - To my prowadzimy dochodzenie.
  - Z tym muszę się, niestety, zgodzić, ale jeżeli ci faceci z Agencji potwierdzą, że byli u mnie, podejrzenia wobec mnie upadną.
- Popatrzył na mnie, a potem na kolegę. Nie wiem, co działo się w jego głowie (o ile w ogóle umiał włączać to skomplikowane urządzenie), ale był wyraźnie niezadowolony. Dlaczego? Czy czuł, że zwierzyna, czyli ja, może mu się wymknąć? A może nie lubił ABW? Słyszałem o wzajemnej niechęci tych dwóch instytucji - Agencji i policji - powołanych do podobnych celów.
- Telefon nie odpowiada - powtórzył. I już miał sprawę z głowy.

Gdy ja prowadziłem rozmowy w stylu Franza Kafki, na zewnątrz, w bardziej normalnym świecie, działo się wiele rzeczy. Zaraz po tym, jak mnie zabrali, Jadzia



zadzwoiła do Kasi. Dlaczego do Kasi? Bo tylko jej numer znała. Dowiedziała się, że Kasia jest w Krakowie, co więcej, jest wprowadzona w to, czym interesowałem się w ostatnim czasie. Dziennikarka obiecała Jadzi, że natychmiast zajmie się sprawą. Moja wspaniała sąsiadka, choć mogła uznać, że zrobiła, co do niej należy, dalej poszukiwała pomocy. Przypomniała sobie, że napisałem kiedyś kilka artykułów wspólnie z krakowskim dziennikarzem. Ponieważ wciąż powracał ten nieszczęsny Kraków, pomyślała, że dziennikarz może wie coś więcej. Posiedziała w Internecie i odnalazła redaktora Alfreda Kłonicę. Wysłała do niego e-maila, ale w chwilę później, nie czekając na odpowiedź, postanowiła zadzwonić. Fredek już miał relację od Kasi. Jadzia zrozumiała, że machina ruszyła,

Niedługo potem do Doroty czyli Kasi zadzwonił minister, u którego byłem w południe. Policja postanowiła sprawdzić u źródła moją wersję, że byłem u niego z wizytą. Był potwornie zajęty (szczyt NATO), a jednak znalazł czas na telefon. Chyba nawet, Kasia wyraziła takie przypuszczenie, kiedy opowiadała mi o wszystkim już później, dzwonił z samolotu, którym leciał ze swoim szefem do Pragi, i to używając specjalnej aparatury zabezpieczonej przed podsłuchem. Nie wiem, dlaczego miałby tak robić, ale niech tam, niech Kasinę będzie na wierzchu. Minister oświadczył, że po rozmowie ze mną ma do mnie zaufanie i nie wierzy w podejrzenia policji. A więc moja taktyka mówienia wprost, bez obawy, że zostanę uznany za idiotę, sprawdziła się (widzicie, niedowiarki i krytykanci?!). Od ministra dopiero Kasia dowiedziała się, o co jestem podejrzany. Natychmiast podzieliła się tą wiedzą z Fredkiem i Antosiem.

Moi przyjaciele rozpoczęli niezwykle intensywne śledztwo. Trudno sobie wyobrazić, żeby na przykład odpuścili, bo jakiś telefon nie odpowiada. Fredek po raz pierwszy, odkąd awansował na stanowisko sekretarza redakcji, przekazał wszystkie swoje obowiązki zastępcy

i zajął się wyłącznie dochodzeniem. A Kasia zdecydowała, że dopóki ja nie wyjdę, ona nie wyjedzie z Krakowa. Ruda dziennikarka poświęciła się i umówiła z Aptekarzem. Była przekonana, że facet wie lepiej niż ktokolwiek inny, co dzieje się w mieście.

- Jeżeli zamordowano ją na polecenie mafii, wycisnę to z niego. Choćbym miała użyć wyzymaczki.

- A jeśli nie? - spytał Fredek.

- Ten człowiek wie o wiele więcej niż policja.

- Założmy jednak, że zamordował ją jakiś psychiczny.

- Wtedy będzie trudniej go odnaleźć. Ale zostawmy takie rozważania na potem. Zajmiemy się tym, jeżeli Aptekarz wykluczy udział mafii. Najpierw pogadam sobie z tym lubieżnikiem...

- Uważaj na siebie.

- Dam sobie radę.

I oczywiście dała sobie radę. Dowiedziała się rewelacyjnych rzeczy. Aptekarz opowiedział jej o zdarzeniach, które miały miejsce w piątek wieczorem. Do mieszkania wynajmowanego przez Adajewicza przysła Trochełko. Już na klatce schodowej, zanim zapukała, wyciągnęła z torebki pistolet. Ktoś otworzył drzwi, dziewczyna weszła do środka i po chwili rozległ się wystrzał. Dziewczyna wybiegła i uciekła. Ale za chwilę wyrzwał Kola. Był cały i zdrowy.

- Skąd pan to wszystko wie? - zapytała Kasia Aptekarza.

Jej rozmówca rozejrzał się wkoło (siedzieli w kącie kawiarni), po czym ściszył głos, choć przy sąsiednich stolikach nikogo nie było.

- Nasz chłopak miał iść do Koli...

- Żeby go zabić?

- Tak. Wszedł już na klatkę schodową, ale za nim wparowała ta Trochełko. Postanowił przeczekać i schował się piętro wyżej. Stamtąd wszystko widział.

A potem zadzwonił do szefa z pytaniem, co ma robić. Bo coś mu się nie zgadzało.

- A szef?

- Powiedział, żeby zrobił swoje. Może myślał, że pójdzie to na konto tej pięknej laleczki.

- I co było dalej?

- Chłopak nie odezwał się więcej. W ogóle zniknął.

- Czy był ubrany w dżinsowe ubranko?

- Chyba tak.

- Czyli to Kola jego załatwił...

Aptekarz nic nie powiedział.

- Następnego dnia Kola umówił się z szefem.

- To znaczy w sobotę? - próbowała uściślić Kasia.

- Tak. Powiedział, że ma dowody na to, że ta Miss wszystkich oszukała. I po tej rozmowie szef odwołał polowanie na Adajewicza.

- Jakie to były dowody?

- Weksle, które Trochełko wystawiła Koli. Szef mnie zawołał, bo sam się na takich rzeczach słabo zna. Kazał mi sprawdzić, czy nie są fałszywe.

- Sprawdził pan?

- Oczywiście. Były prawdziwe. Chociaż Adajewicz ma pewnie możliwości wyprodukowania takich weksli...

- Jak to?

- To już nie moja branża, śliczna...

- Muszę natychmiast biec - powiedziała Kasia. - Jestem bardzo wdzięczna i na pewno odezwę się do pana. Zapłaci pan za mój sok? Dziękuję. I do zobaczenia wkrótce.

Aptekarz powiedział Kasi więcej niż Fredkowi. Te dwie wersje się uzupełniały i nie było w nich sprzeczności.

Gdy Kasia relacjonowała mi we środę swą wtorkową rozmowę z Aptekarzem, mój mózg zaczynał już pracować (właśnie wypilem drugą lampkę courvoisiera).

Boski napitek, zwłaszcza po prawie dwudziestu bezalkoholowych godzinach w towarzystwie bohaterów Kafki.

- Czyli Agnieszka próbowała zabić Adajewicza... - podsumowałem.

- Tak. Strzeliła i, nie sprawdzając, czy trafiła, uciekła. Typowe zachowanie amatorów.

- A ty jesteś profesjonalistką - powiedziałem. - Ty byś strzelała do skutku. Śmiertelnego skutku.

- Jeżeli już, to do celu, a nie skutku - odcięła się Kasia.

- Wyobrażam to sobie tak - umoczyłem usta w koniaku (ach, jaka przyjemność!). - Agnieszka próbowała wykraść weksle ze sklepu z winami. Nie wiem, dlaczego tam ich szukała...

- I nigdy się chyba nie dowiesz.

- Ale weksli nie znalazła. Postanowiła więc pójść do mieszkania Adajewicza i po prostu go zastrzelić. Zamiast weksli zniszczyć ich właściciela.

- Bardzo prawdopodobne. Ta dziewczyna musiała być w zupełnej desperacji.

- Na to wygląda - powiedziałem.

„Ale nie zapomniała wrobić ciebie. Cały czas cię oszukiwała. Mówiła o jakimś szantażu, bo chciała wzbudzić twoje współczucie...” - powiedział cicho mój głos wewnętrzny.

„Wrobić? Co za bzdury?”

„Dała ci pistolet do potrzymania, żebyś zostawił odciski palców”.

„Chciała mi go dać dla bezpieczeństwa”.

„Żebyś bezpiecznie mógł opowiedzieć swoją historijkę o stu butelkach wina? Co ci mogło grozić? Że ci zarzucą alkoholizm?”

„Opowiadasz głupoty!”

„A potem ukryła się w cieniu, a tobie kazała szukać jakiegoś doktora Dobrzańskiego. Dlaczego? Żeby ktoś cię zapamiętał blisko miejsca zbrodni. Przyprowadziła

cię tam specjalnie”.

To rzeczywiście układało się w logiczną całość.

„Cały czas była przekonana, że w mieszkaniu na drugim piętrze jest trup Koli. A dla ciebie wymyśliła wdzięczną rolę mordercy”.

„Daj jej spokój. Ona nie żyje. Jeżeli nawet tak było, jak mówisz, to spotkała ją już kara. I to wyższa niż przewidziana w kodeksie. Więc koniec. Nie wracajmy do tej sprawy. Nie chcę wiedzieć, jak było naprawdę”.

„Boimy się prawdy, co?”.

„Milcz, bo wyleję resztę koniaku i już nigdy w życiu nie wezmę do ust kropli alkoholu!”.

Nie wiem, czy uwierzył w moje groźby, ale zamilkł.

To było we środę. Na razie jest wciąż koszmarny wtorek, późny wieczór. Powoli uczę się myśleć bez kropli alkoholu w ustach i w bezustannej obecności natrętnych policjantów. Przychodzi mi do głowy, że sytuacja jak z Kafki, w której się znalazłem, to jeszcze jeden praski trop w tej nierzeczywistej historii. Bo przecież Kafka to Praga. Widziałem nawet przed dwoma tygodniami na Złotej Uliczce domek, w którym mieszkał autor Procesu.

Już właściwie w nocy zapada decyzja, żeby przebiec do Krakowa. Nie żadną więźniarką (bo nie jestem aresztowany, do tego trzeba sądu, i to właśnie sądu krakowskiego), ale szybkim passatem. Powiedziałbym nawet bardzo szybkim. Policyjny kierowca, nie zważając na mokrą nawierzchnię i niebezpieczeństwo poślizgu („mam ABS”) ani na ograniczenia szybkości (może nie obowiązują policji?), przemyka przez śpiącą Polskę ze średnią prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Ja zaś myślę, że listopad to dla mnie naprawdę niebezpieczna pora. Zabrakło dwudziestu jeden sekund, żebym wyleciał w powietrze.

Teraz zaraz mnie aresztują za morderstwo, którego nie popełniłem. Chyba że nie zdążą, bo ten policyjny kierowca Formuły 1 rozbija samochód na drzewie i pozabija wszystkich pasażerów. Czyli, w którą stronę nie spojrzę, wszędzie na horyzoncie pojawia się mój trup.

Jednak cudem dojeżdżamy w środku nocy do b. stolicy. Tu sytuacja zmienia się zasadniczo. Nadal mnie nie wypuszczają, ale moi koledzy wykonali mnóstwo świetnej roboty, więc policja nie jest już przekonana o mojej winie.

Komisarz Kroplówa, który prowadzi śledztwo, prawie zaakceptował udział trójki dziennikarzy w dochodzeniu. A ponieważ każdy z nich dwoi się i troi, więc właściwie pracują za wieloosobową brygadę kryminalną. Są wszędzie. Antoś, z policyjnym wywiadowcą, odnajduje panią z Orbisu, która sprzedała mi bilet na pociąg o siedemnastej. Pani zapamiętała mnie, bo gdy wydawała resztę, zadzwoniła moja komórka. A ona nie lubi takich osobników, którym dzwonią telefony tuż przy kasie.

To oczywiście żaden dowód. Mogłem bilet kupić, a potem wyrzucić.

Fredek i Kasia postanawiają odtworzyć moją drogę na dworzec. W związku z tym przepytują mnóstwo ludzi pracujących w różnych ulicznych stoiskach. I trafiają na świadka cennego jak brylant. Chłopak sprzedaje słynne krakowskie precle w podziemnym przejściu w drodze na dworzec. Ma własny wózek, po prostu kapitalista. W sobotę musiał z jakiegoś powodu zostawić interes i pojechać do Warszawy. Zastąpić go miała dziewczyna. Stał obok niej, wydając ostatnie dyspozycje handlowe, gdy powiedziała:

- Zobacz, to Trochełko, Miss Polski sprzed kilku lat.

Rozpoznała, mimo że Miss jak zwykle była okutana szalem, Agnieszkę. Chłopak spojrział, zobaczył również mnie i zapamiętał jako mężczyznę, który towarzyszył Miss. A potem znów spotkał mnie w pociągu, którym jechał.

- Ten pociąg nigdzie nie staje. Można wysiąść z niego dopiero w Warszawie - powiedział Fredek Kroplówie, gdy już przesłuchali sprzedawcę precli.

- Ale co zrobić z odciskami na pistolecie? W życiu nie wypuściłem podejrzanego, na którego miałem taki dowód: narzędzie zbrodni z odciskami palców.

- Komisarzy szanowny, to jest szyte grubymi nićmi - stwierdził Fredek. - Ktoś wyraźnie próbuje zrobić Konrada. Choćby ten świadek, który zjawił się tylko po to, żeby podać jego rysopis. A potem zniknął.

Już znacznie później, we czwartek wieczorem, gdy rozmawiałem z Fredkiem przy winku, mój przyjaciel wyznał, że przez krótką chwilę, naprawdę bardzo krótką, mnie podejrzewał. „Nie o morderstwo, szanowny”. Ale o to, że w coś wlałem w związku z Agnieszką, coś śmierdzącego i, nie mówiąc o tym, mataczę. Co znaczy „mataczyć”? Już wyjaśniam, bo słowo może się komuś przydać w bliższej lub dalszej przyszłości. Mataczyć to znaczy postępować pokrętnie, używając kłamstw lub kłamstewek. Czyli załatwiać coś przy pomocy intrygi lub podstępów. Szczególnie ponoć lubią mataczyć politycy. Ale to w ogóle istoty skłonne do podejrzanych zachowań.

Redaktor Kłonica szybko jednak zrozumiał, że to nie ja wlałem, ale ktoś mnie w coś próbuje wmanewrować. Nie jestem niebezpieczny, raczej w niebezpieczeństwie. Gdy ja odbierałem jego ukradkowe spojrzenia jako objaw podejrzeń, on martwił się o mnie. I zastanawiał, komu i dlaczego podpadłem.

We wtorek wieczorem (ja byłem jeszcze w Warszawie) nastąpił przełom w śledztwie. Do redakcji Fredka zgłosił się uczciwy obywatel. Tak się przedstawił. Co to za osoba? Nie znacie? Rzadko macie do czynienia?

A jednak wciąż bywają tacy.

Otóż pan ten przeczytał w poniedziałkowym wydaniu gazety artykuł Antosia o morderstwie na terenie hurtowni. A także o tym, że policja rozgląda się za taksówkarzem, który przywiózł Agnieszkę Trocheńko. Pan długo myślał, aż wreszcie zadzwonił do redakcji. Antosia nie było, więc połączono go z Fredkiem, bo każdy w zespole wiedział, że redaktor Kłonica bardzo intensywnie zajmuje się śledztwem. Pan oznajmił, że nie jest poszukiwanym taksówkarzem, ale dużo widział. I że za niewielkie wynagrodzenie opowie wszystko redaktorowi, który może rzecz opisać. Bo jednak uczciwość ma swoją cenę. Jest przecież połączona z ryzykiem: a nuż wieści o tym, że ten pan dużo wie, trafiają do ludzi, którym to nie na rękę?

Fredek wynegocjował przez telefon wysokość honorarium, a następnie zaprosił uczciwego obywatela do redakcji. Zadzwonił też do komisarza Kroplówy.

Obywatel spóźnił się trochę, ale Fredek, Antoś i Kroplówa czekali. Był w stanie wskazującym na spożycie, jednak wyrażał się precyzyjnie. Z przyjemnością schował do kieszeni kopertę.

- Nie przeliczy pan? - zapytał Antoś.

- Jesteśmy przecież uczciwymi ludźmi - odrzekł przybysz.

- Więc co pan widział? - zadał pytanie Fredek.

Kroplówa siedział w kącie i nie odzywał się. Przyrzekł wcześniej Fredkowi, że do końca rozmowy nie ujawni swej profesji.

- Wszystko. Najpierw przyjechała ta piękna.

- Taksówką?

- Takie piękności nie jeżdżą autobusami.

- A potem?

- Potem taki bardzo sympatyczny gościu. Ciemną astrą.

- Widział go pan?



- Tak jak pana redaktora. Zaparkował pod latarnią, więc wszystko widziałem.
- On pana nie widział?
- No nie. Bo ja się trochę zmęczyłem i usiadłem pod drzewem. W zupełnym cieniu.
- Skąd w ogóle się pan tam wziął?
- Ja tamtędy chodzę nieraz. To moja najkrótsza droga do domu...
- Był pan trzeźwy?
- A jakże, redaktorku. Wypiłem tylko trzy piwka.
- Tylko?
- No niech będzie. Cztery. Ale ani jednego więcej.
- Co pan jeszcze widział?
- Ta lala czekała na tego, który przyjechał. On miał klucz, otworzył i weszli do środka. Zaraz potem usłyszałem strzał...
- Ze środka? Słyszał pan pod tym drzewem?
- Tam jest cicho wokoło. Wieczorem wszystkie budynki pozamykane, a najbliższe domy daleko. Dobrze słyszeć.
- I co pan zrobił?
- Schowałem się w krzakach. Pomyślałem, że jak mnie zobaczy, to po mnie.
- Co było dalej?
- Usłyszałem, że samochód odjeżdża.
- Kto nim odjechał?
- Jak to kto? Ten gościu...
- Pan przecież tego nie widział...
- No nie, ale jak przeczytałem, że zabił piękną...
- Może tam był jeszcze ktoś w środku?
- Zamknięty? Ten gościu miał klucz i otworzył kłódkę.
- To była kłódka? Nie zamek?
- Redaktorze, ja widziałem mordercę, a pan mnie o zamek pyta...
- No dobrze, niech pan opisz tego „gościu”.

Nie był to ponoć zbyt dokładny rysopis, ale Fredek się zastanowił. Poszeptał z Antosiem i ten wyszedł.

- Musi pan poczekać, szanowny - powiedział dzienni karz do ucziwego obywatela. - Mój kolega przyniesie kilka zdjęć. Może pan tego „gościu” rozpozna.

Trwało to jakiś czas, obywatel dostał nawet herbatę i oświadczył, że bardzo mu się w redakcji podoba.

- Proszę, oto zdjęcia - wrócił Antos.

Kroplówa wysunął się z kąta i też popatrzył. Antos znalazł kilka zdjęć przedstawiających dość podobnych dżentelmenów.

- To ten! - głośno i wyraźnie rzekł obywatel, wskazując na pana, który stał sobie w gromadce innych miłych panów.

- Na pewno?

- Mówiłem przecież, że widziałem go tak jak pana redaktora teraz. Pana też mogę rozpoznać.

- Czy pan zgodzi się to powtórzyć przed sądem? - odezwał się po raz pierwszy Kroplówa.

- Jak go już posadzą, czemu nie? Zabić taką piękną, to przecież zbrodnia.

Nad ranem we środę siedzieliśmy w pokoju komisarza Kroplówy we trzech (bo był też Fredek) i rozmawialiśmy. Każdy z nas był równie niewyspany i zmęczony, tylko ja bardziej zarośnięty od pozostałych.

Komisarz naprawdę nazywał się Jerzy Chilp i stanowił dla mnie duże zaskoczenie. Wyglądał na profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, miał okulary, gęste siwe brwi i siwą czuprynę, choć nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Najbardziej zdziwiło mnie jednak, że facet nie tylko wyglądał, ale i myślał po profesorsku. W przeciwieństwie do swych warszawskich kolegów umiał włączyć urządzenie zwane głową, często to robił i znał dobrze instrukcję jego obsługi.

Moja sytuacja wyraźnie się zmieniła. Byłem po prostu jednym z trzech facetów zainteresowanych wyjaśnieniem okoliczności morderstwa. Choć nie wiem, co by się stało, gdybym wstał i oświadczył, że sprawa mnie znudziła i udaję się na spacer. Fredek mógł to zrobić w każdej chwili. A ja postanowiłem jeszcze z tym poczekać. Czyli Kafka wciąż we mnie siedział.

Podobno cała krakowska policja kryminalna nastawiona została na zbieranie dowodów mej niewinności. Aktualnie szukano smutasów z ABW. Telefon do Jarka, który podałem jeszcze policji w Warszawie, nadal nie odpowiadał. Fredek z Kroplówką wymyślili więc inny sposób dotarcia do bardzo utajnionych tajnych agentów. Przez śmigłowiec. Agenci mogli być moim snem albo wymysłem. Od początku wydawali mi się złudzeniem optycznym. Śmigłowiec z pirotechnikami na pokładzie, który co prawda z opóźnieniem, ale przyjechał ratować nas przed bombą, nie był złudzeniem. Widzieli go Fredek i Antoś, Agata i - jak on ma na imię? - Krystian, widziałem ja i widział Stempel. To nie mógł być sen, chyba że sen zbiorowy.

Aby wysłać śmigłowiec na akcję, trzeba uzyskać od kogoś zgodę. Są jakieś procedury, ktoś wydaje rozkaz wylotu i tak dalej. To wszystko zostawia ślady. Można nie znaleźć ludzi, ale lot helikoptera sprzed paru dni był na pewno odnotowany w wielu miejscach. Choćby dlatego, że taki lot sporo kosztuje. A tam, gdzie wchodzi w grę pieniądze, przeważnie jest dużo papierków.

Zwrócono się do ABW o wskazanie osób albo osoby, która wysłała helikopter. Agencja odmówiła. To jest tajne przez poufne - tak mniej więcej brzmiała odpowiedź. Fredek zadzwonił więc do Kasi, a ona nagrała się w poczcie głosowej ministra. I zanim minister odzwoił (z Pragi), ABW odezwała się, że jednak po namyśle pójda na rękę krakowskiej policji. Czyli minister zadziałał błyskawicznie.

Ale zaraz zaczęły się schody i podchody. ABW stwierdziła, że choć helikopter z saperami na pokładzie rzeczywiście latał i wykonał zadanie (co by na to ostatnie powiedział Stempel?), to w dokumentacji są braki i nie można stwierdzić, kto wydał polecenie.

- Może faceci naprawdę są utajnieni - stwierdził Fredek.

- Albo nie chcą ich odtajnić z wyższego piętra - rzekł komisarz Kroplówka.

Kroplówie już po pierwszym przesłuchaniu fałszywego świadka zdawało się, że ma do czynienia z próbą skierowania śledztwa na boczny tor. Potem pojawiłem się ja w roli podejrzanego, do której - jego zdaniem - zupełnie nie pasowałem. Gdy okazało się, że na pistolecie naprawdę są moje odciski palców, uznał, że za tym wszystkim stoją fachowcy. A kiedy zaczęły się problemy z Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego, doszedł do wniosku, że za sznurki pociągają służby specjalne.

- Jeżeli tym panom wydaje się, że zagram w ich grę, to grubo się mylą - oświadczył. I dodał: - To są szachy, a oni myślą, że polo. Inne reguły. Tu trzeba z głową, panowie.

Po czym kazał mnie zwolnić.

„Niechże ta jesienna historia wreszcie się zakończy!”, myślałem, idąc niespiesznie ulicą Floriańską.

Przed chwilą przebrzmiał hejnał mariacki, a teraz doleciał mnie zapach świeżej kawy, więc postanowiłem wejść do pierwszej z brzegu kafejki albo barku, aby po prostu chwilę posiedzieć nad filiżanką. „Mam kaprys, więc wchodzę. Jestem przecież wolnym człowiekiem”.

Czułem się dobrze. W garsonierze Fredka wykapałem się i włożyłem kupioną w pobliskim sklepie nową koszulę. Nie chciało mi się wspominać koszmaru ostatnich godzin. Jednak aby wrócić do Warszawy i zapaść w spokojny zimowy sen, musiałem załatwić jeszcze jedną bardzo ważną sprawę. Uświadomiłem to sobie z całą siłą, gdy przechodziłem obok Jamy Michalikowej. W tej kawiarni dokładnie dwa tygodnie temu omawialiśmy z Agnieszką projekt telewizyjnego programu.

Właściwie już wszystko wiedziałem. Z opowieści Fredka wyłonił się jasny, dla mnie wręcz przejrzysty, obraz. Czy byłby on równie przejrzysty i jednoznaczny dla sądu?

Postanowiłem odbyć dzisiaj jeszcze kilka spotkań. Najpierw z Krystianem. Chciałem mu powiedzieć, że Laura Bush nie przyjedzie, więc nie musi obawiać się

żadnych niespodzianek na Wawelu. Powinien wrócić do pracy, zaś na przyszłość uważniej dobierać sobie przyjaciół.

Spotkaliśmy się na Rynku. Nie padało, a ja pragnąłem jak najwięcej otwartej przestrzeni. Zaproponowałem spacer. Chodziliśmy wokół Sukiennic i rozmawialiśmy. Chłopak wspomniał, jak przeżywali z Agatą wiadomość o podejrzeniach pod moim adresem.

- Agata powiedziała, że nigdy w to nie uwierzy, bo jesteś najuczciwszym człowiekiem, jakiego zna.

- Pozdrów ją koniecznie ode mnie i powiedz, że zaufanie krakowskiej blondynki ma dla mnie wielkie znaczenie.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, aż zapytałem:

- Nie powiedziałaś mi do tej pory, kto właściwie uwięził cię w twoim domku?

- Myślałem, że wiesz.

- Wiem, czy raczej domyślam się, ale chciałbym, żebyś to potwierdził.

I Krystian mi powiedział.

Niedługo potem znów spacerowałem. Tym razem po Plantach z Marianną. Dziewczyna trzymała otwartą parasolkę, choć zaledwie mżyło. A mnie dzisiaj wyjątkowo jesienna wilgoć mało przeszkadzała.

- Nie będę cię wypytywał o drobne kłamstewka, które mi mówiłaś.

Zrobiła minę obrażonej dziewczynki.

- Nie zaprzeczaj. Lubię cię mimo wszystko. Ale o dwie rzeczy muszę zapytać.

- Jakie?

- Po pierwsze, chciałbym usłyszeć prawdę o tym, co robiłaś w sobotni wieczór. Wtedy zamordowano Agnieszkę.

I Marianna również mi powiedziała.

- A co miałaś mówić, gdyby ktoś cię zapytał? Wiesz chyba, że policja podejrzewała mnie o zabójstwo Agnieszki. Czy nie sądzisz, że miałaś odegrać rolę w planie, którego celem było zrobienie ze mnie mordercy?

Dziewczyna-dziecko rozplakała się. Może grała komedię, a może nie. Dałem jej chustkę.

- Otrzyj łzy. I powiedz... Będzie ci lżej, kiedy powiesz mi prawdę.

- Ale ja się boję.

- Wiem. Musisz pokonać ten strach. W przeciwnym razie nigdy nie odzyskasz wolności.

Z oporami, powoli, ale w końcu mi powiedziała. Elementy układanki coraz lepiej pasowały do siebie.

- To jeszcze mi powiedz o czerwonym sznurku...

- Co takiego?

- Ktoś przywiązał czerwone sznurki do obroży Kraba i kłanki mieszkania Jakuba. Czy to ty?

- Skąd...

- Ale masz czerwony sznurek!

- Mam. Bo to mój sposób zawiadamiania Koli.

- Nie rozumiem.

- Jest kilka takich miejsc w mieście. Na przykład przystanek autobusowy koło mojego mieszkania. I tam mam przywiązać kawałek sznurka, gdy chcę się z nim spotkać.

- To dlatego mówiłaś, że on cię zawsze znajdzie, gdy tego potrzebujesz?

- No tak. On do mnie dzwoni, gdy zauważy sznurek.

- Czy wiesz, że takie metody stosują szpiegowie?

Milczała.

- Czy to Kola przywiązał sznurki do obroży Kraba i drzwi mieszkania Jakuba?

Nie odpowiedziała.

- To miał być sygnał dla ciebie. Wszystko rozumiem. Biedna Marianna.

Znów zaczęła chlipać. Przywarła do mojego ramienia, a ja przypomniałem sobie, że bywa ona dziewczyną-powojem.

- Nie powiesz Jakubowi? - spytała.

- Sama mu powiesz. Może jeszcze nie dziś, ani jutro, ale za kilka dni. On ci wybaczy, jestem przekonany. A tobie będzie łatwiej żyć.

Odprowadziłem Mariannę i pojechałem odwiedzić Stempla. Zmył się tak szybko, ledwo zobaczył konkurencję, że nie zdążyłem mu podziękować.

Rozmawialiśmy jak starzy dobrzy znajomi. Wspólna bomba mocno łączy. Brakowało niecałe pół minuty, a połączyłaby nas na tyle, że trudno byłoby odróżnić, który kawałek jest czyj. Czy to noga Stempla, czy może moja? A ta rączka? Do którego z szanownych panów należy? Chyba jednak do pana Stempla, bo brakuje paluszków.

Mówiłem coś o wynagrodzeniu za jego trud, ale fachowiec oświadczył:

- Ratuję za darmo, tylko wysadzam za pieniądze, wiesz.

Oczywiście zainteresowałem się, ile kosztuje jakieś proste wysadzenie. Cena była dość wysoka, zwłaszcza jak dla dziennikarza bez etatu. Dla stałych klientów przewidziane są co prawda rabaty, nie sądziłem jednak, że będę często korzystał z usług Stempla. Gdy wychodziłem od niego, mówiąc, że na pewno niejedną raz jeszcze wpadnę, zadzwoniła Kasia. Ona niedługo opuszcza Kraków, a chciałaby się ze mną zobaczyć przed wyjazdem. Miłe.

Umówiliśmy się w kawiarence, w której pijam co urwoisiera z księciem Augustem. Spędziliśmy godzinę na interesującej rozmowie. Nie powiedziałem jej, co zamierzam zrobić, ale ona chyba się domyślała.



- Daj znać, jak będzie po wszystkim - powiedziała na pożegnanie. Pocałowała mnie i pobiegła na pociąg. Jak zwykle piękna, jak zwykle ruda. Po prostu Dorota czyli Kasia.

Książę zjawił się w chwilę potem. Wyciągnąłem z torby niewielką butelkę absyntu. Ozdobna flaszeczka, z wyrżniętym w szkłe secesyjnym wzorem, miała już swoją historię. Kupiłem ją w Pradze dla Agnieszki, kiedy dowiedziałem się, że nie przyjedzie. Nie pamiętam, z jaką intencją. Może miała jej przypominać o naszym wspólnym, niestety nieudanym, przedsięwzięciu? Zawiozłem butelkę do Warszawy i potem zapomniałem zabrać do b. stolicy. W ostatnią sobotę, gdy wróciłem do domu i jeszcze przeżywałem rozmowę z panią Miss w drodze na krakowski dworzec kolejowy, wyciągnąłem absynt z szafki. Chyba miałem zamiar wypić zdrowie Agnieszki. Nie wiedziałem przecież wtedy, że już nigdy nie zobaczę pięknej pani Miss. Ale potem przyszli smutni panowie z ABW i zająłem się z konieczności czymś innym. W niedzielę rano, ponieważ butelka stała na widoku, wsunąłem ją do podróźnej torby. Jechałem znów do Krakowa, na spotkanie z Czeczenami. Pomyślałem, że zadzwonię do Agnieszki i umówię się z nią pod pretekstem, że mam dla niej prezent. Bardzo odpowiedni prezent. Rozmawialiśmy przecież o tym, że upijemy się wspólnie któregoś dnia.

Potem butelka leżała sobie u Fredka, aż dziś ją zauważyłem.

- To dla ciebie - podałem ją Augustowi. - Przywiozłem ją z Pragi dla Agnieszki. Jesteś najwłaściwszą osobą, której mogę to teraz dać.

- Przyjmuję - powiedział poważnie książę. Opowiedziałem mu o działaniu przez psy. Słuchał z dużym zainteresowaniem.

- Dlaczego mi to opowiadasz? - zapytał.

- Bo chcę cię zapytać, co byś dał za ukaranie mordercy Agnieszki?

Spojrzał na mnie przenikliwie. To był jednak niesamowity człowiek. Wyobraziłem sobie, jak przez jego głowę przelatuje teraz kilkanaście możliwych interpretacji ostatniego mojego zdania. I książkę wybiera właściwą.

- Rozumiem - powiedział. - Ile to kosztuje? Wymieniłem sumę.

- Otrzymasz ją jeszcze dziś. Mam trochę cennych rzeczy i wielu chętnych kupców. Wystarczy zatelefonować.

- Zwrócę ci pieniądze, jak tylko trochę zarobię.

- Niestety, to niemożliwe, mój panie. Jeżeli za coś płacę, to nie oczekuję zwrotu.

- Przynajmniej podzielmy się kosztami.

- Nie, Konrad. Ja ją kochałem i jeśli mogę coś jeszcze zrobić dla niej... Nawet coś takiego.

Po spotkaniu z Augustem pojechałem do redakcji.

- Fredku, chciałbym zabrać kasetkę - powiedziałem przyjacielowi. - Czy masz ją jeszcze w sejfie?

- Chyba już sprzedałem na pchlim targu - zażartował.

- Oczywiście, że mam.

- A czy nauczysz mnie, jak się ją otwiera i zamyka?

Daję ci słowo, że już jutro nie będę pamiętał tych złodziejskich sztuczek...

Spojrzał na mnie poważnie i spytał:

- Czy to konieczne?

- Wydaje mi się, że tak.

- Mówiłeś, że masz dwie lewe ręce do takich rzeczy.

- Bo tak jest. Bywają jednak chwile, kiedy lewą ręką trzeba zrobić coś, czego człowiek nie robił nigdy nawet prawą.

- Twoje głębokie myśli przerastają mnie zupełnie.

Nauczyłem się stosunkowo szybko.

„Jednak minąłeś się z powołaniem” - powiedział mi głos wewnętrzny. - „Byłby z ciebie kasiarz, jak się patrzy”.

„Kasiarz nie powinien pić” - odpowiedziałem mu. - „Wyobrażasz sobie otwieranie sejfu przez człowieka, któremu trzęsą się ręce? To scena z farsy”.

„Trochę przesadziłeś. Halucynacje alkoholowe, jakieś zwidy albo Golemy, to ci się zdarza. Ale rączusie masz w porządku. Przecież nawet bombę przносиłeś z pewnością godną sapera”.

Z redakcji zadzwoniłem do Marianny i poprosiłem ją o umówienie mnie z Kołą.

- Zostaw czerwony sznureczek w jednym z waszych miejsc - powiedziałem.

- Wtedy zatelefonuje.

- O to chodzi. Poproś go, żeby zadzwonił do mnie. Chcę mu zwrócić kasetkę, aby wreszcie skończyć tę absurdalną historię. Dobrze?

- Dobrze.

- Zależy mi na pośpiechu. Bo ja mam dość tego wszystkiego i chcę jak najszybciej jechać do domu.

Potem zadałem jej jeszcze jedno pytanie, na które chciałem mieć wyraźną odpowiedź. Niby doskonale znałem tę odpowiedź. Ale przecież mogło być i tak, że podsuwa mi ją mój szalony umysł. Że ja sobie coś tylko uroiłem, a cała ta historia, którą wysnułem z praskich mgieł i lektury powieści Meyrinka, dzieje się wyłącznie w mojej wyobraźni. Bardzo mi więc zależało, żeby Marianna wypowiedziała na głos moje podejrzenia. Ona bała się mówić, a ja przez telefon nie byłem chyba dosyć przekonujący. W końcu jednak powiedziała.

Koła zadzwonił jeszcze tego wieczoru i umówiliśmy się na następny dzień. Czyli na czwartek. Dzień, w którym miał się zrealizować czeचेński spiszek. Trzeci czwartek listopada to także święto młodego beaujolais. Na szczęście wino pije się dopiero wieczorem, a my mieliśmy się spotkać koło południa. Oddam mu kasetkę

(„to się przecież panu należy” - powiedziałem) i zakończę tę historię. Jeśli mnie nie zabije, to potem z przyjaciółmi pójdę na przechadzkę winnym szlakiem. Od knajpy do knajpy. Żeby wreszcie urwał się ten film.

„Może powinienem pojechać na Wawel i zaczerpnąć trochę energii z czakramu?”, pomyślałem, budząc się rano we czwartek w garsonierze Fredka. „Energia może mi się naprawdę przydać. A przy okazji zobaczę miejsce, w którym miała się rozegrać najważniejsza część tej nieprawdopodobnej i nierzeczywistej historii”.

- Czy wpadniesz do redakcji? - zapytał gospodarz. - Będą dla ciebie pieniądze. Zaliczka za tekst, który wspólnie napiszemy.

- Oczywiście, że wpadnę. Po pieniądze to ja zawsze. A ponieważ dziś przybywa nowe beaujolais, to wieczorem zapraszam ciebie, Antosia oraz wszystkich przyjaciół i znajomych na wino.

- Czyli szykuje się prawdziwie krakowska noc... Jaka szkoda, że wyjechała nasza śliczna ruda koleżanka.

Zadzwoń do Antosia i zapytaj, czy nie pożyczę ci na kilka godzin samochodu.

- Ty masz w ogóle prawo jazdy? - zafrasował się młody dziennikarz.

- Oczywiście. Tylko rzadko bywa mi potrzebne:

- Kurdemele, to ty jesteś niedzielnym kierowcą, jak Agata.

- Powiedziałbym nawet, że wyłącznie czwartkowym. Bo dziś jest czwartek.

Zgodził się, choć trudno byłoby powiedzieć, że uczynił to z entuzjazmem.

Po godzinie wsiadłem więc do polo, a Antoś udzielał mi niekończących się instrukcji.

- Tylony bieg wchodzi trochę ciężko, więc uważaj...

- Będę cały czas jechał tylko do przodu - oznajmiłem, choć byłem przygotowany na każdy wariant.

- Naprawdę uważaj - przestrzegał brodac. - Ten samochód to cały mój dorobek.

- A ja? - zapytałem. - Ja nie jestem całym moim dorobkiem? Czy moje ciało, które narażam na niebezpieczeństwo, nie jest moją jedyną w miarę pewną własnością?

Antoś chyba nie zrozumiał mojej przemowy.

- Myślisz, że nie obawiam się, iż któraś z bomb tej historii wybuchnie, gdy będę w pobliżu, i że nie będzie miał kto dokończyć tego wszystkiego. Chociaż podobno, jak powiedział Wolter, człowiek ma nadzieję przez całe życie. I umierając, też ma nadzieję.

- To powodzenia.

Nie dziękowałem, bo to - zdaje się - szkodzi przedsięwzięciu. Wsiadłem w samochód i udało mi się ruszyć bez zgrzytów oraz w miarę równo. Czy uspokoiło to trochę Antosia, którego widziałem w bocznym lusterku, jak odprowadza wzrokiem ukochany pojazd i mnie przy okazji?

Umówiony byłem na polnej drodze, kilkanaście kilometrów za Krakowem. I choćby dlatego potrzebny był mi samochód. Po drodze musiałem jeszcze załatwić drobną sprawę: zabrać kasetkę dla Mikołaja Adajewicza. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym ją przewieźć pojazdem komunikacji publicznej, i z tego powodu również potrzebny był mi samochód.

Kola dokładnie wyjaśnił mi, jak dojechać, znalazłem więc miejsce rendez-vous bez trudu. Zostało znakomicie wybrane. Zakryte kępą drzew od strony szosy, która równocześnie była dobrze widoczna dla każdego, kto wszedł lub wjechał między drzewa. Jeżeli on tam już był, to miał mnie jak na dłoni. Ale chyba nie. Przyjechałem bowiem specjalnie wcześniej, aby rozejrzeć się po okolicy. Adajewicz jednak wpadł na ten sam pomysł. Był w dwie minuty po mnie. Zatrzymał się w sporej odległości ode mnie i zawołał przez uchylone drzwi samochodu:

- Teraz wyjdę, ale będę miał cię cały czas na muszce. Niech nie przychodzą ci do głowy żadne numery... Za chwilę weź kasetkę i, trzymając ją w dwóch rękach przed sobą, podejdź do mojego samochodu. Połóż kasetkę na przednim siedzeniu. Potem wróć do swojego samochodu i, nie oglądając się za siebie, odjedź. Mam nadzieję, że jest w niej wszystko. Bo jeśli nie, znajdę cię niebawem.

- Kasetka jest zamknięta - zawołałem w odpowiedzi. - Na pewno jest w niej wszystko, co potrzeba.

Zrobiłem tak, jak mi kazał. Nie spoglądałem nawet w kierunku krzaków, za którymi się ukrył. Delikatnie, choć ponoć wcale tego nie wymagała, przeniósłem kasetkę i włożyłem do opla Koli. Potem wróciłem do samochodu Antosia i, żeby nie włączać tylnego biegu, wykonałem małe kółeczko. Znalazłem się na drodze do Krakowa. Przejechałem kilkaset metrów i wjechałem za kolejną kępę drzew. Tu się zatrzymałem. Wyszedłem z samochodu i zacerpnąłem głęboko powietrza. Było wilgotne i pachniało mokrym lasem. Choć nie padało, to nad ziemią wisiały nisko ciemne chmury. Stałem i nasłuchiwałem. Huk nie był specjalnie głośny. Mógłbym powiedzieć nawet, że oczekiwałem czegoś bardziej efektownego. Wsiadłem znów do samochodu i raz jeszcze wykonałem małe kółeczko. Coraz lepiej mi to wychodziło, jeszcze trochę, a zostanę zawodowym kierowcą.

Przejechałem wolno kilkaset metrów, rozglądając się uważnie na wszystkie strony. Nie zauważyłem, aby kogoś zwabił huk czy raczej huczek wśród kępy drzew. Naprawdę facet znakomicie wybrał miejsce. Znał się na rzeczy. Zanim zatrzymałem się, wykręciłem samochód i ustawiłem go tak, żeby móc jak najszybciej odjechać w stronę stołecznego królewskiego miasta.

Tym razem musiałem włączyć bieg wsteczny, ale udało mi się to bez żadnego problemu. „Będę musiał poćwiczyć z Antosiem. Trzeba pokazać chłopakowi, jak należy to robić”, pomyślałem.

W przedniej części samochodu Koli widniała ogromna wyrwa.

- To jest bardzo precyzyjne urządzenie, wiesz - powiedział mi Stempel, kiedy odbierałem od niego przed dwoma godzinami kasetkę. - Gdy ktoś otworzy zameczek, wybuchnie. Ale zlikwiduje tylko otwierającego. W razie czego stań dwa, trzy metry dalej. Najwyżej zrani cię jakiś odłamek.

- Poczekaj - powiedziałem. - Włożę paszporty. Może przydadzą mu się w dalszej drodze.

- Czy tam są granice i celnicy?

- Nie wiem. Co gorsza, może tam nie być również strefy wolnoctwowej. Gdzie w takim razie kupuje się tani alkohol?

Stempel nie wykazał zrozumienia dla tego poważnego problemu.

- Czy teraz już mogę zamknąć? - spytałem.

- Tak. Zamknij. I pamiętaj, nie próbuj jej otwierać.

- Będę ją wiozł samochodem, po polnej drodze z wybojami.

- Możesz nawet nią rzucać. Nie wolno tylko przekreślić klucza w zamku.



Dałem mu kopertę z pieniędzmi, które otrzymałem wieczorem od Augusta.

- Uważaj, wiesz.

Rozumiałem dobrze stan jego uczuć. Kilka dni temu, w niedzielę, uratował mnie od niechybnej wybuchowej śmierci. Zainwestował w moje życie trochę pracy i nerwów. A ja już narażałem tę inwestycję.

- Do zobaczenia - powiedziałem.

- Zawsze do usług, wiesz. Zawsze frontem do klienta.

Stałem jeszcze przez chwilę przy samochodzie Koli.

„A więc Golema już nie ma”, pomyślałem sobie.

„Rozpadł się na wiele kawałków, gdy wypowiedziałem zakłęcie. Nie będzie więcej zabijał ani straszył ludzi. A ja go nawet nie widziałem nigdy z bliska. Za każdym razem z dystansu, z odległości kilkunastu przynajmniej metrów”.

„Chyba że...” - wtrącił się mój głos wewnętrzny.

„Chyba że co? Że któregoś dnia przebudzi się i nagle wyjdzie z jakiegoś ciemnego zakamarka? Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Dziś bomby są solidne, niezawodne. Zabijają na dobre i nieodwołalnie”.

Przejechałem kilkaset metrów i znów zatrzymałem się za znajomą już kępą drzew. Zadzwoiłem do Fredka i powiedziałem:

- Podobno Kola zginął od bomby. Mogę ci nawet powiedzieć, gdzie to się stało. Kilkanaście kilometrów za miastem. Policja chyba jeszcze nic nie wie. Miejsce jest odludne i może trochę czasu upłynąć, nim ktoś tam trafi.

- Może Antoś pojedzie? Chociaż on podobno nie ma dziś samochodu...

- Tak, bo pożyczył go mnie.

- To ty prowadzisz, szanowny?

- Tylko we czwartki... A dokładniej w jeden czwartek w roku. Właśnie dziś.

- To może ty tam podjedziesz? Wiesz dobrze, gdzie to się stało.

- Wolałbym nie. Niech Antoś weźmie samochód redakcyjny. A jego zwrócę mu niedługo.

- OK.

Chciałem, żeby poło przestało się już kręcić w okolicy. Niby było pusto, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Wysłałem jeszcze SMS-a do Kasi: „Koła podobno zginał od bomby. Golem nie istnieje”. Odpowiedziała po chwili: „Jestem z tobą. Trzymaj się!”

Ach, jak bym chciał wysłać podobnego SMS-a do Agnieszki. „Nie boj się. Jego już nie ma”. Ciekawe, co by odpowiedziała? Ale na to było za późno.

Pojechałem więc do Krakowa. Zaparkowałem tam, gdzie zazwyczaj stawiał samochód Antoś. Już z redakcji zadzwoniłem do księcia Augusta i powiedziałem mu:

- Psy wykonały swoją robotę.

- Jest pan niezwykłym człowiekiem - oświadczył, a ja zapytałem:

- Nie mógłbyś się wreszcie zdecydować, czy jesteśmy na pan czy na ty?

Roześmiał się i rzekł:

- Będzie mi bardzo przyjemnie, jeżeli będziemy sobie mówić po imieniu. Postaram się teraz już pamiętać, panie Konradzie.

Siedzieliśmy z Fredkiem, który jak zwykle w środku dnia miał niewiele roboty, i porządkowaliśmy naszą wiedzę. Mamy przecież napisać wspólnie artykuł, a może nawet serię artykułów o zbrodni, która poruszyła Kraków.

- Jesteś pewien, że to on zamordował Agnieszkę Trocheńko? - zapytał mój przyjaciel.

- Nie mam żadnych wątpliwości. Także on uwięził Krystiana, skazując go na okrutną śmierć z głodu. Chłopak mi to wyznał. Ten człowiek nie znał litości ani

żadnych ludzkich uczuć.

- Nie przesadzasz? A Marianna? Chyba lubił tę dziewczynę.

- On ją jedynie wykorzystywał. Nie tylko seksualnie. Ostatnio zmusił ją do tego, żeby w razie czego dała mu alibi.

- Co?

- Marianna miała zaświadczyć, że spacerowała z nim cały sobotni wieczór.

- I ona się na to zgodziła?

- Postraszył ją, że zrobi krzywdę Jakubowi i jego pieskowi. Czerwone sznureczki to był dla Marianny czytelny sygnał. Znała dobrze ten sznurek, bo używała takiego samego do kontaktowania się z nim. Informacja była przeznaczona dla niej, a nie dla Jakuba, i zawierała czytelną treść: widzisz, z jaką łatwością mogę dopaść tego pieska i jego właściciela. To ją przeraziło na tyle, że się zgodziła.

- Ona pewnie się domyśla, że to Kola zamordował Miss?

- Marianna wie. Bo Kola jej to powiedział.

- Naprawdę?

- Jemu się wydawało, że dziewczyna jest jego niewolnicą... Może zresztą niegdyś tak było. Marianna to typ powoju, ona potrzebuje podpórek. Ale ostatnio się zmieniła.

- Nie zauważyłem.

- Zapytaj ją o Jakuba i popatrz wtedy na nią.

- Mamy też zeznanie uczciwego obywatela, który z kilku zdjęć wybrał podobiznę Koli - Fredek wrócił do zasadniczej sprawy.

- Wyobrażam sobie wszystko bardzo dobrze, jakbym cały czas przy tym był. Agnieszka rzeczywiście pogubiła się zupełnie. Straciła pieniądze mafii, potem także pieniądze Adajewicza. Nie wiedziała, co robić. Wymyśliła więc, że jeśli ukradnie weksle, które dała Koli, to potem jakoś dogada się z Gangreną i jeszcze raz

wygrzebie się z dołka. Szukała weksli w sklepie z winami. Może właśnie tam je podpisywała i sądziła, że Kola ich nie zabrał? Ale weksli nie było. Wtedy poszła go zabić. Nawet sądzę, że ona już wcześniej przewidywała taki scenariusz. Musiała być w stanie zupełnej desperacji.

- To dlaczego Kola pobił tego fałszywego właściciela sklepu? Jeżeli Trochełko nic nie zabrała?

- Nie wiem. Może jednak Agnieszka coś znalazła i zabrała na wymianę? I poszła do Koli z pistoletem w jednej ręce, a z tym czymś w drugiej?

- To wygląda sensownie.

- Ale Kola był za cwany na takie numery. Więc pozostało jej strzelać... Strzeliła do niego, nie trafiła, ale wydało jej się, że go zabiła. Albo uciekła ze strachu. Zadziałał stres, huk wystrzału... Upuściła pistolet i po prostu zwała. A Kola wziął pistolet, na którym były moje odciski palców. Tego oczywiście nie wiedział... Pewnie uznał, że ona robi się niebezpieczna, więc postanowił sprawę rozwiązać po swojemu. Zadzwoił do niej i powiedział, że jeżeli jej tak bardzo zależy, to odda jej weksle. Może właśnie za to coś, co proponowała na wymianę?

- Myślisz, że mu uwierzyła?

- Chyba tak. Do Koli strzelano wiele razy i robiło to na nim średnie wrażenie. Ale Agnieszka mogła sobie wyobrazić, że przestraszył się jej determinacji.

- Umówili się w hurtowni. Ona była przekonana, że idzie po weksle, a on pojechał tam, aby ją zabić.

- Powinna była wiedzieć, że Kola jest sto razy lepszy od niej w grze w zabijanie. Żałuję, naprawdę żałuję, że nie udało mi się wtedy w sobotę skłonić jej do wyjazdu. A może trzeba było zrobić tak, jak mówił książę August: zmusić dziewczynę do ucieczki siłą?

- Wróćmy jeszcze do wcześniejszych wydarzeń. Po co zabrała ciebie do tego mieszkania, w którym strzelała do Koli?

- Tego nie wiem i nie chcę już wiedzieć - powiedziałem.

„Jakiś ty szlachetny, ani złego słowa o dziewczynie, która zamierzała zrobić cię w morderstwo” - odezwał się mój głos wewnętrzny.

„Już to sobie wyjaśniliśmy i nie wracajmy do tej sprawy”.

„Powiem ci tylko jeszcze jedno, co mnie szczególnie śmieszy w tej historii”.

„Historia, w której zginęła Piękna, jak nazwał ją uczciwy obywatel, ciebie śmieszy? Czy ty, jak Golem, nie znasz ludzkich uczuć?”.

„Śmiesz mnie nie śmierć Pięknej, ale ty... Czy wiesz, że sam się zgłosiłeś do roli podejrzanego o morderstwo? Wtedy, gdy do niej zadzwoniłeś w piątek”.

„A któż to mnie namawiał do kontaktu z Agnieszką?! »Nie spróbujesz, nie będziesz wiedział«! Ja dobrze wiedziałem, że jesienią tylko nieszczęście może z tego wyniknąć. Tylko nieszczęście!”.

- Powiedz, Konrad, czy my możemy z tego zrobić artykuł? Mamy przypuszczenia i hipotezy...

- Dysponujemy mnóstwem faktów. Uczciwy obywatel rozpoznał na zdjęciu Kolę jako mordercę. To fakt numer jeden. Mnie Agnieszka prosiła o ochronę i dała mi wtedy pistolet, na którym zostały moje odciski palców. Bała się, bo Kola ją szantażował. Opowiadała mi o tym, więc mogę o tym napisać. To fakt numer dwa.

- Przecież nie powiedziała ci, że to Kola ją szantażuje?

- Nie, ale łatwo było się domyślić.

- Nie było, tylko jest. To dopiero teraz jest łatwe.

- Masz rację... A na Kolę polowała zorganizowana przestępczość. Strzelano do niego, gdy umówiliśmy się,

żeby pogadać. Widzieliśmy to we trzech. Mamy nawet zdjęcie zabitego przez Kołę gangstera, które zrobił Antoś. Kolejny, udokumentowany fakt. Drukowaliście jego zdjęcie, na którym jest w towarzystwie Gangreny. To też dowód powiązań z mafią. Możemy się domyślać, że to mafia go zabiła. Bomba to typowy dla niej sposób wyrównywania rachunków. To już fakt numer cztery czy pięć.

- Jest jeszcze Marianna, którą prosił o alibi...

- Oczywiście. Napiszemy, bez ujawniania jej tożsamości, że Adajewicz zmusił dziewczynę, której był sponsorem, do zapewnienia mu alibi.

- Dodajmy ciemne interesy naszego lisa.

- Świetnie. Sklep z winami, hurtownia, w której doszło do zbrodni, to przecież temat na cały artykuł. Nie mówiąc o przeszłości gagatka. Gdyby udało się nam wyciągnąć od kogoś opowieść o dawnych powiązaniach Koli, to mielibyśmy znakomity materiał.

O przeszłości Mikołaja Adajewicza sporo się dowiedziałem kilka dni później. Zadzwonił do mnie minister i zaprosił na obiad w jednej z warszawskich restauracji. A więc wybrana przeze mnie taktyka osła lub, jeśli chcecie, idioty nadal procentowała. Minister, zgodnie z obietnicą, chciał ze mną rozmawiać.

Jadłem zatem łososia w sosie ziołowym i piłem chablis na rachunek ministra, a zarazem uważnie słuchałem. Bo minister mówił rzeczy ciekawe, choć od razu na wstępie zastrzegł:

- To wszystko, drogi panie redaktorze, jest przeznaczone wyłącznie dla pańskich uszu. Pisać o tym nie wolno, niestety. Może za rok, za dwa, i to też z lekkim kamufażem...

- To ja może z tego powieść zrobię - zażartowałem.

- Dobry pomysł... ale też przyszłościowy - rzekł minister.

- Powieść długo się pisze.

- I bardzo dobrze - teraz minister raczył zażartować.

Zapytałem o ABW. Wiedziałem przecież, że dzięki interwencji ministra Agencja w ogóle zgodziła się rozmawiać z krakowską policją kryminalną. Wspomniałem Jarka i Marka.

- Ci dwaj chcieli samotnie ratować świat!

- Obawiam się, że pan zbyt łaskawie ich ocenił. Przez pryzmat własnej osoby niejako.

- Nie bardzo rozumiem, panie ministrze.

- Muszę więc panu wszystko od początku opowiedzieć. W różne mętne i nie zawsze do końca wyjaśnione sprawy wprowadzić.

- Posłucham z wielką ciekawością - zachęciłem rozmówcę - i obiecuję dyskrecję.

- Przynajmniej na jakiś czas niezbędna będzie dyskrecja - odrzekł minister.

- Więc zamieniam się w słuch.

- Może jeszcze wina?

Minister nie pił wcale alkoholu, toteż uznałem, że nie wypada mi wyjść poza jedną butelkę.

- Ale do kawy wypije pan koniak?

- Do kawy chętnie.

O alkoholach rozmawialiśmy na początku. Minister już wiedział, że jestem amatorem win czerwonych, niekoniecznie francuskich, bo cenię także różne nowe wina, nawet z odległych części świata. Do ryby wybrałem jednak chablis, co minister i główny autorytet, czyli kelner uznali za decyzję bardzo trafną.

Ja zaś dowiedziałem się, że minister wraca jeszcze do pracy, i w związku z tym alkohol w jego przypadku wskazany nie jest. No, może na koniak do kawy się skusi.

- Historia Jarka i Marka, chętnie będę ich właśnie tak nazywał, zaczęła się jakiś czas temu. Pewien wysoki funkcjonariusz ABW użył owych agentów w niezupełnie legalnej akcji. O jej szczegółach wiem mało, a nawet gdybym wiedział, nie mógłbym nic powiedzieć. Chodziło o sprzedaż polskiej broni do jednego z odległych krajów. Ten kraj pana pewnie nie zainteresuje, bo wina w nim nie produkują. W ogóle picie alkoholu jest tam za duży grzech uważane.

Minister zjadł oliwkę z miseczki, którą miał przed sobą, i wypił łyk wody.

- Cel niby ważny, polscy robotnicy ze zbrojeniówki mają pracę. Jednak nasi sojusznicy patrzyli niechętnym okiem na sprzedaż broni do tego kraju.

Znów oliwka i łyżeczek mineralnej bez gazu.

- Zorganizowano więc sprzedaż drogą tranzytową, gdzieś po drodze zmienił się producent, to już nie była, przynajmniej na fakturach, broń polska. Do takiej akcji potrzebne były służby specjalne. Za wszystko płacił, i to dobrze, odbiorca. Jarek i Marek nie tylko dostali pochwały, ale i zarobili po kilka tysięcy nieopodatkowanych dolarów. Spodobało im się to.

Znów oliwka i tak dalej.

- Ich przełożony, który nadzorował akcję z bronią, prowadził różne interesy i miał różne dziwne powiązania. ABW już się go pozbyła, chociaż teraz trwają długie rozmowy, w których spowiada się, przymuszony okolicznościami, z rozmaitych sprawek. Ale to już temat na inne spotkanie.

- Bardzo chętnie - powiedziałem.

Minister uśmiechnął się, zjadł oliwkę i... wiecie.

- Dzisiaj trzymamy się sprawy czeczeńskiego spisku - powiedział. - Żebyśmy nie pogubili się. Więc, jak pan wie, Laura Bush wybierała się na Wawel. Informacja przedostała się, prawdopodobnie z Waszyngtonu, do Moskwy.



- Czyli nie od nas?  
- Służby specjalne nie przyznają się chętnie do błędu, za Oceanem również, ale...

- Rozumiem.

- W Moskwie o przyjeździe Laury dowiedzieli się ludzie z tajnej grupy w Federalnej Służbie Bezpieczeństwa. Tak zwane Stronictwo Wojny. Ci ludzie na wojnie w Czeczenii lewe miliony zarabiają. Im dłużej działania wojenne trwają, tym więcej mogą sprzedać broni. I narkotyków kupić. Oni za każdego zainwestowanego rubla kilkadziesiąt dostają... I to dolarów. Ich żywiołem jest wojenny chaos.

- To oni odpowiadają za większość niby czeczeńskich aktów terroru?

- Pan ma rację. To ludzie, którzy nauczyli się pociągać za wiele sznurków. Między innymi umieścili agentów w organizacjach czeczeńskich. Wielu ekspertów jest przekonanych, że oni stoją również za akcją w Teatrze na Dubrowce.

Miałem jeszcze świeżo w pamięci dramatyczne wydarzenia w Moskwie.

- I otóż ci dżentelmeni postanowili namieszać, ile się da. Zrodził się pomysł zamachu albo porwania pani Bush. Właściwie forma była nieważna. Chodziło o to, aby w sprawie pojawili się jako winni Czeczeni. Zamachowcy, czy porywacze, od początku przeznaczeni byli na straty. Można było przy okazji usmażyć kilka pieczeni. Po pierwsze, zepsuć opinię Czeczenom w Stanach. Po drugie - w Polsce. Może wreszcie Polacy przestaną przyjmować uchodźców z kaukaskiego kraju? No i u siebie, w Rosji, zyskać więcej przychylności dla wojennych planów w Czeczenii.

Oliwka i tak dalej. Czy ten minister odżywia się wyłącznie oliwkami i niegazowaną wodą?

- Czyli rzeczywiście pani Jola była mocno zagrożona? Bo jeżeli chcieli też zepsuć opinię Czeczenom u nas w kraju?

- Wydaje mi się, że nigdy szczegółowy plan nie powstał...

- Jak to?

- O tym za chwilę powiem. Odrobinę cierpliwości...

- Czekam z wielkim zainteresowaniem.

Minister znów uśmiechnął się i mówił dalej.

- Gdy montowano akcję w Polsce, ściągając agentów z Niemiec, ktoś ze starych kadr KGB przypomniał sobie o Koli. Czyli o Mikołaju Adajewiczu.

- Podobno już nie żyje - powiedziałem.

- Też słyszałem, a także czytałem szanownych panów artykuły - rzekł minister. I oczywiście zjadł oliwkę.

- Ten Adajewicz to ciekawa postać. Od wielu lat obserwowany przez nasze służby, robił pod ich okiem bardzo podejrzane interesy. Miał kilka osobowości i kilka paszportów. Na jednym z Polski wyjeżdżał, na innym wracał. Nigdy nie było wiadomo, gdzie jest aktualnie. Szmuglował luksusowe samochody z Niemiec do Rosji... oczywiście samochody kradzione. Prał pieniądze rosyjskiej mafii, uchodząc w wielu krajach za fachowca od wykrywania przypadków prania, który pracuje dla rozmaitych poważnych instytucji finansowych.

Oliwka...

- Postanowiono więc wykorzystać Kołę. Nasi specje kontrwywiadu twierdzą, że z konieczności...

- Tak?

- Bo oni już wszystkich nowych szpiegów rosyjskich, przysłanych w Trzeciej RP, wykryli... Ale sądzę, że to tylko przechwałki.

Milczałem, bo cóż mogę wiedzieć o takich sprawach. Ja może nadałbym się do rozwiązania klasycznej zagadki kryminalnej, ale wywiady i kontrwywiady, służby specjalne, terroryści to dla mnie są za duże rzeczy. Miałem poczucie, nie po raz pierwszy, że ta historia mnie przerosła. Pozostawało mi więc słuchać ministra.

- Kola coś tam miał wspólnego z owym wysokim funkcjonariuszem AB W, który ostatnio stracił pracę. To jest teraz ustalane. Jak się wydaje, on wyobrażał sobie współpracę z Moskwą w dawnym stylu. A tu czasy się trochę zmieniły. Ale i panowie ze Stronnictwa Wojny, wieloletni pracownicy KGB, nie dostrzegli, że również w Polsce jest nieco inaczej.

Krótką pauza bez oliwki. Być może minister miał chwilę refleksji nad zmianami w Polsce?

- Adajewiczowi obiecano złote góry, a on myślał, że przy okazji uzyska pomoc służb rosyjskich w swojej prywatnej wojnie z mafią. To oczywiście tylko spekulacje. Sądźmy na przykład, że wybuch małej bombki w mieszkaniu jego kochanki to robota samego Adajewicza. Absurd? Nie. On chciał powiedzieć swoim moco-dawcom: jak mam działać, gdy wciąż atakuje mnie mafia? O proszę, teraz chcieli mnie wysadzić w powietrze. Pomóście mi w tej rozgrywce, a ja pomogę wam w sprawie poważniejszej.

Oliwka, łyżeczek wody.

- Tylko że wtedy już nie był do niczego potrzebny - minister zaśmiał się.

- Co takiego?

- W tym czasie Waszyngton poinformował prezydenta Putina, że pod jego boki określona grupa przygotowuje bardzo niebezpieczną akcję, wymierzoną w żonę prezydenta Stanów. I pan Putin nie mógł tego tolerować. Nie dość, że owi dżentelmeni mają pomysły godne terrorystów, to jeszcze pozwalają, żeby wiedza o tym przedostała się za Ocean. Stronnictwo Wojny znalazło się więc pod ścisłą kontrolą. Być może zostało rozbite.

- Poważnie?

- Nie wiemy tego z całą pewnością, ale podobno niektórzy panowie z tej grupy pojawili się nagle na placówkach w odległych krajach afrykańskich i południowoamerykańskich. Każdy gdzie indziej.

- Pan mówi ciekawsze rzeczy, niż można wyczytać w najbardziej sensacyjnych powieściach - rzekłem, a minister, zadowolony, zjadł oliwkę.

- Dodam jeszcze, że wizyta pani Bush wtedy, albo nawet chwilę wcześniej była już odwołana. Z zupełnie innych względów, które z tą sprawą wspólnego nic nie mają.

- Czyli wszystko, co robiłem, było niepotrzebne? - niemal wrzasnąłem, że aż jakaś para siedząca przy sąsiednim stoliku zwróciła ku nam zdziwione spojrzenia. - A moje jesienne dylematy, ranne pociągi do Krakowa, romantyczne pozy...

- Cieszę się, że z humorem podejść do tego pan potrafi.

- To ma być humor? Ministrze drogi, pan nie zna mojego humoru.

- Ależ pan bardzo pomógł...

- W jaki sposób?

- No, choćby dzięki panu Jarka i Marka namierzylimy. Bo musi pan wiedzieć, że gdy oni przyszli do pana, to sytuacja mniej więcej tak wyglądała. Agenci rosyjscy, ci Czeczeni z Niemiec, już z Polski prysnęli. W Stronnictwie Wojny bez wiedzy Putina nikt nie mógł nawet podrapać się w nos. Zresztą oni tam też zorientowali się, że pani Bush nie przyjedzie. Zostawał Kola, ci dwaj i ich szef. Wszyscy nieświadomi sytuacji, zagubieni, jak dzieci we mgle. To była dla panów z Moskwy ostatnia szansa, żeby namieszać.

- Dla panów z tego straszego Stronnictwa?

- Tak. Postanowili wpuścić Kolę i agentów z ABW w kanał. Tak się dzisiaj mówi.

- Nie przepadam za tym określeniem, ale rozumiem.

- Proszę więc wybaczyć...

- Ci dwaj jednak wypytywali mnie o Kolę, jakby nie mieli pojęcia o jego roli.

Tak chyba było. Stronnictwo Wojny Kolę prowadziło osobno, a równocześnie sterowało tymi z ABW. A ich dziwiło, że Kola ciągle pojawia się gdzieś blisko. Może nawet zaczęli się go obawiać? A nuż on ich rozpracowuje? Wciąż wielu rzeczy nie wyjaśniono.

Był już najwyższy czas na oliwkę. Nastąpiła więc krótka przerwa.

- Wiemy jednak, jaki był ostatecznie pomysł panów ze Stronnictwa Wojny, a może poznanych przez pana speców z ABW, choć dzisiaj do autorstwa nie przyznają się. Bardzo prosty. Zamachu ani porwania nie będzie, ale niech o czymś takim napiszą gazety. Wyprodukujmy literaturę, fikcję, stwórzmy fakt medialny.

- ... i dlatego przyszli do mnie.

- Oczywiście. Potrzebny był dziennikarz o dużej wyobraźni... Jeszcze raz proszę wybaczyć, ale taki, który da się nabrać i uzna, że powinien działać. Termin rzeźkowego zamachu zbliżał się, a wiedzieli, że wykryć pan nic nie zdoła, bo do wykrycia nic nie było. Pozostanie więc panu jedno wyjście: złamać embargo i opisać sprawę.

- Genialny pomysł.

- Oczywiście nie wywoła to takich skutków jak prawdziwy zamach czy porwanie, ale narobi trochę złego szumu wokół Czeczenów.

- Prawdziwy zamach, ale nie zauważony przez media, nic zamachowcom nie daje, po prostu go nie ma - stwierdziłem. - A zamach wymyślony, za to opisany, to prawie fakt.

- Ma pan rację.

- Narobił im pan trochę kłopotu z helikopterem. Wciąż jeszcze liczyli, że pan coś w końcu napisze, więc jakoś załatwili, trochę na lewo, maszynę i pirotechników. Obawiali się już wtedy kontaktów z panem i pozostawiania śladów.

- Tak? - W tym, co mówił, wyczułem pewną nieszczerość.

- Powiem panu, niech tam. Oni znajdowali się oczywiście pod kontrolą, wiadomo było, że Laura Bush nie przyjeżdża do Polski, ale nie mieliśmy pewności, czy

jeszcze czegoś me wykrecą. Kiedy więc zażądali helikoptera, który był im potrzebny w okolicach Krakowa, pojawiły się rozmaite obawy. Może jednak coś przeoczono? Dlatego próbowano opóźnić wylot maszyny...

- A ja mogłem, jak romantyczny bohater, w tym czasie stracić głowę.

Rozmawialiśmy jeszcze trochę, zanim minister udał się do swoich niezmiernie ważnych obowiązków. Chwalił artykuły we Fredkowej gazecie, które pisałem z moimi krakowskimi kolegami.

- Jak już rozmawiamy o faktach medialnych, to powiem panu o jeszcze jednej hipotezie, którą rozważano w grupie prowadzącej śledztwo. Czy Mikołaj Adajewicz, który - jak panowie udowodnili - zamordował Miss Polski, Agnieszkę Trocheńko (czy może Trocheńkę? — nigdy nie wiem, czy odmieniać te nazwiska z końcówką „-ko”?)...

- Z kobietami to rzeczywiście problem. Gdyby to był pan Trocheńko, sprawa prosta. Kobieta - gorzej. Może trzeba do profesora Miodka po poradę?

- Powstała więc i taka hipoteza śledcza, że zamordował ją Adajewicz, aby zająć uwagę mediów w czasie, gdy on montował, niepotrzebny już nikomu i nieaktualny, zamach na Wawelu. Zabójstwo Miss Polski to przecież temat na pierwsze strony gazet.

- Sądzę, panie ministrze, że jednak były także inne motywy.

- Coś pan wie?

- To tylko domysły.

Gdy już wychodziliśmy, przypomniałem sobie o Matce Courage. Liczyłem, że smutni z AB W załatwią jej prawo stałego pobytu. Ale teraz wszystko wskazywało na to, że z miejsca, w którym oni znajdują się i zostaną na stały pobyt przez kilka lub kilkanaście lat, nie będą mogli wiele zdziałać. Zagadnąłem więc ministra.

- Czy to trudna sprawa, pan pyta? - odrzekł. - Nie wiem, ale zrobią, co w mojej mocy. Proszą przekazać mi dane tej pani

- Świeci księżyc nad Krakowem - oznajmił Krystian.
- Jaki duży! - zdziwiła się Agata.
- Wczoraj była pełnia - wyjaśnił Antoś.

Wafęsałem się od dwóch godzin z trójką młodych przyjaciół po Krakowie. Północ dopiero miała nadejść, ale beaujolais nouveau było już dostępne w wielu knajpach. Wyprzedzając więc czas, piłem cierpkie wino, a gdy zmienialiśmy lokal, spoglądałem na księżyc, który chętnie ukazywał pyzată twarz nad dachami domów.

Oczywiście dzwoniły telefony komórkowe, przy pomocy których zwoływali się moi przyjaciele i znajomi. Wieść rozeszła się szybko: Konrad przepija zaliczkę. Chętnych do pomocy w tak znaczącym przedsięwzięciu nie brakowało. Miał zjawić się Fredek, gdy tylko upora się z jutrzejszym wydaniem gazety, a także Marianna z Jakubem.

- Dwa dni temu można było nad ranem obserwować leonidy - powiedział Antoś.
- A cóż to takiego? - zapytałem.
- Leonidy? To jakieś meteory. Rzadkie zjawisko.
- Znaki z kosmosu... Ale chyba pojawiły się za późno.
- Za późno na co? - spytał dziennikarz.



- Na wszystko, mój brodaty przyjacielu - odrzekłem.  
- Kosmos do nas przemawia, a my nic z tego nie rozumiemy. I wszystko robimy za późno.

- Ale mówisz, że tym razem to chyba kosmos spóźnił się z wiadomością...

- Ja się spóźniłem. I książkę August...

- Agnieszka Trochełko? - domyślił się Antoś.

- Tak, Agnieszka. Nie uratowałem jej, tak samo jak książkę, przed Golemem. Nie potrafiłem się nawet zakochać. Odkładałem wszystko na wiosnę, na lato...

Antoś milczał. Może sądził, że już się upiłem?

Dwa dni temu nad ranem można więc było oglądać leonidy. Co ja wtedy robiłem? Pogubiłem się ostatnio w czasie, pogubiłem w przestrzeni.

Może tego ranka spałem niespokojnym snem w garnizonie Fredka, mając przed sobą ważne spotkanie z ministrem? Albo gadałem z Kroplówką? Gdy na niebie pojawił się rój jasnych punkcików, decydowało się właśnie, czy utrzymają się wobec mnie podejrzenia o morderstwo.

„Przestań” - upomniał mnie wewnętrzny mentor. - „Ty naprawdę jesteś pijany”.

„Musisz przyznać, że w tej szalonej historii było dużo znaków i zapowiedzi. Lecz żadnej nie umiałem trafnie odczytać. Palma, pod którą spotkałem się z Agnieszką, praski teatr absurdu w wykonaniu antyglobalistów...”.

„Jesteś pijany albo zwariowałeś”.

„Chciałbym...”.

„Co? Chciałbyś zwariować, czy się upić?”.

Nie zdążyłem mu odpowiedzieć, gdyż Antoś rzekł:

- Kroplówka. Idzie w naszą stronę.

- O, pan komisarz! - zawołałem.

Pojawił się nagle, niby duch, i stanął obok mnie i Antosia.

- Zapraszam na wino - powiedziałem. - Na młode, cierpkie wino beaujolais.

- Kropelką wypiję, nie odmówię - rzekł krakowski detektyw.

Nasza gromadka wędrująca przez nocny Kraków powiększyła się i weszliśmy już w piątkę do pobliskiej knajpki. Zamówiłem butelkę wina.

- Wie pan, że dwa dni temu można było nad ranem zobaczyć leonidy? - zapytałem.

- Wiem. To zjawisko trwało przez kilka dni - rzekł komisarz Chilp. - Zerwałem się nawet któregoś ranka o piątej, bo wtedy podobno najlepiej widać, ale jak raz niebo zasnuły chmury.

- Dopiero dziś po południu niebo się przejaśniło. Chyba nie ma już chmur nad miastem - włączył się Krystian.

- Interesuje się pan astronomią? - zapytała komisarza Agata, krakowska blondynka w okularach.

- Interesuję, choć nie mam na to czasu. Jestem policjantem i często muszę pracować w nocy. W konkurencji z gwiazdami wygrywają niestety przestępcy.

- Ma pan rację, noc jest pora nie tylko gwiazd, ale i zbrodni... - wysiliłem się.

- Leonidy bardzo chciałem zobaczyć. Bo to niezmiernie rzadkie zjawisko. Można je obserwować mniej więcej co trzydzieści trzy lata...

- Co? Niech pan powtórzy! - zawołałem.

- Naprawdę. Wtedy Ziemia przecina orbitę komety Tempel-Tuttle'a, a to za nią ciągnie się rzeka odłamków - rzekł trochę zdziwiony Chilp.

- I to są te meteory? - zapytała Agata.

- Tak. Świecą, gdy spalają się w atmosferze naszej planety. Czytałem, że zauważono i opisano podobny deszcz meteorów w 1799 roku, a potem w latach 1833, 1866 oraz w 1899, zaś w wieku dwudziestym w roku 1933 i w 1966. W 1999 roku było ich zaskakująco mało. Wystąpiły jakieś perturbacje w ruchu planet. To się podobno zdarza.

Milczeliśmy pełni podziwu dla wiedzy komisarza.

- No i pojawiły się teraz, już w kolejnym stuleciu. Najczęściej spadają one właśnie w listopadzie. Nie zawsze, zauważyliście państwo, są równo trzydzieści trzy lata przerwy.

- I jeszcze te dwie trójki, to nieszczęsne i magiczne trzydzieści trzy, w datach - powiedziałem. - Albo trzydzieści trzy pomnożone przez dwa i trzy.

Kroplówa coraz bardziej dziwił się mojemu zdziwieniu. A ja mówiłem dalej.

- Wie pan, kiedy byłem niedawno w Pradze, na podróż wziąłem książkę o Golemie. To sztuczny człowiek zrobiony według przepisów żydowskiej kabały...

- Wiem - przerwał mi Chilp. - Interesowałem się kiedyś kabałą.

- Ma pan bardzo szerokie zainteresowania - odezwała się z podziwem Agata.

Komisarz spojrział na nią. W mrocznym lokalu ze swą siwą czupryną naprawdę wyglądał na profesora Akademii Krakowskiej, i to takiego z minionych czasów, kiedy studiował tu Kopernik.

- Policjant musi dużo wiedzieć - wyjaśnił.

Zamawiałem właśnie u przechodzącego kelnera drugą butelkę wina, więc nie powiedziałem Kroplówie, że wiedza o Golemie nie pomogła mu wcale w śledztwie. Ja zaś odkryłem i w tej chwili upewniałem się coraz bardziej, że Mikołaj Adajewicz musiał być kolejnym wcieleniem Golema. Tego stworzonego przez praskiego rabina potwora, który powraca co trzydzieści trzy lata, siejąc zniszczenie. Dowiedziałem się teraz, że także co trzydzieści trzy lata na Ziemię spada rój kosmicznych szczątków. To nie może być przypadek. Te zjawiska na pewno coś łączy.

- Czytałem, że Golem powraca co trzydzieści trzy lata - powiedziałem wreszcie.

- Tak jak leonidy. Lecz Golem to postać z legendy, natomiast wpadające w atmosferę meteory są faktem naukowym.

- Gdy Golem wylezie z jakiejś dziury w praskich zamarkach, rzadko pozwala się zobaczyć ludziom. Ale o jego obecności świadczą nieszczęścia i szkody, jakie powoduje...

- Panie Konradzie - roześmiał się komisarz Chilp - nieszczęścia towarzyszą nam stale, a nie tylko co trzydzieści trzy lata. Ja coś o tym wiem, w końcu od prawie dwudziestu lat jestem policjantem.

- Też to wiem, panie Jerzy - odrzekłem. - W końcu byłem i nadal bywam dziennikarzem śledczym. Wie to także Krystian, choć jest tylko historykiem sztuki, i wie również ta piękna krakowska blondynka.

- Ludzka egzystencja naznaczona jest, kurdelemele, nieszczęściami - odezwał się Antoś, a ja spojrzałem na niego z zaciekawieniem. Proszę, proszę, jakaż to filozoficzna natura ukrywa się w tym brodatym i mocno owłosionym dziennikarzu.

- Więc o czym to mówiliśmy? - próbował porządkować rozmowę komisarz.

- O Golemie - rzekłem cicho.

- Nie łączyłbym Golema z leonidami - oznajmił profesor, chciałem powiedzieć komisarz Chilp, zwany też Kroplówą. - Leonidy pojawiają się od dawien dawna, spadały zapewne na Ziemię ognistym deszczem, gdy na tej naszej małej planecie nie było jeszcze człowieka. Zaś Golem ma zaledwie kilkaset lat.

- Golem to tylko symbol. Symbol zła - powiedziałem. - A zło istnieje od dawna. Istniało pewnie i przed pojawieniem się człowieka, choć to człowiek je dopiero nazwał.

- Pod wpływem beaujolais wszyscy stajemy się filozofami - zauważył przytomnie Krystian.

- Więc mówi pan, że Golem... - Wrócił znów z uporem do tematu kabalistycznego potwora komisarz. - Czy zauważył pan ślady jego obecności? Właśnie teraz i właśnie tu?

- Tak, panie Jerzy - powiedziałem i wypilem do końca wino ze szklanki. - Zanim jednak odpowiem, zdecydujmy, czy zostajemy czy przenosimy się do innego lokalu? Bo noc trwa.

- Chodźmy - odezwały się głosy.

- Wędrujemy więc dalej. A po drodze sprawdzimy, czy widać jeszcze księżyc.

- Pozwólcie państwo, że teraz ja was zaproszę - powiedział komisarz.

- To niemożliwe - rzekłem w stylu księcia Augusta.

- To jest mój wieczór. Dziś ja za wszystko płacę.

- Dzisiaj pan wyrównuje rachunki...

Staliśmy już przed knajpką. Młodzi byli gdzieś z przodu, a ja, ponieważ płaciłem za wino, zostałem trochę w tyle. Komisarz cały czas mi towarzyszył.

- Raczej obmywam w winie duszę - wyjątkowo plotłem tego wieczoru.

- Domyśliłem się.

Komisarz Chilp patrzył gdzieś w przestrzeń. Czyżby szukał wzrokiem księżycy? A może po prostu nie chciał spojrzeć na mnie?

- Pan tego Adajewicza uważa za Golema? Zapewne wie pan już, że on zginął dzisiaj w wyniku wybuchu bomby.

- Zginął? To pewne?

- Nasi eksperci są zgodni co do tego. Chociaż rzeczywiście nie zostało wiele śladów. Jakby facet rozpułnął się w powietrzu.

- Jak Golem - powiedziałem cicho.

- To był niebezpieczny człowiek - powiedział równie cicho komisarz. - I choć nie powinienem, jako policjant, który ma stać na straży prawa, tak mówić,

właściwie cieszą się, że zginął...

- Teraz musi pan szukać zabójcy?

- Panie Konradzie, kiedy w przeszłości próbowałem badać różne sprawy, w które uwikłany był Mikołaj Adajewicz, zawsze okazywało się, że nic mi nie wolno. Bo już tym zajęła się Agencja...

- To dlatego pan tak chętnie wskazał kiedyś trop do Adajewicza przez niejakiego Stempla mojemu kole-dze...

Komisarz robił wrażenie, jakby nie usłyszał pytania.

- Teraz więc niech Agencja poprowadzi śledztwo. A wiem, że nie bardzo się do tego kwapią. Śmierć Koli jest im właściwie na rękę.

- Jednak powinien pan wykryć mordercę Agnieszki.

- A jeśli on już zginął? Ja wiem i pan przecież też wie, że to Mikołaj Adajewicz zamordował naszą piękną Miss. Spotkała go za to słuszna kara.

- Tak pan uważa?

- Tak. I z prawdziwą przyjemnością zaproszą pana na wino, gdy pan zawita znów do stołecznego królewskiego miasta Krakowa.

- Przyjmuję - powiedziałem znów w stylu księcia Augusta.

Noc trwała, piliśmy kolejne butelki młodego, cierpkiego wina z odległej francuskiej krainy, ja zaś czułem, że trudno sobie wyobrazić lepszy finał nierzeczywistej i nieprawdopodobnej historii, którą przeżyłem.

Komisarz nas już opuścił, ale zaraz zastąpił go Fredek. Znów szliśmy jakąś uliczką, a ja poszukiwałem na niebie pyzatej twarzy księżycy. Tym razem nie mogłem go wypatrzeć. Gdzieś mi się schował, bestia. Usłyszałem, jak Antoś opowiada Fredkowi, że przyniosłem dziś Agacie i Krystianowi tajemnicze pieniądze, dolary i euro, i kazałem je wpłacić na fundusz dla czecheńskich

uchodźców albo, najlepiej, dać Matce Courage. Bo ona na pewno będzie wiedziała, w jaki sposób je wykorzystać. Skąd Konrad miał tyle pieniędzy? - niemal słyszałem pytanie w tej opowieści. Czyżby mnie brodaty dziennikarz o coś podejrzewał? Tylko o co?

„Właściwie należało zwrócić te brudne pieniądze Golemowi. Razem z jego paszportami” - powiedziałem głosowi wewnętrznemu, choć wcale mnie o to nie pytał. - „Nie pozwoliło mi jednak na to wrodzone skąpstwo”.

„Dobrze zrobiłeś!” - odpowiedział mi. - „Pieniądze to tylko pieniądze. A czeczeńskim uchodźcom naprawdę się przydadzą”.

Fredek niczego nie wyjaśnił Antosiewi. Wysłuchał opowieści i zostawił młodego dziennikarza z jego wątpliwościami. Za to spojrział na mnie. Nie potrafiłem po ciemku rozpoznać, czy zawierała się w tym spojrzeniu aprobata, czy może zdziwienie?

Była już z nami Marianna z Jakubem. I z Krabem. Nie zauważyłem nawet, kiedy się zjawili.

- Nie mogłem go zostawić samego w domu - oznajmił chłopak, wskazując na kudłatego kundelka.

- Postąpił pan słusznie - orzekłem. - Psu też należy się coś od życia, zwłaszcza w taką noc.

- Wina on nie lubi. Chyba że jest bardzo słodkie. Wtedy daje się skusić na szklaneczkę czy raczej talerzyk. Bo Krab wino chępcze z talerzyka.

- Może zamówimy dla niego talerzyk słodkiego?

- To niekonieczne. Mam w kieszeni jego smakołyki, to coś dostanie.

Znów szliśmy ulicą. Zbliżała się północ. Marianna wypita chyba tylko dwie szklaneczki, ale już leciutko się zataczała. A może to ja się zataczałem?

- Pan pewnie wie, gdzie jest najlepsze beaujolais? - zapytałem Jakuba.

- W Paryżu...
  - Widzę, że jest pan w dobrym humorze. Ale chyba Kraków nie gorszy od Paryża.
  - Zaprowadzę państwa - powiedział Jakub i wyszedł razem z Krabem na czoło naszej wesołej gromadki. - Znam tu jedną knajpkę, do której dostarczamy wino.
  - Powiedziałam mu wszystko - szepnęła Marianna, gdy zostaliśmy trochę z tyłu.
  - I co?
  - Miałeś rację. Wybaczył mi, a teraz jest w znakomitym nastroju.
  - No widzisz.
  - Tobie też mogę powiedzieć prawdę o sobie... Ja wcale nie uciekłam z domu... I nie mam siostry. Byłam też w zakładzie...
  - Wiem, wiem Marianno, więc nic nie mów.
  - Też mi wybaczysz?
  - Oczywiście. Już dawno to zrobiłem. Jesteś moją ulubioną bohaterką tej nierzeczywistej historii.
  - Nie rozumiem.
  - Chodźmy na wino, nie zastanawiajmy się więcej nad tym, co było - zawołałem.
- Jakub skręcił w wąską, ciemną uliczkę, a my wszyscy za nim. Nagle Krab zatrzymał się jak wryty i nie chciał iść dalej. Zaczął szczeakać. Czy w mroku stał jakiś człowiek? Nikogo nie widziałem.
- Kola! - krzyknęła Marianna i pobiegła w tamtą stronę.
- Alkoholowa halucynacja? Tej dziewczynie wystarczy przecież kropla alkoholu i już jest pijana.
- Pies ujadał, a my wszyscy, zbici w gromadę, staliśmy, próbując wypatrzeć coś w mroku.
- Tam nikogo nie ma - stwierdził Fredek.
  - Kola nie żyje, Golem już nie istnieje - powiedziałem wyraźnie, choć język zaczął mi się plątać.



- Gdzie ona jest? - martwił się Jakub.  
- Wróci, na pewno wróci - pocieszyłem go.  
- Kobiety są nieprzewidywalne - oznajmił Antoś.  
„Ten chłopak wyrośnie naprawdę na filozofa”, pomyślałem. „Pod warunkiem oczywiście, że odstawi samochód”.

„Pijesz przez cały wieczór francuskie wino, a humor robi ci się bardzo angielski” - odezwał się mój głos wewnętrzny. - „Nie rozumiem związku filozofii z samochodem”.

„Żeby stać się filozofem, musi więcej pić. A samochód mu w tym przeszkadza, mój cymbałku”.

Jakub rozglądał się nadal za Marianną. „Czemu temu chłopakowi wciąż ktoś ginie? A to Krab, a to Marianna”, myślałem.

- Na pewno wróci - powtórzyłem raz jeszcze, żeby poprawić mu nastrój.

„Kto wróci? Golem?” - zapytał mnie głos wewnętrzny. „Jeżeli nawet, to za trzydzieści trzy lata” - odpowiedziałem mu.

- Marianno! - wołał Jakub. - Gdzie jesteś? Marianno!

- Czy to ta knajpka, do której pan nas prowadził? - spytałem.

Staliśmy pod skąpo oświetlonym lokalikiem, wystylizowanym na dawną karczmę. We wnętrzu migąły jakieś ogniki, jakby jedynym oświetleniem były tam świece albo lampki oliwne.

- Tak, to tu. Chociaż nazywa się „U rabina”, to na trzeci czwartek listopada zawsze zamawiają beaujolais. I to najlepsze gatunki.

- „U rabina”? - Dopiero teraz zauważyłem wypisaną na desce koślawymi literami nazwę.

- Tak. Tu już zaczyna się Kazimierz, dawna żydowska dzielnica.

- Więc wejdźmy - powiedziałem.

- Ale co z Marianną? - spytał chłopak.

- Ona na pewno wróci - rzekłem jeszcze raz z przekonaniem. I zaproponowałem: - Niech pan przywiąże przed knajpką Kraba. Będzie wiedziała, gdzie jesteśmy.

Mariannie pokazał się w mroku Kola. Pewnie wzięła za niego jakiś cień albo konar drzewa. Czy to objaw tęsknoty za byłym sponsorem? Ale mówiła mi, że się go boi. Może więc przeciwnie, Kola jest jej zmorą, która straszy dziewczynę w snach? I pojawia się również na jawie, gdy tylko Marianna wypije szklaneczką wina? W takim razie, dlaczego pobiegła tak ochoczo za zjawą? Przecież obok miała Jakuba.

Ma rację Antoś, który dzisiajszego wieczoru ujawnił naturę filozofa. „Kobiety są nieprzewidywalne”. Mimo wszystko zazdrościłem Mariannie. Boja chciałbym również wypatrzeć kogoś w ciemnościach. Gdyby tak mnie wystarczyć mogła szklaneczka, ba, nawet kilka butelek beaujolais. Lecz na mnie nie działa w ten sposób młode francuskie wino. Gdy otwieram usta, język płacze mi się, myśli zbaczają ze swych ścieżek i co rusz dochodzi w mej głowie do jakiejś kolizji. Ale żadnych zjaw, nawet najbardziej wymarzonych. Może gdybym wypił flaszeczkę absyntu, którą podarowałem Augustowi? Kto wie? Absynt wywołuje halucynacje. Czy udałoby mi się wypatrzeć gdzieś w mroku Kazimierza dziewczynę rozświetloną wewnętrznym blaskiem? I cały Kraków zajaśniałaby wtedy, a noc zamieniłaby się w dzień?

- Nie zauważyliście, a tu minęła już północ - stwierdził Fredek.

- Chodźmy więc pić beaujolais - powiedziałem - póki mam jeszcze pieniądze.

- A co potem?

Potem pójdziemy spać - stwierdziłem i, choć język coraz mniej mnie słuchał, powtórzyłem głośno za poetą: „Pijcie wino! idźcie spać! Pijcie wino! idźcie śnić!”.

## 30

- Dobre wino - powiedziała Jadzia.

- Od pani prezydentowej, więc nie może być złe.

Siedzieliśmy w mieszkaniu mojej sąsiadki i popijaliśmy świetne czerwone wino. Zjedliśmy już wołowinę po burgundzku, dzieło Jadzi, nad którym pracowała od wczoraj (podobno danie to dobrze jest przygotować dzień wcześniej), pieczone ziemniaki, sałatkę grecką mojej roboty, a teraz próbowaliśmy serów. No i nie oszczędzaliśmy wina. Bardzo wytworna i pod każdym względem udana kolacja. Z okazji? Chyba definitywnego zakończenia nierzeczywistej i nieprawdopodobnej historii, której bohaterem mimo woli i chęci zostałem.

- Opowiedz jeszcze raz!

- Jadziu, chyba już opowiadałem z dziesięć razy...

- Na pewno nie dziesięć.

- No to pięć.

- W końcu nie do każdego i nie co dzień dzwoni pani prezydentowa, a potem przysyła tuzin butelek francuskiego wina.

- Masz rację!

- Pewnie, że mam. Więc opowiedz, proszę.

- Dopiero co obudziłem się, gdy zadzwonił telefon.
- Oczywiście nie chciało ci się odebrać.
- To prawda. Nie lubię zbyt wczesnych telefonów.
- Było po jedenastej!
- Ale poszedłem spać nad ranem.
- I pani sekretarka zapytała cię, czy ty to ty...
- No widzisz, znasz już całą historię na pamięć.
- Co było dalej?
- Przecież wiesz... Odezwała się pani Jola i długo mówiła.
- A ty byłeś tak bardzo zaskoczony, że tylko słuchałeś.
- No tak.
- I bardzo ci dziękowała.
- Aż się wzruszyłem. Bo ja ją naprawdę bardzo lubię i szanuję.
- A potem powiedziała, że jej mąż chce ci dać order. Czy tak?
- Mniej więcej.
- A ty powiedziałeś coś takiego, choć już sam nie wiesz co, że ona zapytała: „Panu to zdaje się nie zależy na orderach?”
- Tak. Żeby nie pozostawić wrażenia niewdzięcznika, powiedziałem, że przecież nie robiłem niczego dla nagród ani odznaczeń. Ale wyszło chyba nie za bardzo zręcznie.
- Wtedy ona przyznała, że słyszała o twoich upodobaniach...
- „Pan podobno lubi czerwone wino” - powiedziała. Mówiłem o tym, gdy byłem na obiedzie z ministrem, więc musiał jej powtórzyć.
- I obiecała, że przyśle wino ze specjalnych zapasów...
- No nie, zapytała, czy nie obrazę się, jeśli ona i pan prezydent zrobią mi prezent. To jest czerwone wino z ich prywatnej piwniczki.
- Powiedziałeś, że dlaczego miałbyś się obrazać...

- Przyznałem, że jestem wielkim miłośnikiem czerwonego wina.

- I wczoraj specjalny posłaniec przywiózł pudło z tuzinem butelek.

- Widzisz, że znasz już historię ze szczegółami.

- Dobre wino! - powiedziała Jadzia i pociągnęła spory łyk z kieliszka.

Bąłem się odpowiedzieć cokolwiek, bo zaraz zmusi mnie do powtarzania jeszcze raz. Zapadła więc na chwilę cisza. I wtedy usłyszałem telefon, który dzwonił w moim mieszkaniu.

- Nie pójdziesz odebrać? - zapytała moja sąsiadka.

- Nie!

- A jeśli to coś ważnego? Jeśli dzwoni pani prezydentowa albo pan minister?

- Jest jesienny wieczór, zjadłem świetną kolację, piję sobie czerwone wino i nie nadaję się do niczego więcej.

- A jeżeli znów potrzebuje cię twój kraj?

- Niech poczeka do wiosny.

- Konrad, tak nie można!

Długo jeszcze siedzieliśmy u Jadzi, aż gdzieś w środku nocy wróciłem do siebie do domu. Przypomniałem sobie o telefonie, który dzwonił wieczorem. Spojrzałem na sekretarkę: migało światelko oznaczające, że ktoś nagrał wiadomość.

Miga tak sobie nadal. Chyba że czytacie tę książkę, kiedy jest już ciepło i słońce świeci od rana do wieczora. Jeżeli tak, to możliwe, że odsłuchałem wiadomość. A co z tego wynikło, jaka kolejna nierzeczywista historia, opiszę innym razem.